Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 50 (1394) ROK XXVII 15 GRUDNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- „Komu gra, komu koliduje" — polemika
- Mam wyrzuty sumienia
- Smutek pod choinką
- Piąty as
- Josè Carreras

Eva Rubinstein fotografuje Łódź — patrz strona 10

Co nas czeka?

MAREK MAMOS

Ludzie wierzą, że będzie lepiej. Są zaharowani sfrustrowani, zagonieni, niewyspani, zdenerwowani ale wierzą. Użerają się z urzędnikami, wyczekują w kilometrowych ogonkach, gniotą się w tramwajach, mało mają szans na mieszkanie, telefon, samochód. Często złorzeczą na ten zasmarkany świat, ale zawsze, choćby na dnie duszy choćby wątła jak iskierka, kołacze się wiara w to że kiedyś będzie lepiej, że musi być lepiej. Jakże inaczej można by znieść to wszystko.

Świat idzie przecież do przodu. W gazetach piszą, że coś się buduje. Uczymy się, pracujemy, myślimy. Coś z tego powstać musi. Jakiś ślad. Jeżeli nie dla nas to przynajmniej dla dzieci.

Najbliższą przyszłość można względnie dokładnie przewidzieć. Zajrzyjmy do założeń wojewódzkiego planu rocznego na 1985 r.

Ponad 100 tys. osób z terenu województwa miejskiego łódzkiego zarejestrowanych w spółdzielniach mieszkaniowych a także ci którzy chcą się budować i ci których nie stać na mieszkanie spółdzielcze z niecierpliwością pytają — co z budownictwem?

Zakłada się, że w 1985 roku oddanych zostanie do użytku 6.500 mieszkań, to jest o ponad 5 pro- 3

Foto: Andrzej Wrzesień

— Dobiega końca kampania wyborów do samorządu w mieście i na wsi. Samorząd w systemie demokracji socjalistycznej zajmuje ważną pozycję, daje możliwość uczestniczenia w sprawowaniu władzy wielkiej liczbie ludzi. Ma też samorząd w Polsce pewne tradycje. A mimo tego wszystkiego traktowany jest gorzej niż się należało spodziewać, to znaczy z mniejszym zaufaniem i mniejszym zainteresowaniem. Dlaczego?

— Nim odpowiem na to pytanie, chciałbym może sprecyzować samo pojęcie samorządu terytorialnego. To nie jest wykręt. Ludzie podkładają bowiem różne treści pod to pojęcie. Zaryzykuję nawet takie twierdzenie, że gdybym prawników w Urzędzie Miasta Łodzi, a nawet radnych zapytał, co rozumieją pod tym pojęciem, to otrzymałbym bardzo dużo różnych odpowiedzi.

— Skąd ta różnorodność?

— Z przeszłości, kiedy to pojęcie samorządu terytorialnego funkcjonowało w rozmaitych znaczeniach. Zaraz po drugiej wojnie znaczyło ono coś innego, niż znaczy dziś. Pojęcie to wówczas było bliższe tym treściom jakie zawierało w czasach II Rzeczypospolitej. A wówczas był to zupełnie inny samorząd.

— W czym zawierała się różnica?

— Samorząd posiadał wówczas osobowość prawną i był niezależną strukturą od organów państwowych. Skonstruowany był według klasycznych reguł, a zatem był instytucją pozapaństwową. Ba, nawet w pewnej opozycji do państwa.

— Czym jest zatem samorząd dziś?

— W ustawie z 20 lipca 1983 roku samorząd został określony następująco: „Rady narodowe wraz z samorządem mieszkańców miast i wsi tworzą system samorządu terytorialnego". Zatem samorząd nie jest czymś wyodrębnionym ze struktury państwowej. Samorząd mieszkańców nie jest również przeciwstawiony radom narodowym, ale łącznie — rady narodowe i samorząd mieszkańców — tworzą samorząd terytorialny.

— Które rozwiązanie jest lepsze?

— Sądzę, że na sprawie samorządu terytorialnego powinniśmy spojrzeć inaczej. Czy stwarza on możliwość udziału w sprawowaniu władzy możliwie dużej liczbie ludzi? Jedność rad 4

A cóż dziś jest łatwe?

Rozmowa z radnym Rady Narodowej Miasta Łodzi, doc. dr hab. ALFREDEM LUTRZYKOWSKIM

Mordercę, uciekiniera — sprzedam

ROMAN KUBIAK

Na trawniku stoi samotny morderca. Morderca urodził się w roku 1981. Waży 264 kilogramy. Jego ojczyzną jest Japonia. Morderca nazywa się Honda CB 1100 i jest 4-cylindrowym motocyklem.

Pierwszą ofiarą japońskiego mordercy był 19-letni chłopak. Zginął podczas drugiego sam na sam z piekielną maszyną.

Jechał trasą prostą jak stół. Jechał 70, 80 100 km/godz — płynnie i elegancko. 110, 120... — cichutko i swobodnie. Pruł powietrze mijając powolne Fiaty. Czuł się jak bohaterowie „Easy Rider" Hoppera — wolny i nieuchwytny..

Ten lekki zakręt dostrzegł bardzo wcześnie. Zamknął gaz lecz ciężka maszyna zwalniała powoli. Zbyt wolno. Lekko leciutko nacisnął dźwignię hamulca. Kilka metrów leciał w powietrzu a potem spadł jak kamień. Głucho i ciężko. Jego wspaniała maszyna przeskoczyła rów i zatrzymała się daleko w polu. Nietknięta.

Druga ofiara była nieco starsza. Kupiła mordercę za bezcen. Tak znała historię poprzednika. Lecz któż nie marzy o poskromieniu dzikiego mustanga...

Drugi właściciel próbował jeździć nocą — na długich, prostych odcinkach trasy szybkiego ruchu. Motocykl był posłuszny, sprawował się bez zarzutu. Spróbował jazdy po mieście. Właściwie po to tylko zdecydował się kupić mordercę. W mieście dopiero jest szpan — setki oczu łakomie wpatrzonych w japońskie cacko, w nieustraszonego jeźdźca..

Ruszał ze skrzyżowania. Maszyna wyrwała do przodu, zapiszczały opony. Za przejściem dla pieszych błysnęła na asfalcie mała plama oleju. Nie zauważył... Zmarł w karetce pogotowia. Morderca wtoczył się na trawnik i lekko spoczął na nim. Nietknięty.

Wspaniały niklowany motocykl czeka na trzeciego właściciela. Można nim być już zaraz. Za bezcen.

Na baku, po prawej stronie, ma wymalowane dwa czarne krzyżyki..

W niedzielne przedpołudnie nie ma wielkiego wyboru: kościół, mecz, marny film na szklanym ekranie. W niedzielne przedpołudnie dobrze jest zajrzeć na giełdę. Autogiełda zawsze tętni życiem. Ludzie i samochody. Samochody i ludzie. Proste i pogmatwane, banalne i niesamowite historie wpisane w życiorysy tych par: ludzi i samochodów.

Jedni traktują swój pojazd tak, jak traktuje się nietrwały przedmiot: chłodno i racjonalnie. Inni nie skąpią ciepłych słów — tak, jak mówi się o kimś bliskim, przyjacielu.

Ludzie i samochody. Samochody i ludzie. W tłumie każdy może uchodzić za nabywcę. Nieważne, czy ma twarz prezesa, czy rumiane oblicze indywidualnego rolnika. Samochód to nie książka — potrzeby jest wszystkim. Każdy przecież 6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikiryński.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3593. T-2

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wizyta

Deszcz padał od samego rana. Gdy później przewodniczący Rady Państwa, prof. HENRYK JABŁOŃSKI przybył do Liceum Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego przy ulicy Sosnowej, powiedział:

— Jedziemy dziś rano na teren najpiękniejszego, jaki może się dać pomyśleć, pomnika Matki Polki. Jedziemy ulicą Rzgowską, pamiętam kocie łby straszliwe, dziś asfalt, ubiegliśmy się dopiero na budowie...

W towarzystwie członka Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarza KŁ PZPR — TADEUSZA CZECHOWICZA i prezydenta Miasta Łodzi — JÓZEFA NIEWIADOMSKIEGO prof. HENRYK JABŁOŃSKI zwiedził budowę Szpitala Pomnika Matki. Poruszyło go tempo tej budowy i fakt, że wielu budowlanych chce mieć pracę na tej budowie wpisaną do swego zawodowego życiorysu.

— Budują to umysły — powiedział później prof. Henryk Jabłoński. — Budują ręce, ale i serca. Bez tego nie byłoby takiego tempa.

Budowlani zapewnili przewodniczącego Rady Państwa, że zadania przewidziane na rok 1984 zostaną w pełni wykonane, tak jak i całość budowy zostanie ukończona w przewidzianym terminie. Nie będzie to przecież łatwe. Choć organizacja pracy na tej budowie jest lepsza niż na innych, to i tu przychodzi codziennie borykać się z wieloma różnorodnymi trudnościami i pokonywać wiele przeszkód.

Po zwizytowaniu Szpitala Pomnika Matki Polki przewodniczący Rady Państwa — prof. Henryk Jabłoński przybył wraz z towarzyszącymi osobami do Liceum Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego, gdzie zgromadzili się przedstawiciele wszystkich organizacji i instytucji Górnej, aby podpisać porozumienie w sprawie wspólnego wysiłku przy rozbudowie szkolnictwa w dzielnicy. W marcu 1984 roku Rada Krajowa PRON przyjęła założenia programowe Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Jak to podkreślił przewodniczący Dzielnicowej Rady Narodowej, I sekretarz KD PZPR Górna — Witold Sidewicz, chodzi nie tylko o pomoc materialną, ale również moralną, ideową, którą szkole młodemu pokoleniu powinni nieść wszyscy światli, mądrzy ludzie. Pomoc ta powinna dokonywać się pod hasłem: „Edukacja młodego pokolenia — sprawą całego narodu".

Długa jest lista organizacji i instytucji, które podpisały porozumienie w sprawie pomocy oświacie. Ma ono obowiązywać przez najbliższe 10 lat. W 50 rocznicę powstania Polski Ludowej dokona się podsumowania tego wspólnego wysiłku. W historii PRL społeczeństwo już dwukrotnie pomagało w rozwoju oświaty. Mamy więc piękną tradycję i dziś do niej ponownie sięgamy. Każde społeczeństwo, jeśli chce się prawidłowo rozwijać musi wiele baczniej uwagi poświęcać sprawom oświaty. Potwierdza to historia naszego narodu. Zawsze w trudnych dla niego momentach światli ludzie występowali z inicjatywą rozwoju oświaty, bo w tym widzieli drogę do odrodzenia moralnego narodu, do jego zespolenia, wokół programu odrodzenia. Tak jest i dziś. Jeden z przemawiających powiedział więc, że robimy to nie dla państwa, nie dla władzy, a dla siebie.

— Polemizowałbym z jednym z przemawiających przede mną — powiedział na to prof. Henryk Jabłoński — że porozumienie to podpisujemy nie dla państwa, ale dla siebie. Dla państwa, bo państwo to my, bo państwo to my wszyscy. Robiąc coś dla siebie, robimy dla państwa. Robiąc dla państwa, robimy dla siebie. Jest to organiczny związek, używając modnego powiedzenia — sprzężenie zwrotne, bez którego nie byłoby socjalizmu w naszym kraju.

Kończąc swoje przemówienie prof. Henryk Jabłoński powiedział:

— To, co tutaj się stało, to podpisanie porozumienia powinno przynieść taką pomoc szkole w najróżniejszej formie, by coraz większe zastępy młodych łodzian miały postawę twórczą. Wtedy spokojny będę o budowę socjalizmu, o jego rozwój w Polsce.

Po południu, w Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego PZPR, odbyło się spotkanie przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego z nauczycielami historii, pracownikami naukowymi UŁ i innych wyższych szkół Łodzi, pracownikami naukowymi Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych WP, przedstawicielami organizacji młodzieżowej. Spotkanie to trwało przeszło 3 godziny. Prof. Henryk Jabłoński odpowiadał przez cały czas na liczne i różnorodne pytania. Był to piękny wykład o tym, jak należy pojmować historię, jak do niej podchodzić i jak młodych uczyć historii.

— Jak walczyć z mitami? — pytanie to, wynikające z wielu pytań zebranych, zadał sobie i innym prof. Henryk Jabłoński. I odpowiedział: — Po prostu prawdą, popartą rzetelnymi dokumentami.

Prof. Henryk Jabłoński pokazał w czasie tego spotkania nie tylko, jak należy pojmować historię, ale jak też należy o niej mówić. Była to dla wszystkich zgromadzonych wielce pouczająca lekcja.

BOGDA MADEJ

Przegląd prasy

Gdy Polacy zaczynają się liczyć, to nigdy nic dobrego z tej arytmetyki nie wynika. W każdym razie jest pewne, że co najmniej pokłócą się i poobrażają śmiertelnie. Tak jak się to przed kilkoma laty stało z demografami i futurologami. (Pamiętacie chyba dyskusję o tym, czy lepiej 2 + 1 czy 2 +2, a może 2+3, albo jeszcze więcej).

Kwestia przyrostu naturalnego polskiej nacji ma zawsze — obok racjonalnego opisu i interpretowania faktów — jakieś drugie oblicze pełne emocji, zacietrzewienia uprzedzeń i mitów. Toteż przewiduję, wszystko, co najgorsze dla Jana Rema, zwłaszcza ze strony wybitnie prokreacyjnie zorientowanych publicystów, ideologów i funkcjonariuszy katolickiego nurtu w naszym życiu umysłowym. Bowiem

JAN REM SKŁADA WIZYTY W ŁÓŻKACH

tym polskim parom, które zapragnęły rozmnażać się. Są to wizyty edukacyjno-ostrzegawcze...

Nie chcę przez to powiedzieć, że Jan Rem samozwańczo przyjął na siebie rolę instruktora, który — jedyny — wie, „jak się to robi" chociaż nie wątpię w jego bogaty, indywidualny dorobek w tej mierze. Edukacyjny sens wizyt Jana Rema wcale nie dotyczy technik „łóżkowych", ani też propagowania „watykańskiej ruletki" (czyli metody Ogino-Knaussa). Edukacyjny sens tych wizyt ma wymiar polityczny i ekonomiczny. Ich sens ostrzegawczy zresztą też.

Jan Rem zauważa, że: *„Na szczytach hierarchii władzy planuje się ogólną wielkość inwestycji, tempo rozwoju, podział dochodu, natomiast — to ilu nas będzie — jest mechaniczną sumą nieskoordynowanych decyzji indywidualnych. Społeczeństwo bez żadnych skrępowań, szerszej refleksji czy jakiejkolwiek kontroli określa wolontarystycznie, na jaką ilość nowych osób przyjdzie dzielić wspólny dorobek. Porozumienie prokreacyjne w najlepszym wypadku obejmuje tylko dwoje ludzi. Oni jednak decydują nie tylko o swoich własnych wzmożonych wydatkach i ciężarach, lecz swobodnie obarczają nimi ogół".*

Ján Rem konstatuje skądinąd słusznie, że nasi rozmnażający się rodacy cierpią na swoiste rozdwojenie jaźni. Z jednej strony narzekają głośno na kryzys, na ciężkie warunki życia — z drugiej beztrosko te warunki pogarszają, mnożąc się nader obficie, ergo: zwiększając ilość jednostek do wykarmienia i w ogóle obdzielenia, niechętnie jednocześnie myśląc o mnożeniu samych dóbr.

Jan Rem w gruncie nie ma nic przeciwko temu, abyśmy się rozmnażali. *„Społeczeństwo ma prawo powiedzieć tak — najważniejszym dla nas celem jest to.*

ABY POLAKÓW BYŁO JAK NAJWIĘCEJ

Wszystkie inne pragnienia traktujemy jako podrzędne. Godzimy się płacić cenę objętej rozrodczości przypadającej na okres trudności gospodarczych i rozwojowych. To byłoby w porządku".

Ale tak nie jest — słusznie zauważa Jan Rem. Jego zdaniem nie przyjmujemy do wiadomości wszystkich obciążeń wynikających ze zwiększonej rozrodczości. Osobno myślimy o rozrodczości, osobno o kwestiach socjalnych, dochodzie narodowym itp. *„Władze zaś są delikatne — pisze Jan Rem. Nie są skłonne niepokoić zmuszając do wyraźniejszego opowiadania się: albo lepsze życie mniejszej ilości ludzi, albo gorsze życie większej liczby osób; (...) Wszystko przedstawia się w sposób złagodzony, żeby uspokoić nastroje. Kołysanie owo sprzyja powstawaniu poglądów magicznych".*

Te „poglądy magiczne" — zdaniem Jana Rema — manifestują się w głoszeniu przekonania, że powinno nas być stać i na dzieci, i na wszystkie dobra materialne. Ale... *„od mówienia, że coś „powinno być" jeszcze nigdy nie zmieniały się realne warunki, w których prowadzona jest polityka gospodarcza i społeczna. (...) Mówienie o tym, co być powinno jest po prostu metodą ucieczki od realnych problemów wyboru. Stanowi ono manifestowanie niechęci do rzeczowej dyskusji, a nawet prawdziwego myślenia na własny użytek o problemach ogólnej skali".*

Na koniec tych słusznych uwag ogłoszonych w felietonie w „Tu i Teraz" (nr 49 — 5. 12. 1984 r.) Jan Rem postuluje: *„Wydaje mi się, że należy obliczyć i ogłosić koszty i skutki wzmożonej rozrodczości w Polsce (...) Celem takiej publikacji wcale nie byłoby*

PRZEDSTAWIANIE OBFITEGO ROZMNAŻANIA SIĘ JAKO ZŁA,

zwalczanie bujnej rozrodczości (...) Chodzi po prostu o to, aby dzieci płodzili ludzie dorośli znający skutki jakie ich decyzje powodują w społecznej skali i nie uciekając od myślenia o realiach".

Jestem cały za tym właśnie i gorąco popieram Jana Rema. Wszelako słusznym wydaje mi się uczynienie w tym miejscu pewnego zastrzeżenia, którego Jan Rem nie zrobił. Pewnie dlatego, że jest felietonistą w pewnym sensie związanym z rządem i nienawykłym do jego krytykowania.

Wielkość polskiego przyrostu naturalnego — mimo rozmaitych krzykliwych kampanii publicystycznych — nigdy chyba na serio nie zmuszała władz do prowadzenia aktywnej polityki pronatalistycznej, podszytej strachem o sama egzystencję narodu — wyjąwszy może krótki okres lat powojennych, gdy chodziło o odbudowę biologicznej substancji społeczeństwa. Nigdy nie musieliśmy stosować takiego systemu ekonomicznych zachęt do rodzenia dzieci, jaki wprowadzili w życie na przykład nasi południowi sąsiedzi. Nawet niezwykle, jak na standardy cywilizacji śródziemnomorskiej, liberalne (choć godziwe i słuszne) przepisy dotyczące przerywania ciąży nie zachwiały w sposób dostrzegalny naszym przyrostem naturalnym. No i tu jeszcze cały ten kryzys, spadek poziomu życia itp...

A dzieci mimo wszystko, coraz więcej. Dlaczego? Jestem zdania, że to „uboczny produkt" samego kryzysu, a raczej sposobów wychodzenia z niego. Przede wszystkim państwo uznało, że nie jest w stanie podtrzymać wysokiego odsetka zawodowej, produkcyjnej aktywności kobiet poprzez niezbędne wydatki inwestycyjne, czyli budowę wystarczającej ilości żłobków i przedszkoli. Po drugie — rozmaite naciski i konieczności spowodowały rozbudowę świadczeń socjalnych różnego rodzaju w krótkim czasie i ponad realne możliwości. Po trzecie — sądzono, że i kryzys, i reforma gospodarcza spowodują realną groźbę bezrobocia. Z tej obawy nie tylko wypędzano na emerytury, zachęcano także młode matki do jak najdłuższego pozostawania poza produkcją. Po czwarte wreszcie — sam kryzys, bestia jedna, nierównomiernie obciążył obywateli, najmocniej dotykając tych, którzy z powodów biologicznych bądź „filozoficznych" i tak nie rodziliby dzieci: ci pierwsi to ludzie starzy, ci drudzy to szybko pauperyzujący się tzw. inteligenci, którzy nie rozmnażają się nadmiernie z pobudek egoistycznych.

Wiele powodów złożyło się na to — pominąwszy dość istotne kłopoty rynkowo-zaopatrzeniowe — że zachowując naturalnie wszelkie proporcje,

KOMFORTOWA JEST SYTUACJA MŁODYCH KOBIET

mających dzieci. Biegli w kwestiach prawno-finansowo-statystycznych obliczyli nawet, że najkorzystniejsza, z punktu widzenia możliwości „wycyckania" kochanego ludowego państwa opiekuńczego jest sytuacja de iure samotnej matki trojga dzieci, najlepiej studentki, wspartej ekonomicznie o nieformalny związek z dobrze prosperującym partnerem — górnikiem lub butikowcem.

Żarty żartami, ale czy system socjalny, urządzony dla ochrony już istniejącego macierzyństwa, nie jest jednocześnie zachętą do szybkiego podejmowania indywidualnych decyzji o podłączeniu się do źródełka pieniędzy i przywilejów? Zwłaszcza że po pierwsze — istnieje obawa wyschnięcia źródła po drugie — decyzje podejmują ludzie młodzi, nieskorzy do refleksji ogólnej natury, a nawet odłączeni myślenia kategoriami państwa.

Więc niech się Jan Rem nie dziwi, że prokreacjoniści we współczesnej Polsce są tacy irracjonalni i egoistyczni, że nie potrafią myśleć po dorosłemu...

Teraz czekam tylko, aż ktoś zaproponuje chińską metodę rozwiązania problemu — chętni o szczegółach mogą sobie poczytać w „Forum" (nr 48 — 29. 11. 1984), w relacji dziennikarza zachodnioniemieckiego „Zeit Magazin" — jaki to wyrafinowany system kar wymyślił rząd Chin za posiadanie więcej niż jednego dziecka. Przyjemnej lektury...

TOMASZ SAS

Już za tydzień — 19 grudnia

— ukaże się w kioskach świąteczny numer „Odgłosów" 20 stron - cena 25 złotych W numerze między innymi:

„CZAS PRZEŁOMU I NADZIEI" — O WŁADYSŁAWIE GOMUŁCE ✱ REPORTERSKIE RELACJE Z PODRÓŻY DO WŁOCH, WYPRAWY PROMEM DO KOPENHAGI I HAMBURGA, Z PRAGI ✱ FRAGMENTY CZTERECH POWIEŚCI Z REDAKCYJNEGO ZAPASU — „BIAŁY PUNKT" WIESŁAWA ROGOWSKIEGO, „LETNI DOM WAMPIRÓW" BOGDANA LOEBLA, „WĄTPLIWOŚCI GUBIĆ PO DRODZE" KAROLA J. STRYJSKIEGO, „WAHADŁO" JACKA SAWASZKIEWICZA ✱ ROZMOWA Z WRÓŻKĄ ✱ OPOWIEŚĆ KRYMINALNA „WIGILIA BOLKA I LOLKA" ✱ ROZMOWA Z MARKIEM DZIUBĄ — PIŁKARZEM RTS „WIDZEW" ✱ „BOKS STARY JAK ŚWIAT" ✱ ORAZ KOLEJNY ODCINEK „RAPIERA NAPOLEONA"!

Dokończenie ze strony 1

cent więcej od przewidywanego wykonania w bieżącym roku. Budownictwo spółdzielcze da 5 tys. mieszkań. Plany te, trzeba dodać, bardzo skromne nie wydają mi się możliwe do zrealizowania. Sytuacja w mieszkaniówce jest zła. Tegoroczny plan po trzech kwartałach wykonany został ledwie w połowie, a przekazania lokatorom liczba mieszkań jest mniejsza niż w roku 83. Niczym więcej jak wróżeniem z fusów jest więc planowanie na podstawie tego co na pewno nie zostanie wykonane.

Około 5 tysięcy rodzin w województwie łódzkim znajduje się w bardzo trudnych warunkach mieszkaniowych i materialnych. Inne żyją w budynkach, które ze względu na fatalny stan techniczny należy zburzyć, zanim same się zawalą. Sporo rodzin czeka na realizację wyroków eksmisyjnych. Członkowie spółdzielni będą mieli przyspieszony przydział, pozostali muszą czekać na mieszkania komunalne, których w przyszłym roku powinno być 634. O wiele mniej niż potrzeba, ale stosunkowo bardzo dużo, bo prawie 10 proc. ogólnej liczby.

Wielu osobom wydaje się, że wystarczy trochę zdrowia, młode ręce i bankowy kredyt, by zacząć budować własny dom. Otóż sprawa nie jest taka prosta. Przede wszystkim potrzeba gotówki, przynajmniej 1,5 mln złotych na początek i to tylko na stan surowy budynku. Bank sprowadza wszystkie nierealne plany na ziemię. Niemniej pieniędzy na kredyty nie powinno w tym roku zabraknąć, choć wszystkie wnioski będą bardzo wnikliwie badane.

Miejskie Zarządy Gospodarki Terenami nie dysponują obecnie wolnymi *działkami budowlanymi. Plany* na przyszły *rok — 1000* mieszkań. A co dalej?

Do roku 1990 zakłada się w całym województwie przydzielenie ponad 20 tys. działek, pod warunkiem zmiany dwóch ustaw: o gospodarce terenami w miastach i na wsi (z 1961 r.) oraz o ochronie gruntów rolnych (z 1982). A jeżeli nie zostaną zmienione?

Szacuje się, że w końcu przyszłego roku będzie nas, mieszkańców województwa łódzkiego prawie jeden milion sto pięćdziesiąt pięć tysięcy. O 3,5 tys. wzrośnie liczba dzieci w wieku szkolnym (7—14 lat). Dużo. Ciasne klasy będą jeszcze bardziej zatłoczone, mimo że zostaną oddane trzy nowe i dwie rozbudowane szkoły. Niektóre placówki, zwłaszcza w nowych osiedlach mieszkaniowych — Radogoszcz, Retkinia, Widzew oraz w Pabianicach i Zgierzu pracować będą na dwie albo i trzy zmiany. Ten rok trzeba się jeszcze jakoś przemęczyć. Poprawa nastąpić może dopiero za dwa lata, po wybudowaniu bądź rozbudowie dalszych szkół.

Więcej dzieci będzie mogło pójść do przedszkola, chociaż jeszcze nie wszystkie. W związku z likwidacją żłobka przy Zakładach Polmos w Łodzi liczba miejsc zmniejszy się o 45. Jednakże trudności z uzyskaniem miejsca w żłobkach będą niewielkie i tylko w niektórych nowych osiedlach.

Przyszły rok zapowiada się jako szczególnie korzystny dla spraw kultury. Zakończona zostanie budowa biblioteki w osiedlu Retkinia. Oddany będzie po kapitalnym remoncie i rozbudowie Łódzki Dom Kultury wraz z kinem (wreszcie). Otwarty zostanie dział historii wnętrz (filia Muzeum Sztuki) w dawnym pałacu Herbsta przy ul. Przędzalnianej. Przewiduje się uruchomienie oddziału Muzeum Historii Miasta Łodzi przy placu Wolności, oddziału pod nazwą Muzeum Literatury i Prasy Łódzkiej. Jest to plon wieloletnich starań, bardzo potrzebny naszemu miastu.

Jednakże, aż przetarłem oczy ze zdziwienia, gdy przeczytałem, że w przyszłym roku liczba widzów w kinach zwiększy się o 15,4 proc. Czyżby zakładano dalszy wzrost poziomu nudy w Polskiej Telewizji i tak już wyśrubowany do astronomicznych rozmiarów. Jak można przewidzieć ilu osób, zrezygnowawszy z oglądania na żywo rosnącej brody red. Popiołka, zdecyduje się pójść do kina zamiast uciąć sobie krzepiącą drzemkę. A może wezwie się na front walki o plan, jak zwykle ofiarnych żołnierzy z pułku OTK, którzy zamiast pracować na budowie Centrum Zdrowia Matki Polki będą w ramach godzin społecznych robić frekwencję w kinach?

Wysoko notowany w kraju łódzki sport otrzyma kilka ważnych obiektów. Zakończona zostanie budowa hali Klubu Sportowego Anilana, przybędą korty tenisowe w Pabianicach. Dzieci Retkini i Widzewa będą mogły korzystać z dwóch nowych pływalni przyszkolnych.

Mieszkańcy osiedla 650-lecia w Zgierzu, a także niektórych dzielnic Łodzi, Pabianic i Ozorkowa już dawno kupili spore naczynia do łapania wody, wtedy gdy jest. A bywa najczęściej rano i wieczorem. W ciągu dnia, kiedy woda jest najbardziej potrzebna, krany mogą co najwyżej zagwizdać, ale ani jedna kropla z nich nie

Co nas czeka?

Foto: Archiwum

kapnie. Sytuacja nie zmieni się w przyszłym roku. Zakończona zostanie wprawdzie budowa lokalnych ujęć wody w Zgierzu, Pabianicach i Łodzi oraz ponad 20 kilometrów sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, ale głównie z przeznaczeniem dla nowego budownictwa. Również mieszkańcy peryferyjnych osiedli w miastach województwa nie mają co liczyć na wodociągi i kanalizację.

Podobnie rzecz się ma z gazem płynnym, to znaczy nie polepszy się, ale też, miejmy nadzieję, nie pogorszy.

Trochę krótsze powinny być kolejki po lodówki, pralki, telewizory czarno-białe, niektóre rodzaje mebli i inne artykuły przemysłowe, a to dzięki zamówieniom rządowym i programom operacyjnym. Wobec wytwórców szczególnie deficytowych towarów stosowane będą nadal przywileje materiałowe oraz preferencje ekonomiczne.

Braki artykułów przemysłowych będą jednak znaczne. Dlatego też zamierza się w dalszym ciągu prowadzić skup i sprzedaż artykułów używanych oraz działalność komisową. Niestety, tej drugiej podcięło skrzydła jedno z ostatnich zarządzeń Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług, zabraniające prywatnym sklepom typu kupno-sprzedaż handlowania nowymi artykułami pochodzenia zagranicznego. Skutek będzie taki, że importowane przez rodaków prywatnie towary trafią głównie na rynek, po równie wysokich, jeżeli nie wyższych cenach. Prawda, że prywatne komisy i butiki były sklepami nie dla wszystkich, ale też nie wszyscy mogą kupować w Modzie Polskiej czy w Pewexie.

MHWiU postanowiło również, że na prywatną działalność handlową nie będą otrzymywały zezwoleń osoby nie posiadające przynajmniej zasadniczego wykształcenia handlowego oraz rocznej praktyki w sklepie. Znaczy to, że inżynier przekładający bezproduktywnie papierki z miejsca na miejsce oraz magister filologii polskiej pracująca jako sekretarka, nie będą mogli rzucić państwowej roboty i zająć się przynajmniej robieniem pieniędzy. Muszą nadal się nudzić i klepać urzędniczą biedę.

Zarządzenie, o którym mowa, nie wróży stabilnej polityki MHWiU wobec prywatnego sektora usług. Wielu właścicieli sklepów typu kupno-sprzedaż miało koncesje ważne jeszcze na kilka lat. Czyż takie przekreślenie poprzednich decyzji nie może spotkać i innych przedstawicieli prywatnej inicjatywy? Jedyna nadzieja w przygotowywanej ustawie o drobnej wytwórczości, która być może ukróci prawodawczą twórczość (przez duże TWU) urzędników.

W przyszłym roku zmniejszy się nieco ścisk w tramwajach i autobusach. Zapewnią to spodziewane dostawy 30 dużych tramwajów i 49 autobusów, przy jednoczesnym zwiększeniu stopnia ich wykorzystania. Nie przewiduje się natomiast powrotu do starej, dobrej zasady kursowania w sobotę i niedzielę wszystkich linii autobusowych.

Z ważniejszych inwestycji prowadzonych na terenie Łodzi trzeba wymienić budowę Centrum Zdrowia Matki-Polki, Centrum Kliniczno-Dydaktycznego Akademii Medycznej, przebudowę ciągów komunikacyjnych łączących nowe osiedla z centrum w rejonie dworca Łódź-Kaliska w kierunku Retkini, a także ulicy Rokicińskiej w kierunku Widzewa z budową wiaduktu i przejść podziemnych. Warto wspomnieć o Grupowej Oczyszczalni Ścieków na Lublinku. Inwestycja ta niezwykle potrzebna naszemu miastu rozpoczęta została po partyzancku i tylko dzięki determinacji władz miasta. Wieloletnie starania przyniosły w końcu skutek. GOS znalazła się w planie centralnym, przydzielono pieniądze, gorzej z materiałami, ale w sumie dzięki temu znacznie ożywiło się tempo pracy. Pierwsze efekty spodziewane są w 1986 r.

Z nowych inwestycji, rozpoczynanych w przyszłym roku, oprócz budownictwa mieszkaniowego, uzbrojenia terenów i rolnictwa uznano za najpilniejsze dla województwa: szkołę podstawową z przedszkolem w Ksawerowie, rozbudowę szpitala im. H. Wolf, przepompownię ścieków przy szpitalu im. Babińskiego.

Łączne nakłady na inwestycje z budżetu województwa szacuje się na kwotę 6 miliardów 102 milionów 200 tysięcy złotych. Wartość ta stanowi górną granicę możliwości finansowych Łodzi. Jest to wzrost o 27,7 proc. w stosunku do roku 1984. Bardzo duży wzrost, nie uwzględniający inwestycji z funduszy społecznych (Centrum Zdrowia Matki-Polki) i celowych, budownictwa mieszkaniowego (ok. 10 mld), inwestycji przemysłu i in.

O konieczności zrealizowania wyżej wymienionych zamierzeń nie ma co dyskutować. Są one potrzebne miastu jak tlen ludziom. Przydałoby się jeszcze więcej. Pamiętać jednak należy, że wśród przyczyn kryzysu było inwestycyjne rozpasanie. Czy obecna kondycja pozwoli wytrzymać gospodarce te miliardy? Nie wiem. Oby.

Jeszcze o jednym chciałem powiedzieć. O zatrudnieniu. W związku z tym, że w województwie łódzkim występuje znaczny niedobór rąk do pracy w przemyśle kluczowym, powrócono do zasady sterowania zatrudnieniem. W związku z tym nie będzie możliwy wzrost zatrudnienia w firmach polonijnych oprócz tych, które produkują maszyny i urządzenia dla rolnictwa, sprzęt medyczny, materiały budowlane lub zajmują się przetwórstwem rolno-spożywczym. Takie stanowisko nie wytrzymuje krytyki z kilku względów. Po pierwsze pracownicy w firmach polonijnych pracują na ogół wydajniej niż ich koledzy z przedsiębiorstw państwowych, przez co wytwarzają więcej towarów, najczęściej rynkowych, na jednego zatrudnionego. Po drugie brakuje konsekwencji w postępowaniu. Udziela się up. preferencji rzemieślnikom świadczącym usługi krawieckie, a nie potrzeba konfekcji gotowej, której szyciem zajmują się m. in. krawcy z firm polonijnych. Po trzecie — brak rąk do pracy jest fikcją. W Polsce faktycznie tydzień pracy trwa 34 godziny na 42 teoretycznie. To oznacza, że co piąty Polak przychodzi do pracy i nic nie robi. Przyczynami są: zła organizacja pracy, brak surowców, oczekiwanie na narzędzia, przestoje spowodowane awariami itp. Ponadto co piąty zatrudniony przebywa na zwolnieniu. Tak więc na każdych pięciu pracowników w jednostkach gospodarki uspołecznionej dwóch nic nie robi. Takie są niestety fakty. Rąk do pracy trzeba szukać przez poprawę organizacji produkcji, a nie stawianie sztucznych barier. Po czwarte wreszcie — jest to sprzeczne, jak mi się wydaje, z zasadami reformy gospodarczej, gdzie konkurencyjność, w tym również konkurencyjność na rynku pracy powinna być kluczowym zagadnieniem. Wielkie przedsiębiorstwa muszą zacząć walczyć o pracowników. Pozytywnym przykładem są tutaj Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju.

Omawiając te kilka wybranych zagadnień z założeń wojewódzkiego planu na rok 1985 trzeba pamiętać, że województwo łódzkie nie jest jakimś wybranym regionem na mapie Polski. Przeżywamy takie same kłopoty, mamy takie same perspektywy jak inni mieszkańcy kraju. Być może nadal nasze sklepy, dzięki operatywności handlowców będą lepiej zaopatrzone niż w innych województwach. Może trochę skróci się okres oczekiwania na telefon w związku z przewidywaną rozbudową central. W innych dziedzinach różnice też nie są wykluczone, ale nie ma żadnych szczególnych powodów do tego, aby Łódź była wyraźnie wyróżniona czy wyraźnie poszkodowana.

Wiedzmy, że zbudowany plan jest planem kryzysowym, to znaczy opracowanym z poprawką na ciągłe trudności. Nadal brakować będzie surowców i materiałów, coraz częściej psuły się będą starzejące się maszyny, jeden zatrudniony utrzymywał będzie coraz większą liczbę osób nie pracujących.

Musimy również pamiętać, że nasza gospodarka działa nadal w warunkach ogromnej niepewności. Wiele rzeczy może się nagle zmienić przez co konieczna będzie modyfikacja założeń w dół lub w górę.

A nam cóż pozostaje — nadal mieć nadzieję, że będzie lepiej.

MAREK MAMOS

Remanent

Remanent — jak sama nazwa wskazuje — to czynność sprowadzająca się do spisania tego, co w danej chwili znajduje się w sklepie, przedsiębiorstwie i porównanie z tym, co być powinno zgodnie z wszelkimi dokumentami. Jak zrobić remanent łódzkiego województwa miejskiego? Jedynym sposobem jest sięgnięcie po „Rocznik statystyczny województwa łódzkiego". Tam statystycy wszystko zapisali. Można tam prześledzić, jak rozwijały się lub karłowaciały poszczególne dziedziny naszego życia. Można też zobaczyć, czy coś się zmienia w naszej gospodarce, czy „zapaliło się światełko w tunelu", czy „coś drgnęło"? Sięgnąłem więc po taki rocznik. Nieszczęście jednak w tym, że nosi on dumny napis: 1984, a dane obejmują tylko 1983 rok. A tu już kończy się rok 1984. Będzie to więc remanent jakby nieco spóźniony. O cały rok. Ale statystycy też muszą mieć czas na zebranie danych, opracowanie ich, poukładanie w przeróżne tabelki, które później znajdą się w roczniku.

Rozpoczynamy zatem remanent.

Powierzchnia województwa łódzkiego miejskiego nie zmniejszyła się i wynosi 1 523,1 km kwadratowych. Na tej powierzchni znajduje się 8 miast i 11 gmin. Mieszka, a przynajmniej mieszkało 31 grudnia 1983 roku, 1 146,5 tysięcy osób. Powierzchnia nam się nie zwiększa, ale ludności przybywa, bo w 1975 roku na tej samej powierzchni mieszkało 1 079,2 tys. osób. Ciaśniej robi się w miastach. Jeszcze w 1975 roku w miastach mieszkało 90,8 proc. ludności województwa, a w 1983 — 91,4 procent. W ogóle robi się ciaśniej, bo w 1975 roku na 1 km było 709 osób, a w 1983 — 753. Jak tak pójdzie dalej?

Ludzie muszą gdzieś mieszkać. Powolutku poprawiają się warunki mieszkaniowe. Jeśli na przykład w 1978 roku na tysiąc osób przypadały 932 izby, to w 1983 roku — 1 008. I odwrotnie: w 1983 roku na 1 izbę przypadało 0,99 statystycznej osoby, podczas gdy w 1978 — 1,07. Nie zmienia to faktu, że tempo budowania spadło znacznie. W tym samym 1978 roku oddano do użytku 11 531 mieszkań, a w 1983 — 5 568. Spadek budownictwa lepiej jeszcze ilustruje ilość oddawanych mieszkań przypadających na tysiąc mieszkańców. W 1978 roku było to 10,4 mieszkań, a w 1983 roku — 4,9. Jest to najniższa ilość oddanych mieszkań od 1975 roku. A na mieszkania czekają ludzie, najczęściej młodzi ludzie, którzy potrzebują właściwych warunków dla rozwoju swojej rodziny. W tej dziedzinie naszego życia remanent wypada bardzo niepomyślnie!

Województwo łódzkie miejskie — jak sama nazwa wskazuje i jak wskazuje na to procent ludności mieszkającej w miastach — nie ma wielkiego znaczenia w gospodarce rolnej, nie stanowi nawet rolniczego zaplecza Łodzi w takim stopniu, w jakim to jest konieczne. Tym bardziej musi niepokoić fakt ciągłego znikania ziemi ornej, zmniejszania się powierzchni użytków rolnych. Powierzchnia województwa się nie zmienia, a ziemi przeznaczonej pod rolnictwo coraz mniej. Wniosek stąd prosty — rosną miasta. Jeśli rosną przy tak niskim tempie budowania, to co będzie, gdy to tempo wzrośnie?

W 1976 roku zniknęło 980 ha użytków rolnych, w 1978 — 1 000 ha, w 1980 — 196 ha, w 1983 — 280 ha. W tych samych latach w ogóle wyłączono z produkcji rolnej: w 1976 — 269 ha, w 1978 — 283 ha, w 1980 — 143, w 1983 — 94 ha. I niech nas nie zmyli najniższa liczba ha w 1983 roku. Najmniej wtedy budowano.

A może w tym czasie coś odzyskano dla rolnictwa? Taka możliwość przecież też istnieje. Owszem. Zrekultywowano — bo to tak się nazywa. W 1978 roku zrekultywowano na przykład 57 ha, a do zrekultywowania wówczas było 317 ha. W 1983 roku zrekultywowano 15 ha — jest to więcej niż w 1981, kiedy zrekultywowano 5 ha — ale do odzyskania było w 1983 roku 352 ha. Więcej więc tracimy, niż odzyskujemy. Proces to dość niebezpieczny, bo chcemy przecież sami się wyżywić. Nie my w Łodzi, ale w Polsce. A rolnictwo traci ziemię nie tylko w Łodzi. Pod nami coraz mniej ziemi porosłej uprawnymi roślinami. A co nad nami? Nad nami powietrze, do którego 39 fabryk wysyła gazy i pyły. W latach 1978—1982 było tych zakładów 40, ale jeden ostatnio odpadł. To cieszy. Mniej jednak będzie radości, gdy zobaczymy, że pyły emitowane przez te 39 fabryk w powietrze są redukowane w 89,8 procenta, a gazy... tylko w 6,5 procenta.

W województwie łódzkim miejskim pracowało w 1983 roku 441,2 tys. osób. Znacznie mniej niż w 1975 roku. Statystyka notuje ciągły spadek zatrudnienia w gospodarce uprzemysłowionej: w 1975 roku — 531,8 tys., 1978 r. — 519,4 tys., 1982 r. — 450,1 tys. W przemyśle pracowało w 1983 roku 210,9 tys. osób.

Na ogół mówi się, że Łódź jest miastem pracujących kobiet. Istotnie odsetek kobiet pracujących jest wysoki. Utrzymuje się od lat w granicach 50 procent: w 1975 roku — było 49,6 proc., w 1978 r. — 50,3 proc., w 1980 r. — 50,4 proc., w 1983 r. — 50,2 proc.

Rośnie nam też grupa ludzi nieprodukcyjnych. Wedle statystyki człowiek produkcyjny to taki, który znajduje się w wieku: mężczyzna od 18 do 64 lat, kobieta od 18 do 59 lat. Pod warunkiem wszakże, że zdrowie ma takie, iż może pracować. Statystycy obliczyli, że w województwie łódzkim miejskim na każde 100 osób przypada 59 osób nieprodukcyjnych, a więc albo przed 18 rokiem życia, albo po 60 dla kobiet i 65 dla mężczyzn, albo na rencie. Tak więc każde 41 pracujących utrzymuje nie tylko siebie, ale dodatkowo 1,04 osoby statystycznej a nie pracującej — uczącej się lub rencistę czy emeryta. Wbrew powszechnym opiniom odsetek niepracujących był wysoki przez cały czas: w 1975 roku — 55 osób, w 1978 — tyleż samo, w 1980 — 56, w w 1983 — 58. Tak więc wcześniejsze emerytury — na które tak narzekano — zwiększyły w porównaniu z 1978 roku liczbę niepracujących przypadającą na każde 100 osób o 4 osoby. A zatem w 1978 — podobnie było i w 1979 roku — każdy pracujący utrzymywał dodatkowo 1,02 statystycznej osoby, a w 1983 roku — 1,04.

Powoli odzyskujemy swoją pozycję w krajowej wielkości nakładów inwestycyjnych. Jeśli w 1978 roku nakłady w województwie wynosiły 2,5 proc. nakładów całej Polski, to w 1980 było to 2,1 proc., a w 1983 — 2,4 proc. Gorzej jest natomiast ze stanem zużycia środków trwałych w przedsiębiorstwach uspołecznionych. Tu obserwujemy swego rodzaju postępujący paraliż. Zużycie środków trwałych postępuje nieustannie i jeśli w 1978 roku wynosiło 34,6 proc., to w 1983 roku osiągnęło już 40,4 procent. Niepokojący to stan. Można nawet już powiedzieć — alarmujący! Środki trwałe naszej gospodarki muszą być odnawiane. A tu mamy proces odwrotny. Przemysł się starzeje i zużywają się maszyny. W tym czasie świat idzie naprzód. A kto za tym postępem nie nadąża, ten nie tylko stoi w miejscu, ten się cofa!

Czas kończyć remanent. Nim jednak zakończę, chciałbym przedstawić Czytelnikom małą ciekawostkę. Otóż kryzys znalazł też odbicie w sprzedaży gazet i czasopism na 1 mieszkańca. W 1975 r. sprzedano 112 egzemplarzy gazet. I to był rekord, bo już w 1978 roku sprzedano 107 egzemplarzy gazet, a w 1981 — kiedy to wszystko znikało z kiosków — 94 egzemplarze, w 1982 — 82 i w 1983 — 93. Następuje odbudowa sprzedaży przeliczanej na 1 mieszkańca. Podobnie ma się to z czasopismami: w 1975 — 25 egzemplarzy, w 1980 — 20, w 1981 — 17, w 1982 — 15, w 1983 — 13.

I to by było na tyle!

LUCJAN BOGUSZ

A cóż dziś jest łatwe?

Dokończenie ze strony 1

narodowych i samorządu mieszkańców w ramach samorządu terytorialnego stwarza taką możliwość. Daje możliwość stanowienia, bezpośredniego uczestniczenia w organizowaniu życia zbiorowego i kierowaniu nim.

— Tak zostało zapisane w ustawie. Ale nie po raz pierwszy rady narodowe zostały określone jako ogniwa samorządu społecznego.

— Ale jako ogniwa samorządu terytorialnego dopiero w ustawie z lipca 1983 roku.

— Samorząd mieszkańców już wcześniej otrzymał znaczne uprawnienia. I nie były to tak trudne czasy, jakie mamy dziś. A jednak zainteresowanie samorządem nie było znów tak wielkie. Jedni lekceważyli samorząd mieszkańców, inni byli wobec niego obojętni. Dziś zresztą też zainteresowanie samorządem mieszkańców nie jest duże. Skąd to się bierze?

— Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie według pewnej kolejności spraw.

Po pierwsze — jeśli coś zostało zapisane w ustawie, to sam ten fakt nie zmienia automatycznie rzeczywistości. Rzymianie wprawdzie mawiali, że „słowa pociągają czyny", ale to tak nie jest. Żaden zapis sam nie tworzy sytuacji. Stwarza warunki prawne, a pozostaje jeszcze społeczna akceptacja tego, co ustanowiło prawo.

Po drugie — proces kształtowania się świadomości społecznej kieruje się własnymi prawami. Nigdy nie jest mechanicznym odbiciem rzeczywistości. Na proces ten — jak to podkreśla w swojej książce „Logika walki" prof. Janusz Reykowski — nie tylko wpływa to, co obiektywne. Działają tu bardzo różne i skomplikowane mechanizmy. No, i czas. Proces ten zachodzi bowiem w czasie i nikt nie jest w stanie określić, jak szybko zachodzą zmiany w świadomości społecznej. I jak są trwałe.

Po trzecie — są różne i sprzeczne próby podejścia do przemian w świadomości i do procesu rozwijania i kształtowania demokracji socjalistycznej. Jedni na przykład mówią: czy nas dziś stać na rozwijanie samorządów? Ich zdaniem ludzie w Polsce nie dorośli do demokracji, trzeba ich więc dopiero do tego przygotować.

— To tak, jakby można było założyć szkoły demokracji i uczyć w nich ludzi.

— Zwolennicy tego poglądu zakładają, że można ludzi przygotować do korzystania z demokratycznych instytucji bez rozwijania tych instytucji, bez ich istnienia.

Ale inni powiadają, że wystarczy zapełnić w sklepach półki towarami, a wszyscy już zaraz będą za socjalizmem i będą szybko sprawnie realizowali to, co zawiera w sobie „Ustawa o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego".

— Tylko że opozycja nam się narodziła, gdy półki były jeszcze pełne.

— No, właśnie. Jeśli więc postanowiliśmy nie tylko przyjąć taką ustawę — a uczynił to Sejm PRL — ale i ją realizować w określonych warunkach społeczno-politycznych, to nie możemy się spodziewać, że fakt ten natychmiast zmieni rzeczywistość, a co więcej, w sposób rozstrzygający wpłynie na zmianę świadomości społecznej.

— Należałoby raczej powiedzieć, że fakt ten zapoczątkował pewien proces. A jak można byłoby określić warunki społeczno-polityczne, w jakich ten proces się zaczął?

— Badania socjologiczne dają na to pytanie odpowiedź. Ich wyników nie można wszakże absolutyzować. Jest to bowiem proces uchwycony w jakimś momencie.

Z sondaży socjologicznych wynika, że tak jak władza lub podobnie myśli około 25 proc. badanych. Nie wyklucza to wcale, że nie mają oni takich czy innych krytycznych uwag do poczynań władzy. Tyleż samo badanych ocenia poczynania władzy negatywnie. Ale ich znów nie można utożsamiać z opozycją. Oceny i koncepcje antykomunistyczne ujawnia 5—7 proc. badanych. Pozostaje cała reszta, nazywana przez niektórych autorów „pustką socjologiczną". Ale w polityce żadnej pustki nie ma. Jeśli nawet ktoś odżegnuje się od polityki, to jest to też postawa polityczna.

— Takie trójdzielne zróżnicowanie występuje nie tylko w społeczeństwie polskim.

— W każdym społeczeństwie jest podobnie. Jeśli sięgnąć do badań przeprowadzanych na Zachodzie, to okazuje się, że również w każdym z tamtych społeczeństw są grupy ludzi, którzy popierają poczynania władzy, jej programy, są tacy, którzy są temu przeciwni, są tacy, którzy je zwalczają i są obojętni. Przyczyny tego stanu rzeczy są różne, sam stan zróżnicowania podobny.

— A jak w świetle tego można ocenić przebieg wyborów do samorządów mieszkańców w mieście i na wsi?

— Dysponuję danymi do 15 listopada 1984 roku. Do tej daty przeprowadzono 110 zebrań i konferencji. W pierwszym terminie — 52, w drugim — 58. W miastach, na planowanych 200 zebrań i konferencji, przeprowadzono 21, w gminach na planowanych 264 — 89. Zakończą się one wszystkie do 12 grudnia, więc i ich intensywność pod koniec listopada i na początku grudnia będzie większa.

— Jaka była frekwencja?

— Mówimy tylko o tych danych, które dotyczą zebrań i konferencji, jakie odbyły się do 15 listopada. W miastach województwa łódzkiego w zebraniach lub konferencjach uczestniczyło 40 proc. uprawnionych, a na wsi — 60 proc.

Jeśli chodzi o te zebrania, na których byłem, lub o przebiegu których wiem, to była tam autentyczna dyskusja, ludzie mieli wiele pretensji do działaczy samorządowych, działacze ci bronili się przed zarzutami w oparciu o fakty, o znajomość mechanizmów funkcjonowania władzy terenowej, administracji, w oparciu o konfrontację potrzeb i możliwości.

W moim przekonaniu wybory do samorządów mieszkańców były znakomitą — nie docenianą zresztą — szkołą postaw obywatelskich, szkołą demokracji. To nie była dyskusja między przedstawicielami władzy i społeczeństwem, jaka się czasem toczy w prasie, radiu czy telewizji. Tu się ścierały z sobą poglądy i postawy znajomych, sąsiadów, przyjaciół czasem.

Boję się jednak, żebyśmy po 12 grudnia 1984 roku nie zapomnieli o wyborach, o samorządzie mieszkańców, tak jak to się stało w pewnym stopniu z radami narodowymi. Do 17 czerwca i trochę po, wiele o tym pisano mówiono, później nastąpił spokój. Ale to tak na marginesie.

— Nie dało się zauważyć rozbieżności między tym, co określa ustawa, a tym, czego oczekują mieszkańcy?

— Pytanie sugeruje pewien schemat. Z jednej strony zwolennicy ustawy, a z drugiej cała reszta, która czegoś tylko chce. Rzeczywistość była zupełnie inna. Z przykrością muszę powiedzieć, że zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie — choć to przecież podział fałszywy — byli ludzie, którzy nie bardzo wiedzieli, jakie uprawnienia daje im ustawa.

— Nie zrozumieli, czy nie przeczytali?

— Chyba i jedno, i drugie. Ale z tego faktu wynika wdzięczne zadanie, między innymi dla komisji do spraw samorządów rad narodowych.

— Wdzięczne, czy konieczne?

— Wdzięczne bo konkretne. Trzeba do świadomości tak działaczy samorządów, jak i mieszkańców doprowadzić te wszystkie treści, które zawiera w sobie ustawa. Będzie to praca wielowarstwowa, same komisje tego nie zrobią. Liczymy na pomoc działaczy samorządowych, środków masowej informacji. W osiedlach, na wsi, w gminach, realizuje się to, co jest istotą polityki. Organizuje się tam życie zbiorowe, kieruje się nim. Tego nie zrobi sama władza, najlepsi nawet organizatorzy. Socjalizm nie jest ustrojem dla władzy, dla partii, jest ustrojem dla ludzi. Socjalizm jest ustrojem społecznym, a więc budować go musimy razem. Jest to też zadanie dla samorządu.

Ale zacząć trzeba od spraw najprostszych. Musimy doprowadzić do świadomości jak najszerszych kręgów społecznych treść 13 rozdziału ustawy, który mówi o samorządzie terytorialnym.

— Czy powodem mniejszego niżby się chciało zainteresowania samorządem mieszkańców jest nieznajomość wszystkich treści, jakie niesie z sobą ustawa? Mam, co do tego pewne wątpliwości. Uprawnienia samorządu mieszkańców dotyczące opiniowania planów społeczno-gospodarczych, uprawnienia kontrolne i opiniodawcze dotyczące tego wszystkiego, co się dzieje na ich terenie, nie są przecież niczym zupełnie nowym. Może warto byłoby się zastanowić, czy praktyka lat minionych nie była taka, że z tymi opiniami mało się liczono, często je ignorowano. Czy to nie wpłynęło na rangę i rolę samorządów ujemnie? Czy właśnie to nie spowodowało, że i dziś zainteresowanie sprawami samorządowymi jest dość skromne?

— Zapewne i takie przyczyny działały. Ale chciałbym zwrócić uwagę na dość powszechną postawę sprowadzającą się do tego, że ludzie mówią: wybraliśmy was, no to teraz działajcie, róbcie, a my was później rozliczymy! Ja bym nie przesadzał z tymi skutkami minionej praktyki. Występuje też i inne zjawisko, którego przyczyny są bliższe naszym czasom — jesieni 1984 roku — niż praktyka lat siedemdziesiątych.

— Jakie to przyczyny?

— Opadła już fala żywiołowości. Upadło przekonanie, że można wszystko obalić, podważyć, a na to miejsce stworzyć coś nowego. Nastąpiło więc odejście od zachowań zbiorowych. Ugruntował się swoisty realizm, polegający na respekcie wobec władzy. Ale jest to respekt szczególny, bo oparty na dystansie. Obserwuje się przecież postawę nazywaną „ucieczką w prywatność". Nie bałbym się powiedzieć, że u niektórych ludzi wzrosło poczucie bezsilności. Próbowali coś zrobić, mieli dobre intencje, ale im się nie udało. Teraz wolą zamknąć się w kręgu spraw własnych, prywatnych. Różne są zresztą przyczyny tej ucieczki w prywatność. I jest to chyba naturalne. Byłoby na przykład bardzo źle, gdyby w jakimś sprawozdaniu komunikowano, że na zebraniu wyborczym była 100-procentowa frekwencja.

— Czy taki wypadek nie mógłby się zdarzyć?

— Oczywiście, że tak. Ale, gdyby się to powtarzało, to znając realną ocenę sytuacji społeczno-politycznej, nastroje i różne zjawiska społeczne oraz stan świadomości społecznej można byłoby podejrzewać, że nie wszystkie sprawozdania są prawdziwe.

Nie to zresztą najbardziej mnie martwi, ale sygnalizowane przez niektórych działaczy samorządowych poczucie osamotnienia. Muszę się przyznać, że jako radny też dyżuruję i na ogół na takie dyżury przychodzą do mnie tylko działacze samorządowi. A wolałbym rozmawiać z szerszym gronem wyborców.

— Nie mam zamiaru kwestionować różnorodności przyczyn owej ucieczki w prywatność. W ogóle każde zjawisko społeczne ma zazwyczaj źródło w wielu różnych przyczynach. Ale można byłoby zastanowić się, dlaczego w wyborach samorządowych, które odbyły się do 15 listopada 1984 roku większa frekwencja była na wsi niż w mieście. Tradycja samorządu na wsi jest większa. Zgoda. Ale myślę, że i wzajemne stosunki na wsi sprzyjają częstszym kontaktom, silniejsze są więzi sąsiedzkie. Na wsi łatwiej spotkać się na drodze, w spółdzielni, przy płocie i porozmawiać. W blokach ludzie często mieszkający w jednej klatce schodowej nie znają się, nie kłaniają się sobie, nie rozmawiają. A cóż dopiero mówić o bloku, gdzie klatek jest sześć, dziewięć, a w każdej klatce po 10 pięter. Gdzie się mają spotykać? W pralni? To nie jest najlepsze miejsce do sąsiedzkich rozmów. Poza tym w blokach na ogół mieszkają ludzie z różnych krańców Łodzi, z różnych środowisk. Tak więc przyczyny ucieczki w prywatność widziałabym nie tylko w tym, co się u nas wydarzyło po 1980 roku, ale w ogóle w wielkim procesie kształtowania się nowej społeczności, wyniklym z gigantycznej przebudowy miasta. Bo, choć nadal brakuje mieszkań, to Łódź dziś składa się z kilku nowo wzniesionych małych i średnich miast.

— Zgoda. Nie mam zamiaru tych przyczyn kwestionować, ani nie chcę ich odrzucać. Mogę tylko powiedzieć, że ustawa o radach narodowych i samorządzie bierze ten stan rzeczy pod uwagę. Oto w artykule 157, ust. 3 mówi się, że „samorząd mieszkańców w celu integracji społecznego działania w osiedlu mieszkaniowym miasta i w sołectwie w gminie współdziała z organizacjami społecznymi".

— Ale też samorząd nie może być kółkiem wzajemnej adoracji kilku osób z osiedla, ani też jego działalność nie może sprowadzać się do wywieszania ogłoszeń i zarządzeń. Samorząd musi być widoczny poprzez swoją działalność w interesie mieszkańców. To chyba najlepszy sposób na przekonywanie ludzi do idei samorządu.

— Zgadzam się. Ludzie są ważni. Ludzie decydują. Ale ludzie są różni. To od nich zależy, czy powstanie kółko wzajemnej adoracji, czy nie, czy będą mieli właściwą siłę przebicia, czy nie, czy potrafią zdobyć zaufanie innych, czy nie. Gdy załamią się pierwszymi niepowodzeniami i zamkną się we własnym kręgu, to nikt się takim samorządem nie będzie przejmował.

— Przestanie to w końcu być samorząd.

— Ale, czy zawsze jest to wina działaczy samorządowych? Według mnie nie. Posłużę się przykładem. Byłem na takim zebraniu, gdzie kilka osób strasznie krzyczało na działaczy samorządowych: dajcie, zróbcie, bo jak nie, to my was! Niekiedy nawet obrażano tych działaczy, którzy przecież innym poświęcają swój prywatny czas. Kończy się zebranie, wychodzimy razem i okazuje się, że ten, kto najgłośniej wołał o parking podjechał samochodem pod samo wejście do szkoły, gdzie odbywało się zebranie. Inna znów kobieta, która krytykowała stan zieleni w osiedlu wyrzuca na trawnik bilety tramwajowe, jakie zebrały się w kieszeni jej płaszcza, a obok stały dwa kosze na śmieci.

— Są i takie przykłady, kiedy ludzie zbierali się, wspólnie własnym wysiłkiem budowali parking strzeżony, a dopóki nie znaleźli stróża — którego opłacają — to dyżurowali po nocach i pilnowali samochodów.

— Każdy z nas może przedstawić różne przykłady. Mogę powiedzieć, że jednak wielu spółdzielców własność spółdzielczą traktuje jak obcą, a co gorsza, takie postawy reprodukują się.

Będę jednak upierał się przy dużym znaczeniu uświadamiania czy edukacji — różnie to można nazwać. Wiele bowiem nieporozumień wynika z nieświadomości. Działacz samorządowy z racji swoich kontaktów z administracją, zarządem spółdzielni, z agendami rady narodowej wie dokładniej, pełniej o mechanizmach funkcjonowania osiedla, spółdzielni. Potrafi zbilansować potrzeby z możliwościami, wie, co i kiedy jest możliwe. A nie wszyscy to dobrze znają. Nauczyli się żądać. Gdy się im tłumaczy, co jest możliwe, a co nie, to gotowi są posądzać o skumanie się z administracją i zarzucają takiemu działaczowi: — a bo pan się zwąchał z administracją, idzie pan z nimi ręka w rękę! Sam doświadczyłem czegoś takiego, gdy jako radny próbowałem interweniować u naczelnika dzielnicy w interesie mieszkańców osiedla. Wytłumaczono mi, że jak tylko powstanie możliwość, zaraz nam pomogą. Przekazałem tę wiadomość i usłyszałem, że się dałem naczelnikowi wykiwać.

Do czego zmierzam? Do tego, że samorząd będzie działał skutecznie wtedy, kiedy będzie rozumiany przez wyborców, kiedy będzie miał ich zaufanie i pozyska ich do współdziałania, kiedy faktycznie stanie się organizatorem życia w osiedlu czy na wsi.

— Często jednak się zdarza, że w samorządzie pracują ludzie starsi, już na emeryturze, którzy mają dużo zapału, czasu i dobrych chęci, ale nie bardzo potrafią sobie poradzić z trudnymi problemami współczesnego życia. Czasami swoją rolę rozumieją bardziej jako rolę stróża niż organizatora.

— A zatem, co robić, aby tak nie było? No, to może spróbować przyciągnąć do współpracy organizacje młodzieżowe.

— Organizacje młodzieżowe? W *osiedlu*? Cóż to za pomysł? Przecież na *osiedlu* tych organizacji w ogóle nie widać.

— Podobna reakcja następuje, gdy młodym aktywistom i działaczom ZSMP czy ZSP proponuje, aby zapoznali się z 13 rozdziałem ustawy i znaleźli w nim rolę dla siebie.

— I co oni na to?

— Że oni są organizacją, a to co innego niż samorząd. Poza tym ustawa mówi, że to samorząd ma szukać partnerów wśród organizacji społecznych, więc niech oni przyjdą do nich. A ja im na to, że jak samorząd nie przychodzi, to niech *oni* idą tam, gdzie mieszkają przecież ludzie młodzi, którzy też mają swoje interesy, kłopoty, problemy, a organizacje młodzieżowe są od tego, aby interesy te wyrażać i bronić.

— I jakie są skutki takiej zachęty?

— Czasami działacze organizacji młodzieżowych uświadamiają sobie, że terenem ich pracy może też być miejsce zamieszkania. Coś z tego powinno wyniknąć i dla praktyki samorządów i dla działalności organizacji, nie tylko młodzieżowych. Ideałem byłoby przecież, gdyby więcej różnych organizacji społecznych, samorządnych włączało się do współpracy z samorządem mieszkańców i radami narodowymi.

— No, i gdyby temu samorządowi nie przeszkadzała biurokracja naszej administracji.

— Gdy samorząd w swoim działaniu nie będzie osamotniony, to i łatwiej będzie mu poradzić sobie z biurokracją. Ustawa przecież mówi wyraźnie — o czym już wspominaliśmy że rada narodowa razem z samorządem mieszkańców stanowi samorząd terytorialny. Ale sprawami samorządu, na przykład na Retkini, nie może się zajmować tylko Dzielnicowa Rada Narodowa Polesia, ale również Rada Narodowa Miasta Łodzi. Trzeba się tym zajmować wspólnie, a nie oddzielnie. Wtedy łatwiej coś osiągniemy.

Poza tym do tej pory wiele się mówi o tym, że samorząd mieszkańców musi być. Więc on już jest. Zostały wybrane jego organa. Teraz pora zacząć mówić o tym, co chcemy osiągnąć przy pomocy samorządu, czym się ten samorząd ma zajmować, z kim ma współpracować, co robić, aby społecznicy tam działający nie byli osamotnieni, żeby działał samorząd terytorialny jako całość, a nie tylko jego organy. Potrzebny jest więc program — i to nie tylko program w skali jednego samorządu — potrzebny jest program rozwijania samorządności, pozyskiwania dla tej idei ludzi oraz wysiłek organizacyjny dla realizacji tego programu. I obowiązkiem rad narodowych wszystkich szczebli jest pomóc w osiągnięciu tego.

— Piękne to, ale diabelnie trudne.

— A cóż jest dziś łatwe?

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Foto: Grzegorz Gałasiński

(1)

Mam wyrzuty sumienia

TOMASZ SAS

„Albowiem w pewnym stopniu czuję się odpowiedzialny za ten cały sui generis skandal artystyczno-obyczajowy, wywołany wokół powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach".

1.

A rzeczy tak się miały: w sierpniu ubiegłego roku (dokładnie osiemnastego sierpnia) Nienacki poskarżył się publicznie w „Szpilkach", że stary, pruderyjny harcerz Koźniewski „dostał konwulsji" po przeczytaniu paru fragmentów nowej powieści do tych por mienagannego moralnie Pana Samochodzika — dlatego w „Tu i Teraz" się ona nie ukazała. Zacytowałem te kwestię ze „Szpilek" w naszym przeglądzie prasy („Odgłosy" nr 35 — 27.08.83), prosząc Nienackiego o nadesłanie nam tych „Skiroławek". W ślad za ofertą w gazecie wysłaliśmy list do pisarza i w odpowiedzi otrzymaliśmy przesyłkę z czterdziestoma stronami pierwszego tomu powieści. Wypełniły one siedem gazetowych odcinków, które drukowaliśmy od numeru 43 (22.10.83) do numeru 49 (03.12.83).

Sukces czytelniczy i nakładowy, jaki dzięki Nienackiemu i jego bohaterom — marszandce Aldonie, malarzowi Porwaszowi i Widiągowej, zonie sąjowego, zwłaszcza — osiągnęliśmy, przewyższył nasze najśmielsze oczekiwania. Bo proszę spojrzeć na taką sekwencję liczb: od trzynastu tysięcy nakładu z 20-procentowym garbem zwrotów w sierpniu ubiegłego roku do czterdziestu w kwietniu br. (ze zwrotami poniżej 1,5 proc.!).

2.

Nigdy nie zamierzaliśmy ukrywać, że ten największy w całym 35-leciu pisma przypływ prosperity zawdzięczamy niemal w całości nowej powieści Zbigniewa Nienackiego. Piszę „niemal", bowiem przypisując całość sukcesu „Skiroławkom", byłbym niesprawiedliwy wobec wysiłku etatowych dziennikarzy i współpracowników „Odgłosów", którzy starali się — i nadal to czynią, choć naturalnie z różnymi efektami — dostarczać czytelnikom na pozostałych piętnastu stronach lektury równie atrakcyjnej, aczkolwiek z innych dziedzin życia. Zwłaszcza pominięcie wkładu „Czarnej Wdowy" Bronisławy Czerniogradzkiej w dzieło windowania nakładu byłoby grzechem niewybaczalnym; ona to właśnie spowodowała pierwszy odczuwalny wzrost sprzedaży tygodnika — osiemnaście tysięcy nakładu w październiku ub. roku.

3.

W końcu grudnia 1983 roku, gdy już przestaliśmy drukować fragmenty pierwszego tomu „Raz w roku w Skiroławkach" (co za długi tytuł! — pozwolą państwo, a i autor zapewne się nie obrazi, jeżeli odtąd powieść tę będę po prostu nazywał „Skiroławki" — tak jak to czyni lud polski w swym prześmiewczym i uproszczonym niby-języku...), w końcu grudnia osiągnęliśmy nakład trzydziestotrzytysięczny — w aurze „skandalu" wywołanego przez Daniela Passenta, napuszczonego — co onże Passent sam przyznał — przez jakiegoś czytelnika, przy pomocy paru cytatów i rysunku Janusza Szymańskiego-Glanca (który od początku ilustruje „Skiroławki"), na Nienackiego.

Passent, namiętnie poszczuty, sprawił się gracko. Ani Zbigniew Nienacki, ani „Odgłosy" — nie mogliśmy liczyć na lepszą reklamę, nawet za grube pieniądze (które nb. Nienacki — jak sam twierdzi — ma, ale my nie...). Daję słowo honoru, że nikt z nas ani naszych przyjaciół nie wpadł na ścieżkę makiaweliczny, cyniczny pomysł autoszczucia. Co zresztą nie świadczy najlepiej o naszej przenikliwości i zdolnościach taktycznych w dziedzinie gier propagandowych. Na szczęście nasza prostolinijność została szybko skorygowana przez anonimowego i samozwańczego cenzora obyczajów współczesnych... W każdym razie passentowy szczwacz zrobił kawał dobrej roboty; dziękujemy Ci, nasz nieznany — i zapewne mimowolny — sojuszniku!

Mógłbym nawet spróbować nakreślić Twój portret psychologiczny, ale po co właściwie? I tak najlepiej określił podobnego typa Stanisław Mackiewicz-Cat (w felietonie „Historia jest nauką psychologiczną" — pierwodruk w londyńskich „Wiadomościach", spadkobiercy przedwojennych „Wiadomości Literackich" Grydzewskiego z 20 czerwca 1954 roku — przedrukowanym w zbiorze gazetowych tekstów Cata pt. „Kto mnie wołał czego chciał..." — PAX, Warszawa 1972)...

„Zawsze patrzę podejrzliwie na tych, którzy głośno wyrzekają na zbytni erotyzm. Miałem kiedyś, gdy byłem wydawcą gazety, takiego urzędnika administracji, który chodził z legitymacją naszego wydawnictwa po Wilnie i robił sklepikarzom awantury, że wystawiają nieprzyzwoite pocztówki. Napędziłem dramu z miejsca i naturalnie okazało się później, że był zboczeńcem seksualnym. (...) muszę przyznać, że zawsze wszyscy cenzorzy erotycznej moralności, zwłaszcza działający w tej dziedzinie na ochotnika, budzą we mnie podejrzenie, że z nimi samymi coś tam jest nie w porządku".

Stary wileński łubr Cat był wprawdzie monarchistą, ale inne poglądy miał całkiem dorzeczne. Zwłaszcza ten powyżej przytoczony jest — jak na rasowego publicystę — nader zdroworozsądkowy. Nb. stosuje się on równie dobrze do faceta, który Passenta poszczuł, jak i do Passenta samego, tak ochoczo reagującego na erotyczne podbechtywanki. Nie ma co ukrywać, Mistrz Daniel zachował się akurat tak, jak fanatyczny wolontariusz rewolucji islamskiej wypuszczony w bój przez ewaniutkiego, demagogicznego ajatollacha Zawojowcowi, wierzącemu tylko w swą maszynę do pisania, tak się nie godzi!...

4.

Świętoszkowaty atak felietonisty „Polityki" zbiegł się z zakończeniem druku w „Odgłosach" tych fragmentów pierwszego tomu powieści, które od autora otrzymaliśmy. Ta całkiem przypadkowa koincydencja również nie pozostała bez wpływu na sukces nakładowy naszego pisma. Natychmiast bowiem pojawiła się wieloodmianowa plotka na temat „Skiroławek". Pierwsza wersja głosiła, że to cenzura zdjęła dalsze odcinki (wersja uzupełniająca — że cenzura zainspirowana przez Passenta). Druga plotka, że przestraszyliśmy się rzekomo niekłamanego autorytetu moralnego Mistrza Daniela, przyjmując w pokorze jego wytyk. Trzecia — że to kuria albo w ogóle Watykan, kanałami dyplomatycznymi oczywiście, interweniował gdzie trzeba, u samego Generała najpewniej. Czwarta — że PRON był przeciw, piąta — że milicja przewentylowała życiorys Nienackiego, znajdując w jego mazurskich fragmentach tak smakowite kąski, iż najwyuzdańsze powieściowe opisy bledną przy nich i rozpływają się niczym porcja lodów malinowych na Etnie w czas erupcji... I tak dalej... Była nawet wersja, że onże autor, podczas pracy nad dalszym ciągiem dzieła, został pohańbiony i rozwłóczon po chaszczach zewłok jego przez karną ekspedycję pielgrzymujących tercjarek, pod wodzą nawróconej Madame B.

Wszystko to sprawiło, że w styczniu, gdy rozpoczęliśmy druk drugiego tomu powieści, po „Odgłosy" sięgnęło już 35 tysięcy kupujących (rekord nakładowy pisma w ciągu dwudziestu pięciu lat istnienia, ale na tym nie koniec!).

Niestety w maju dotknęła nas drastyczna restrykcja: nakład obcięto do dwudziestu tysięcy (z osiągniętych już wtedy ponad czterdziestu...). Powoli odrabialiśmy tę stratę i dziś ponownie osiągnęliśmy 40 tysięcy nakładu — akurat wtedy, gdy skończyliśmy już druk „Skiroławek". Dalej będzie tylko lepiej — ale to temat na inne opowiadanie, zresztą już napisane.

5.

Być zaś skończyć z kwestią wpływu „Skiroławek" na ekonomikę „Odgłosów" jeszcze kilka uwag ogólnych, dotyczących przede wszystkim naszej filozofii robienia gazety. Nie ulega wątpliwości, że literatura tego typu spełniała, spełnia i spełniać będzie w dającej się przewidzieć przyszłości rolę lokomotywy nakładowej. To jest fakt, i nie o nim należy dyskutować, ani mu zaprzeczać. Istotne jest, by wiedzieć dlaczego tak się dzieje, a przede wszystkim — podjąć decyzję: czy będzie się w polityce redakcyjnej fakt ten wykorzystywać czy też ignorować.

6.

Odpowiedź na pierwszą kwestię będzie dyletancka na pewno, nienaukowa i nie zadowoli ani moralistów, ani psychologów, ani badaczy obyczaju, kultury czy mechanizmów społecznych. Otóż, jeśli przyjmiemy — dla jasności wywodu — że „Skiroławki" są powieścią erotyczną (co jest grubym uproszczeniem, wyrządzającym krzywdę autorowi, za co z góry przepraszam), to można przeprowadzić taką eksplikację:

Erotyzm jako naturalny i nieodłączny składnik ludzkiej egzystencji jest także przedmiotem zainteresowania naszego gatunku — nie tylko w sferze realnego praktykowania takowego, lecz także w sferze refleksji intelektualnej. Tak się przy tym składa, że w naszym kręgu cywilizacji śródziemnomorskiej znakomita większość odłamów i mutacji dominującej religii — chrystianizmu — uczyniła ze spraw płci i erotyki owoc zakazany, temat tabu. Przyczynom tego — niezwykle złożonym — można by poświęcić osobne studium, lecz doprawdy nie mam takiego zamiaru. Poprzestaję jedynie na skonstatowaniu faktu i jego konsekwencji, z których najważniejsza jest powstanie sui generis normy moralnej, wedle której całe, objawiane w różnych formach, zainteresowanie erotyzmem jest głęboko naganne (wyjąwszy wąską sferę czynności prokreacyjnych).

Dziwna to norma moralna — jak żadna chyba w dziejach chrześcijańskiej fazy cywilizacji śródziemnomorskiej przekraczana, właściwie nawet gwałcona — powszechnie, gruntownie i konsekwentnie przez całe stulecia. I to mimo groźby wieczystego potępienia oraz wszelkich innych konsekwencji grzechu — a także meandrów wobec przemocy fizycznej stosowanej w różnych (na ogół minionych już) okresach przez niektóre organizacje religijne — przemocy od zbrojnych wypraw pacyfikacyjnych do aktów indywidualnych okaleczeń (np. kastracja Abelarda). Ba, co więcej — mnogie herezje, dewiacje i ekstremizmy religii chrześcijańskich pojawiały się (i pojawiają nadal) właśnie na tle seksualnym, na tym tle liczni ich wyznawcy i funkcjonariusze przeżywają rozmaite „opętania" czy fiksacje...

Dlaczego? Sądzę, iż dlatego, że ta niby-norma, to antyerotyczne tabu wyprodukowane przez chrystianizm jest po prostu głęboko sprzeczne z naturą ludzką. Nie zastanawiam się w tym miejscu, dlaczego — mimo tej oczywistej sprzeczności — sama norma tak długo i uporczywie funkcjonuje w chrześcijańskich systemach etycznych, to już odrębny problem.

W każdym razie seks jest grzechem. Na szczęście strach przed wiecznym potępieniem już nie wywiera tak dominującego jak niegdyś wpływu na psychikę człowieka wierzącego (a tych — wedle kościelnych statystyk — jest u nas niezależnie od wyznania, ponad 95 proc. populacji.) Zresztą uwolnienie się od grzechu jest niezmiernie łatwe — wystarczy trochę ekshibicjonistycznej szczerości by wyznać wszystko stosownemu funkcjonariuszowi religijnemu, otrzymać od niego rozgrzeszenie i odprawić niekłopotliwą, choć niekiedy pudżącą pokutę. (Nb. ze swojej strony na te ostatnią najbardziej podoba mi się sadzenie drzewek, co praktykował proboszcz w pewnej podkarpackiej wsi znanej dziś z sadów i śliwowicy. Ale z drugiej strony w wypadku upowszechnienia się tej metody, żylibyśmy dziś w dżungli...).

7.

Skomplikowany splot rozlicznych czynników historycznych, cywilizacyjnych, kulturowych i wychowawczych sprawia, że w naszej współczesnej rzeczywistości zainteresowanie erotyzmem jest nadnaturalne, z pewnością nadmierne wobec faktycznego, obiektywnie mierzalnego miejsca tej sfery w całym bytowaniu gatunku ludzkiego. Nadto zainteresowanie owo dotknięte jest swoistym rozdwojeniem jaźni: funkcjonuje — głęboko nieraz skrywane — w życiu prywatnym na użytek publiczny zaś jest głośno potępiane. Tylko mniejszości manifestują swe zainteresowanie seksem w sposób jawny...

Wszystko, co powyżej napisałem o „naszej współczesnej rzeczywistości", dotyczy oczywiście tylko tej fizycznej i psychospołecznej przestrzeni, w której żyjemy my — Polacy. Tylko tej niepowtarzalnej mieszaniny wolterianizmu, katolickiej dewocji, racjonalizmu mistycyzmu, mitotwórstwa kultu świętych i kultu pieniądza fałszywych proroków, podwójnej moralności, kradzionego, co tuczy, romantycznych porywów, szczerych serc i drobnych świństw codziennych, wtórnego analfabetyzmu patosu i cienia rzucanego przez pomniki.

Z żalem czynię to ograniczenie ale moje własne ubóstwo i skąpstwo mojego pracodawcy, gdy chodzi o środki płatnicze obu stref dewizowych uniemożliwiają mi przeprowadzenie stosownych, praktycznych studiów porównawczych w terenie. Poprzestawanie na literaturze i oglądzie nielicznych importowanych wytworów kultury materialnej zaś mnie nie zadowalają.

8.

Mniejsza jednak z moimi problemami. Nadnaturalne zainteresowanie erotyzmem w naszym kraju jest faktem, dla udowodnienia którego (gdyby ktoś jeszcze wątpił) dowodów jest aż nadto. Począwszy od nagminnych kradzieży na krakowskiej „Wenus", poprzez natychmiastowe wykupywanie wielesettysięcznych nakładów Wisłockiej, Starowicza „Kamasutry" a nawet nudnego Van der Velde'a, do masowego rozkwitu „videopornopodziemia". Nadto zainteresowanie owo jest jakby podskórne, skrywane i u większości chyba nieco wstydliwe, zwłaszcza w środowiskach, gdzie dominuje dyktat opinii publicznej sterowanej z ambon i punktów katechetycznych.

Nie chcę przez to powiedzieć, że istnieją jakiekolwiek ograniczenia ilościowe w sferze zajęć praktycznych — twierdzę, że jest wprost przeciwnie. Co więcej: pojawiła się już pewna kwestia jakby dialektyczna — przechodzenie ilości w nową jakość...

Badacze współczesnych naszych obyczajów w tej mierze zgodni są co do poglądu, że na ogół, statystycznie rzecz ujmując, dotknięci jesteśmy znacznym upośledzeniem w sferze różnorodności doznań, uczuć, więzi międzyludzkich, a nawet technik. Po prostu jesteśmy prymitywni jak buszmeni jacyś, nie przymierzając; klasycznym wielokroć podnoszonym dowodem jest tu choćby polskie słownictwo erotyczne — nasze zasoby leksykalne w powszechnym obiegu (pomijam bogactwo niektórych subkultur ludowych z ich smacznymi dosadnymi i wcale nie wulgarnymi, są ubogie i żenująco nieporadne.

Nieubłaganie obiektywne prawidła dialektyki sprawiły jednak, że odpowiednia intensywność praktyk erotycznych zrodziła u rosnącej wciąż liczby praktykujących pewne potrzeby wyższego rzędu. Między innymi potrzebę refleksji teoretycznej, intelektualnej, potrzebę wiedzy ogólnej, potrzebę pewnego wyrafinowania technik i towarzyszących uczuć. Stąd zainteresowanie wszelkim poradnictwem, literaturą popularnonaukową tyczącą nie tylko kwestii biologicznych i medycznych, lecz przede wszystkim filozofii i kultury seksu.

Nie ulega wątpliwości, że potrzebę owego „dopoznania" w dziedzinie erotyzmu spełniać może (i spełnia z powodzeniem...) twórczość o charakterze fabularnym — przede wszystkim literatura. Zwłaszcza taka literatura, która nie ma ambicji rozstrzygania raz na zawsze egzystencjalnych i moralnych zagadek natury ludzkiej, ani nie aspiruje do funkcji poradniczych — tylko taka która, nie rezygnując z wysokich wymogów jakościowych i podejmowania pewnych zadań misyjnych jest po prostu doskonałą rozrywką.

Albowiem właśnie rozrywki jest tym, czego w dziedzinie erotyzmu wyraźnie nie dostaje. A przecież musi ona służyć odreagowaniu po fazie nazbyt solennego traktowania seksu w całej wspomnianej tu sferze uogólnień. Bowiem jest czas powagi i perfekcjonistycznej koncentracji i czas by się z tego wszystkiego porządnie pośmiać...

C.D.N.

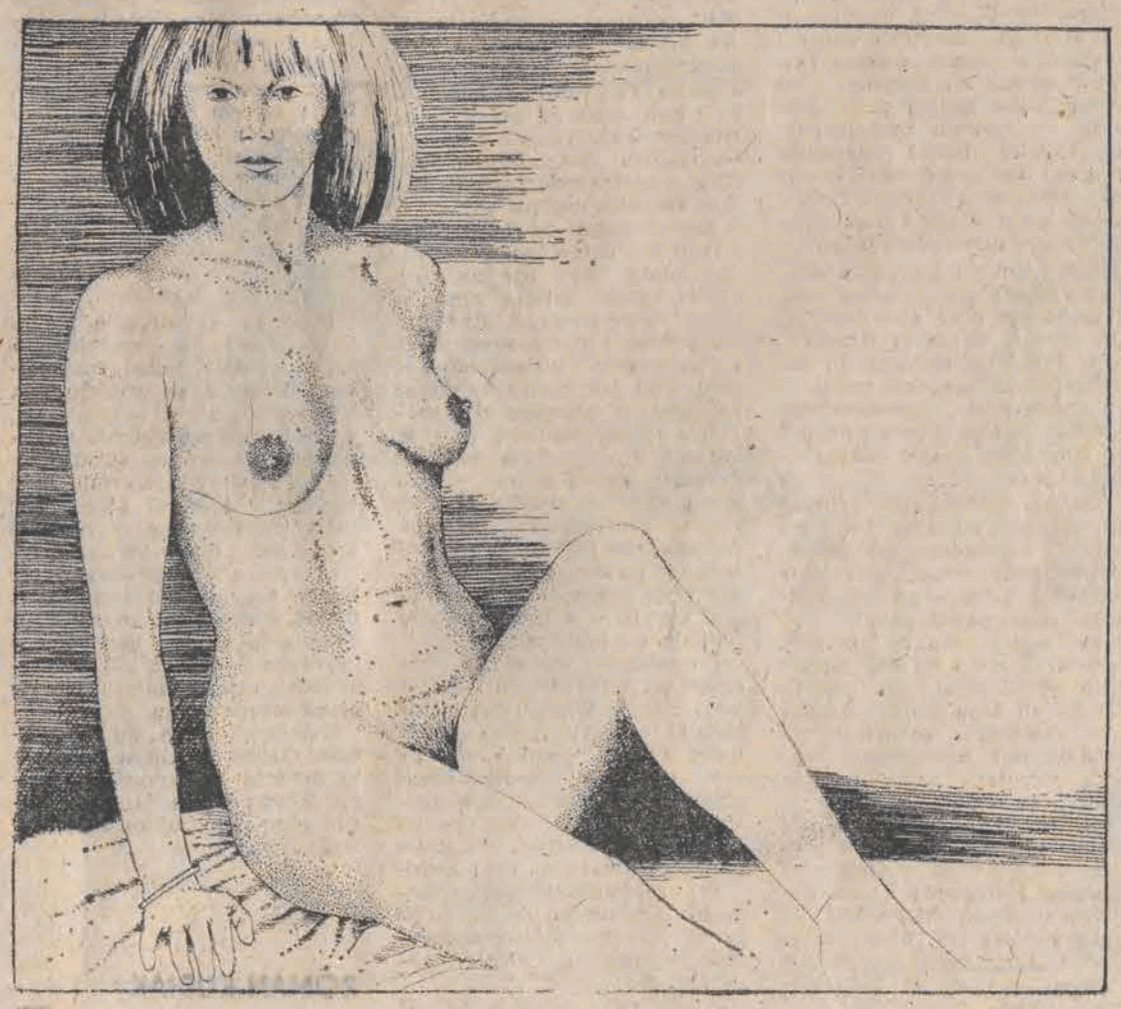

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dokończenie ze strony 1

Mordercę, uciekiniera — sprzedam

może ściskać w kieszeni rulon banknotów. Każdemu trzeba odpowiedzieć, kiedy tamten pyta: ile?

Właściciel czerwonego Forda zachowuje się jak mistrz olimpijski na konferencji prasowej. Krótkimi, urywanymi zdaniami odpowiada na natarczywe pytania.

— Dwa, dziewięć! — pada rzeczowa odpowiedź i nikt już nie żąda dodatkowych wyjaśnień, nie pyta: czego?

— Dwa, dziewięć! — to wystarczy.

Mały Fiat. Nic szczególnego. A jednak... Właściciel powie o nim: „uciekinier”. W metryce stoi, że urodził się w 1981 roku. Jako czteromiesięczny, pojony benzyną, osesek po raz pierwszy zniknął sprzed domu swego pana. Odnaleziono go na Wybrzeżu. Stał porzucony na ulicy nieznanego mu miasta. Stał ogołocony ze wszystkiego, co dało się szybko wymontować i łatwo spieniężyć. Wrócił do domu na holowniczym haku. Dokładnie rok później historia powtórzyła się. Tym razem nie odjechał zbyt daleko. Uparł się i nie chciał wykonywać rozkazów porywaczy. Odnalazł go drogowy patrol. Po drugim cudownym ocaleniu dostał w prezencie autoalarm. Nie pomogło. Którejś nocy odjechał w niewiadomym kierunku. Atoli następnego dnia stał grzecznie na swoim miejscu. Cały i zdrowy. We wnętrzu leżała kartka papieru adresowana do właściciela: „Chłopie, wyreguluj gaźnik i daj nowy akumulator! Zwracam pieniążki za benzynę. Polecam się na przyszłość. Z poważaniem: Arsen Lupin”. W kopercie leżącej na przednim fotelu było 300 zł.

Jakiś czas potem, w biały dzień, ukradziono koła uciekiniera. Po tygodniu nieznany spryciarz wymontował reflektory. Tego było już za wiele. Właściciel targnął się na życie swego pupila. Ale ręka zbrojna w młotek zawisła w powietrzu... Uciekinier pojechał na giełdę.

Mówi właściciel:

— Do trzech razy sztuka. Czwartej ucieczki wolę nie czekać. Zbliża się grudzień a mnie serce łomoce, bo w grudniu dwa razy go buchnęli. Nie pomagają żadne alarmy, łańki i inne cuda. Chciałem grawerować numery na szybach, ale co to da. Niech lepiej uciekinier idzie do ludzi...

Biały mikrobus firmy Mitsubishi jeszcze trzy miesiące temu był „obywatelem” Republiki Federalnej. Rozwoził ciastka i torty. Podobno nigdy nie nawalił. A kiedy już zarobił na siebie, kiedy postarzał się, jego niemiecki właściciel upatrzył młodszego następcę — pakownego Mercedesa, bo biznes niespodziewanie szybko rozkwitał. Bezrobotny Mitsubishi byłby niechybnie paczką dobrych żyletek albo kostką równo sprasowanego złomu, gdyby nie krewni właściciela.

Depesza do Warszawy była krótka: „Przyjeżdżaj po samochód”. Adresat skakał z radości. Pojechał. Miał zabawić tydzień, lecz z polskiego radia dowiedział się, że za kilka dni zostaną wprowadzone nowe, wysokie taryfy celne na samochody sprowadzane do kraju. Na przejściu granicznym zameldował się w samą porę. Był 254 w kolejce podobnych sobie importerów. Przed nim stały 253 auta z numerami celnymi na jajowatych tablicach. Dwa dni posuwali się, by stanąć wreszcie przed obliczem celników. Szczęściarzy potraktowali wszystkich jeszcze według starych reguł gry.

Przez miesiąc nowy nabytek cieszył rodzinę i drażnił sąsiadów. Jakiś „życzliwy” miłośnik czterech kółek wydrapał gwoździem na lakierze niezgrabną swastykę. Wtedy to zapadła rodzinna decyzja, żeby zamienić mikrobus na coś mniejszego — ale koniecznie osobowego.

Stanął na giełdowym placu z karteczką przyklejoną na przedniej szybie: „cena 1,2 mln”.

Pośród stadka motocykli przedziwnych marek tłumek gapiów oblega dynamicznego sprzedawcę potężnie zardzewiałej maszyny o nazwie Wierhowina. Wesoły ów człowiek jest tu jedynym sprzedawcą uprawiającym antyreklamę. Głośno drwi ze swego „stalowego rumaka”, a gapie co i raz wybuchają śmiechem.

— Ludzie, kupcie ten złom! Ratujcie życie i zdrowie weterana szos — zachwala swą własność. — Ratujcie mnie przed zbzikowaniem. Pyta pan ile chcę za ten przebój sezonu, tego poskramiacza azjatyckich szos i wertepów? Co łaska, co łaska. Oddam za paczkę „Klubowych” i bilet tramwajowy...

Niestety, nikt nie zdradza ochoty bliższego obejrzenia jednośladu. Ale wesołka chętnie słuchają. Ten zaś, niczym arabski handlarz, strzela wierszem i prozą:

— Okazja! Dla niemowląt, punków, rencistów i harcerzy. Obywatelu! Nie pij wódki, nie pij wina, kup se motor Wierhowina. Włos rozwiany, w oczach skry, na liczniku... dwadzieścia trzy!..

Ten oto sześcioletni Fiat, gdyby nie fachowo cofnięty licznik, miałby rekordowy przebieg. Może nawet stanąłby na cokole pomnika FSO, jako namacalny dowód cudu techniki ze znakiem „Made in Poland”. Niemal bezawaryjnie przebył on dystans kilku obwodów równika, a do tego niekoniecznie tylko po krajowych drogach. Był w Bułgarii, Turcji, Grecji, Austrii, Rumunii, NRD, Holandii, itd., itd. W tę i w tamtą stronę woził atrakcyjny towar — uzupełniał niedobory rynkowe. Poznał smak przeróżnych gatunków europejskich benzyn: wytrawnych, którymi się delektował i mętnych, po których kichał jak zakatarzony słoń. Krył w swym wnętrzu przeróżne dobra, których nie powinno dostrzec sokole oko celnika. Doświadczył „striptizu” na przejściu granicznym i poniżenia w wyścigu na autostradzie. Uprawiał maratony po Bałkanach i sprint do NRD. Teraz stoi na targowym placu — emerytowany przemytnik i globtroter. Już niepotrzebny.

Najciekawsze były wyprawy z pustym bagażnikiem. Sam dziwił się, że jego pan wyrusza na wycieczkę bez towaru. Dostał wtedy nowe ogumienie. Ale na krótko. Za wschodnią granicą wymienił je na całkiem łyse gumy i pieniężny ekwiwalent. Doczłapał się do Rumunii, gdzie założył nowiutkie „Micheliny”. Ale nie na długo. W Bułgarii odstąpił je za komplet zdartych kapci i dopłatę w naturze. Ledwo, ledwo wrócił do Rumunii, by przez kilka godzin znów cieszyć się nowym ogumieniem. Po trzeciej takiej eskapadzie przestał się czemukolwiek dziwić. Posłusznie wypełniał wolę swego pana, dniem i nocą przemierzając turystyczne szlaki.

Teraz stoi na targowym placu — emerytowany przemytnik i globtroter. Już niepotrzebny.

— Panie, ile za tę trumnę?

— Tylko nie trumnę! On jest więcej wart niż pan myśli — tu właściciel pieszczotliwie klepnął karoserię przemytnika. — No staruszku, nie oddam cię byle komu...

Białego Mercedesa oglądali już arabscy studenci. Do transakcji nie doszło, bo bardzo chcieli mieć model w kolorze zielonym. Chwilę po ich odejściu, jakiś nowobogacki już, już sięgał ręką do portfela, lecz w końcu i on nie przełamał się. Jeszcze się wahał. Ciężka to była próba charakteru. Odszedł z wypiekami na twarzy. Był jedenastym tego dnia klientem, który poprzestawał na oglądaniu wozu.

— Trzy lata temu wpakowałem w ten wóz ostatnie grosze. Wszystko co miałem — dostojny Mercedes milcząco potwierdza słowa właściciela. — Taka gablota jest niezłą przepustką tam, gdzie nawet nie mogłem marzyć, że kiedykolwiek wejdę. A panienki... W jeden miesiąc urlopu, to ja, proszę pana, zarwałem siedem babeczek! Same leciały na mnie — słowo honoru. Ale czy na mnie? Wie pan, czasem miałem wrażenie, że to nie ja podrywam, tylko on — Mercedes. Tak, to on jest podrywaczem...

Czterokołowy podrywacz nie zaprzecza.

— Ale wszystko skończyło się banalnie — kontynuuje wspólnik podrywacza. — Ostatnią, którą trafiłem, została moja żona — niestety. Przyszedł czas zamienić wóz na mieszkanie. Szkoda go jak dobrego kumpla, bo niejedno widział i słyszał. Ta kanapa z tyłu, gdyby umiała mówić, to mogłaby takie rzeczy opowiedzieć, że głowa boli. Psst! — żona idzie...

Poczciwych Syrenek jest na giełdzie coraz więcej. Za to kupujących jakby coraz mniej. Tu i ówdzie słyszy się określenie: „nieboszczka Syrenka”. Prawda to — schodzi poczciwina z tego świata. Schodzi cichutko — w odróżnieniu od pracy silnika. Niedługo znikną z naszych dróg te zabawne wózki, nazywane złośliwie „skarpetami”, albo sympatyczniej „sarenkami”.

Sprzedający mają raczej minorowe nastroje...

Między gromadką Syrenek szybkim krokiem krąży starszy jegomość. Zaczepia potencjalnych klientów, a dopadłszy któregoś, wyrzuca z siebie cały posiadany zapas wiedzy.

— ...bo ja wiem wszystko o Syrenach. Samochody, na ten przykład, dzielą się na dobre, złe i Syrenki. Wiesz pan po co im strzelili ten pasek na boku? Żeby nie myliły się z Mercedesami. A znasz pan ten kawał, jak Polak z Amerykańcem rozwalili się na drzewie i poszli do świętego Piotra? Amerykaniec, panie, płakał, że rok musiał oszczędzać na Forda, a Polak płakał, że dziesięć lat oszczędzał na Syrenkę. To wiesz pan, co święty Piotr powiedział naszemu? Ano, że jest głupi, bo po cholerę taki drogi samochód kupował. A wiesz pan, co Amerykaniec robi rano? To ja panu powiem. Wrzuca jaja na patelnię, potem zapala Forda i jedzie do pracy. A Polak, panie, wrzuca jaja do spodni, zapala „Popularnego” i idzie do roboty. A to pan znasz? Przychodzi baba do lekarza...

Czerwony, wypieszczony maluch liczy sobie cztery lata, a przejechał raptem 800 kilometrów. Prawie całe swe życie spędził w garażu. Ale co to był za garaż — cieplutki, wysprzątany, niczym zaciszne mieszkanko.

W zimowe wieczory nigdy nie był sam. Odwiedzano go z punktualnością szwajcarskiego zegarka. Pan lub pani przychodzili doń, żeby na pół godziny włączyć elektryczny grzejnik, bo maluch potrzebuje ciepła. Mógł przecież zmarznąć, uszkodzić się albo jeszcze gorzej...

Zanim wszedł do rodziny, załatwili mu dobre lokum — blisko domu, żeby był na oku. Prawa jazdy jeszcze nie posiadali, więc szwagier, stary samochodziarz, przyprowadził go z Polmozbytu i wstawił do garażu. Stał tak okrągłe dziesięć miesięcy. W sobotnie przedpołudnie, kiedy sąsiedzi byli w domach i niechybnie widzieli co dzieje się za oknami, szczęśliwa rodzinka, przy użyciu sił mięśni, wytaczała malucha przed wrota garażu. Trwała ceremonia pucowania skarbu. Mama myła szyby, tato szczotkował karoserię, a dzieci ochoczo uwijały się przy kołach.

Po sobotniej toalecie tato zasiadał za kierownicę i uruchamiał silnik. Włączał wszystkie światła, po czym rad ze sprawności Fiata, gasił silnik, by przy użyciu rąk i nóg własnych, oraz trafnych uwag małżonki, wepchnąć malucha na należne mu miejsce. Ostatnim punktem programu było komisyjne sprawdzanie prawidłowego zamknięcia drzwi garażu. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, rodzina wracała do domu.

Pierwszego roku wyjechali tylko raz. Tato, świeżo upieczony kierowca, zrobił rundkę dookoła bloku. Rodzinka dzielnie zniosła ten pokaz brawury. Za to później korzystali z auta w każdej potrzebie: pięć razy byli w kościele, trzy razy na ślubie, dwa razy tato pojechał maluchem do pracy. Dwukrotnie szwagier, jako bardziej doświadczony samochodziarz, brał kurs na stację obsługi, żeby poddać samochód niezbędnemu przeglądowi. Maluch spisywał się rewelacyjnie!

W ubiegłym roku odbyli daleką wyprawę: pojechali nad rzekę — prawie 70 km w jedną stronę! Ach, cóż to była za podróż. Dzieci piszczały z zachwytu, a mama ciągle musiała poskramiać rajdowe zapędy taty.

Za namową znajomego postanowili dobrze sprzedać swój skarb. O nie, z samochodu nie rezygnują. Po prostu chcą kupić coś większego...

BMW „metalik” wart jest podobno... — że lepiej nie mówić. Od samych zer w równiutkim szeregu już można nabawić się zawrotu głowy. Innych dolegliwości można doświadczyć podczas przejażdżki tą torpedą. Nobliwy pan za kółkiem przebojowej „siódemki” powie, że jest to wóz dla astronautów. Normalny człowiek może źle znosić gwałtowne przyśpieszenia. Małżonka owego pana nie wsiądzie więcej do BMW. Podczas pierwszej jazdy dostała torsji. Nigdy więcej! Zresztą, nie jest to samochód na nasze drogi. Żal dusić maszynę...

Ta Skoda trafiła na giełdę z bardzo ważnego społecznego powodu. Chodzi mianowicie o bezpieczeństwo ruchu drogowego. Zaraz — przecież samochód jest sprawny. No tak, ale samochód to tylko połowa nieszczęścia. Drugą połową jest, albo może być, kierowca.

Otóż, Skoda miała dwóch kierowców. Pierwszy nigdy nie wchodził w kolizję z prawem; jeździł ostrożnie, bez mandatowych niespodzianek. Drugi natomiast, też prowadził fachowo — z tym, że ma... dziewięć lat.

Robert, syn właściciela Skody, ujawnia, jak to się mówi, smykałkę do samochodów. Zna Skodę nie gorzej niż tata. Tylko nie ma cierpliwości — nie może doczekać się prawa jazdy.

Któregoś pięknego dnia, Robert sięgnął po kluczyki od wozu, wyprowadził Skodę z garażu i z fasonem wyjechał na ulicę. Na skrzyżowaniu minął autobus, którym tato wracał z pracy. Autobus zatrzymał się między przystankami, a przerażony pan, który z niego wyskoczył, jął desperacko wymachiwać rękami, chcąc tym sposobem zatrzymać jakiś pojazd i podjąć pościg za skradzionym, jak sądził, samochodem. Zahamowała taksówka. No i zaczęło się! Gonili Skodę dobrych kilka minut, a kiedy „siedzieli” już na jej tyle, ze zdziwieniem stwierdzili, że auto jedzie samo. Nijak nie mogli dojrzeć postaci za kierownicą — żadnej głowy, ramion, rąk... A może to... Ojciec nie miał już wątpliwości.

Posuwali się ostrożnie, tuż za Skodą, żeby nie przestraszyć chłopca. Mały jechał znakomicie. Dopadli go dopiero na skrzyżowaniu z sygnalizacją, gdzie Robert prawidłowo zareagował na czerwone światło.

Odtąd kluczyki do auta były zawsze w kieszeni ojca. Ale mały kierowca nie rezygnował z przygód. Stopniowo opanowywał sztukę otwierania drzwi Skody przy użyciu zastępczych metod. Opracował sposób uruchamiania silnika bez pomocy tatowego kluczyka. Druga samodzielna jazda zakończyła się przed bramą domu...

Kolejnych prób już nie będzie. Ojciec, w uznaniu talentu Roberta, postanowił spieniężyć Skodę. Kilku panów wyraziło chęć nabycia auta. Robert jest niepocieszony...

ROMAN KUBIAK

Piąty as (2)

Szykował się piękny poker i dobra transakcja na piki, ale z bratem Nawała wynikły poważne kłopoty. Zdaje się, że pojechali mu w pracy po premii, bo nagle zaczął się wykręcać, jakby ta biała broń zbrzydła mu do imentu.

— Wystawisz mnie w takiej chwili do wiatru? — nacierał zrozpaczony Bogusz.

— Eee, co to za broń? Dzisiaj byle powielacz groźniejszy...

Bogusz opowiadał z goryczą o tym swoim bracie, którego nikt jeszcze nie widział, że chyba zgłupiał politycznie. A Słoneczko wycofał się na z góry upatrzone pozycje, żeby lizać rany po wczorajszej przegranej. Wobec tego Bogusz przyjechał na miejsce pojedynku ze swoją obstawą pseudo „Hela”, która taktycznie miała na imię Janusz i była bezrobotna, ale za to bardzo dobrze robiła za kibica przy dużej puli na stole.

— O pół do czwartej — oświadczył Bogusz — pojedziemy do brata. Ale zanim to nastąpi, musimy się rozliczyć. Żądam rewanżu za wczorajszą sromotę!

— Proszę bardzo — zgodził się uprzejmie Flisak i wyjął parę talii swoich szczęśliwych kart.

Usiedli na ławce rezerwowych, bo na boisku nie było akurat żadnych wślizgów ani ataku pozycyjnego z głowy, i puścili w ruch karty. No i po godzinie Bogusz przerżnął dwadzieścia tysięcy jakby w kij dmuchnął. Flisak schował swoje karty, zainkasował wygraną i mówi:

— No, czekam na ciąg dalszy.

— Muszę się porozumieć z bratem — odrzekł ponuro Bogusz. — Nie wiem, czy mogę dysponować resztą sumy, jaka mi pozostała.

Wróciwszy od telefonu, oświadczył, że brata jeszcze nie ma, więc trzeba cierpliwie poczekać.

Natomiast do akcji włączył się murarz — masażysta, Marian B.

— I będziemy tak więdnąć o suchym pysku? — zadał pytanie.

— No, nie — mruknął Flisak — to by było straszne...

— Hm, o ile koledzy mają życzenie, to u mnie na chacie można pograć i wypić.

— Mnie to konweniuje bynajmniej! — warknął Bogusz.

Był strasznie zdenerwowany, po prostu pałał żądzą rewanżu. Musiał się koniecznie odegrać, ponieważ tak naprawdę to pożyczył na tego pokera 70 tys. Słoneczko załatwił to u pewnego hydraulika.

— A masz ty się z czego zrzucić, kolego? — zapytał łagodnie Flisak.

— Trochę mi zostało.

— Ile?

— Dwadzieścia tysięcy.

— Drobiazg. W razie czego mogę ci pożyczyć. Mam akurat na zbyciu siedemset tysięcy...

To, co się zrobiło z oczami masażysty, jest raczej nie do opisania. Natomiast oczy Bogusza stały się tajemniczo nieprzytomne. Ale to wcale nie są żarty. Jeżeli ktoś nie wierzy w te siedemset tysięcy, a bardzo lubi chodzić do prokuratury w sprawach osobistych, może sobie to sprawdzić w aktach oskarżenia.

Zawodnicy kupili po drodze litr wódki, usiedli przy stole w mieszkaniu Mariana B. i popijając taktownie, zaczęli grać kartami Flisaka. Kiedy profesor trochę przegrał, wstał i udał się na odprężenie do ubikacji. A gdy wrócił z relaksu, Bogusz był już podpity i chyba dostał przez to świra. Pluł, wrzeszczał i podwyższał stawki, niczym zwariowany milioner w Monte Carlo. Szast — prast! i już było po tych siedmiuset patykach...

— Coś podobnego! — zdumiał się profesor. — Nie, nie mogę cię zostawić z takim majątkiem!

— A co zrobisz?

— Pojadę po jakiś szmal na rewanż!

— Nie wróci! — ostrzegł masażysta.

— Wróci — uspokoił go Nawał — honorowy inteligent...

Flisak pojechał taxi do domu i przywiózł pożyczone od nadobnej sąsiadki skromne trzysta tysięcy. Na ten widok masażysta doznał szoku i ataku przerażenia.

— O, nie! — wrzeszczy. — Żaden wielki szu nie zrobi tu bankowej rzezi! U mnie nie można już grać, bo zaraz wróci matka! To święta kobieta, ona walczy o wolność w kółku różańcowym...

— Z ciebie też święta lebiega! — zirytował się Bogusz Nawał. — Paciorek zafajdany! Przepraszam, że się uniosłem, profesorze...

— Och, to ta wódka...

— Jeżeli profesor nie ma nic przeciwko, to możemy się przenieść do mojej narzeczonej.

Flisak przyjął propozycję, albowiem teraz on z kolei chciał się bardzo odegrać.

Zakotwiczyli przeto u Doroty K., o której Bogusz wyraził się kiedyś, że jest jej jedynym żywicielem. Była to panna z dzieckiem i ze średnim wykształceniem, ale bez zawodu, dzięki czemu mogła dorabiać jako sekretarka medyczna przy analizie moczu. Najczęściej dorabiała na Bogusza, jak mu się myliły tuzy w królewskim poczcie.

Flisak przegrał 300 tys.

Potoczył błędnym okiem po pokoju, stał i zaczął się rozbierać. Zdjął z szyi złoty wisior z krzyżem i ze znakiem Zodiaku „Barana” i rzucił gestem monarchy na stół.

— Mało — stwierdził Nawał tonem jeszcze większego monarchy.

Flisak dołożył zegarek marki „Tissot”!

Przegrał...

Rozpiął koszulę, wystawił swą trenerską pierś niczym kontuzjowany Rejtan i krzyczy:

— Zabijcie mnie! Skróć, Nawało, mękę niepoczytalnego!

— A czy ty przedstawiasz jakąś wartość, żeby mnie się dla ciebie poświęcać?

Flisak rzucił się z rozpaczą do okna.

— Samobójca! — pisnęła Dorota.

— Jeszcze nie! — wychrypiał frezer. — Chodź tutaj, Nawał.

Bogusz podszedł ociężale do okna.

— Patrz — rzecze z pianą na ustach Rajmund — tam stoi mój mały fiat!

— Ładna zabawka.

— Stawiam fiata! Przyjmujesz?

— Przykro mi, ale muszę stłamsić w sercu pokusę...

— Dlaczego?!

— Bo nie mam prawa jazdy.

— Ale ja chcę grać!

— Prześpij się, bracie. Może ci się przyśni jakiś szmal na dogrywkę.

Do srogiego rewanżu miało dojść nazajutrz.

Rajmund Flisak przygotował się do tego bardzo starannie. Pomógł mu w tym nawis, który strasznie dręczy pewne kręgi społeczne. Flisak bez trudu zebrał od rodziny milion złotych i udał się pełen otuchy do pracy. Wkrótce na stadion przybył „Hela”.

— Bogusz Nawał — oświadczył głosem herolda — wzywa cię na pojedynek!

— On mnie?! Kanalia! To ja go wzywam. Niech ruszy się stąd!

— No, to się nie odegrasz...

Profesorowi zrzedła mina.

— A gdzie on jest? — bąknął.
— Czeka u Doroty.

Rad nierad profesor pojechał tam z Helą i najpierw wykupił przegrany wczoraj wisior i zegarek. Potem splunął po dorożkarsku w garść, bo w amoku spłonęła w nim dusza inteligenta od kopania, zatarł z uciechy ręce i zaczął się odgrywać.

Nie będziemy tu opisywać stanów emocjonalnych ani atmosfery pełnej napięcia. Powiemy po prostu, że profesor przegrał to, co mu po wykupie zostało z miliona, i to, co wykupił, a ponadto nowe pokerowe zasoby: złoty wisior ze znakiem Zodiaku „Ryby", dwa złote i dwa srebrne łańcuchy, parę pierścionków, dwa zegarki elektroniczne, w tym jeden z Hongkongu oraz 100 dolarów USA.

Łącznie Bogusz Nawał zrobił skromnego pokera na trzy inflacyjne miliony.

Zrozpaczony profesor wrzeszczał:

— Skandal! To jest oszustwo! Ja was tak przetrenuję, że po roku nie zwleczecie się z kabaryny pod celą!

Bogusz uśmiechał się z pobłażliwością. A „Hela" okazał się bardzo wredną obstawą.

— A jak sobie założę ten wisior złoty na szyję, to co mi zrobisz? — zapytał.
— Milicją cię poszczuję, hyclu!
— A wała! — pocieszył go „Hela". — Będę paradować po mieście i nikt mnie nie podskoczy.

Nie wiadomo jakim cudem na placu boju znaleźli się koledzy Nawała — Peti i Gała. Gała oświadczył z radością, że teraz Nawał odda mu tę forsę za Radom. Cholera wie, co miał na myśli, pewnie jakiś honorowy dług pokerowy zza kraty. Dość, że zaraz pękła butelka. Zwycięzcy byli tak upojeni sukcesem, że profesorowi udało się bez trudu zagarnąć cztery talie kart, którymi grali ta nieszczęsną dlań partię.

Flisak nie przyznał się rodzinie do grzechu. Milicji również nie zwierzył się z doznanej porażki gdyż mogłyby ją za bardzo zdziwić rozmiary jego nawisu inflacyjnego. Zamknął się niby ludowy medytator w czterech ścianach i przez dwa dni oglądał feralne karty. Patrzył na nie pod światło, w lusterku i pod różnym kątem i coraz bardziej wydawały mu się podejrzane. Wreszcie poszedł do Pewexu i nabył talię kart marki „Piątnik". Rozłożył te piątniki na podłodze i zaczął przystawiać do nich z różnych stron karty, które zabrał z mieszkania Doroty. Dokonawszy żmudnych i wszechstronnych porównań, nabrał przekonania, że ma do czynienia z wielkim oszustwem. Wychodziło na to, że oszustem jest on sam, ponieważ grali przecież jego własnymi kartami.

Rajmundowi Flisakowi nie chciało się wierzyć, iż może być lunatykiem, który podczas nocnych seansów preparuje misternie karty, a potem nic nie pamięta i przegrywa sromotnie. No, chyba że we śnie lunatycznym przekazywał informacje o kartach swoim największym wrogom. Pragnął zbadać, czy przypadkiem nie doznaje rozdwojenia jaźni, przeistoczył się w detektywa-amatora. W tajemnicy przed rodziną zaczął prowadzić śledztwo na własną rękę. Zasięgnąwszy języka u znajomych oraz pośród ludzi z otoczenia Bogusza Nawała, trafił na ślad wiodący wprost na Ziemie Odzyskane. W mieście N. dowiedział się od funkcjonariusza MO, że Nawał za podobny numer z kartami już siedział.

Profesor przyjechał do Łodzi, dopadł Nawała w kawiarni i przedstawił mu wyniki śledztwa.

— Kochany — powiedział Nawał — ja jestem niewinny. Przecież mnie tylko zawiesili, nie?
— No, teraz mogę cię odwiesić i powiesić. Surnka jest grubsza.
— Owszem, grubsza, ale ty możesz przy niej cienko zaśpiewać. Jeśli nie chcesz mieć przykrości, to nie zawiadomiaj milicji, a ja już tak to załatwię, że wyjdziesz na swoje. Spotkamy się następnym razem w kawiarni i zwrócę ci, co trzeba...

Umawiali się w kawiarni z dziesięć razy. Nawał wymawiał się kłopotami natury osobistej, ale obiecywał solennie, że kosztowności zwróci hurtem, natomiast pieniądze na raty, w ciągu roku. Grał na zwłokę, ponieważ ten cały majątek przepuścił lekką ręką w towarzystwie od kart i przygodnej miłości. Miliony poszły na nowego pokera, na stroje, zabawy, psie figle, na dziewczynki i baterie wódki z Pewexu.

Zwlekał beztrosko, gdyż dobrze wiedział, cwaniak, że profesor nie zwróci się do milicji z obawy, żeby nie zaczęto go badać, skąd miał te trzy miliony, skoro zarabiał tylko siedem tysięcy miesięcznie. Ponadto Nawał wyczuł, że Flisak bardzo dba o własną reputację. Nie wiedział natomiast, że ów trener-hazardzista mógł się ujawnić władzom, ponieważ mimo wszystko miał jakąś podkładkę na te swoje zasoby majątkowe. Ponagalł mu zamożni rodzice — ogrodnicy z trzema szklarniami i pięcioma foliowymi tunelami. Poza tym miał ciotkę w Anglii, która wspierała go funtami.

A Nawał nie miał nawet brata.

Prowadząc długotrwałe i bezowocne negocjacje, obaj panowie zapomnieli o dolarach.

Dopiero w cztery miesiące po wielkim pokerze inspektor służby kryminalnej natknął się przypadkowo na dolary, które Flisak przegrał w karty. Przyciśnięty do muru oświadczył, że zapomniał wpłacić je na swoje konto w PKO.

Usłyszał:

— Jesteście, Flisak, oskarżeni o nielegalne wprowadzenie w obieg dolarów USA przy pokerowym stoliku.

Wtedy Rajmund Flisak zaczął się bronić.

— Zostałem oszukany! — stwierdził z goryczą. — Nawał grał fałszywymi kartami.
— Macie na to dowody?
— Te karty są nierówne.
— Ale przecież to były wasze karty.
— Nie, panie władzo. Podejrzewam, że karty zostały zamienione. Jestem pewny, że stało się to w mieszkaniu Mariana B., kiedy wyszedłem na chwilę do ubikacji.

Karty trafiły do pracowni badania dokumentów Wydziału Kryminalnego WUSW w Łodzi. Pierwsze, chociaż bardzo dokładne, oględziny nie wykazały żadnych odkształceń mechanicznych ani chemicznych. Do badań użyto więc mikroskopu stereoskopowego o różnej skali powiększeń, ponadto mikroinfraskopu emitującego promienie podczerwone oraz analitycznej lampy kwarcowej z promieniowaniem nadfioletowym. Wtedy okazało się, iż karty posiadają cechy świadczące o ich oznakowaniu. Charakteryzowały się narożnikami o zmienionym profilu, co mogło być wykorzystane jako wskazówka przy oznaczaniu konkretnych kart w czasie gry. Bogusz Nawał spreparował dwadzieścia talii, opakował je i zapieczętował, co sugerowało, że są prosto ze sklepu.

Zdaje się, że wyniki ekspertyzy brzmią dość enigmatycznie, pora więc uchylić rąbka tajemnicy. Zdradziwszy treść patentu Bogusza Nawała, możemy się doczekać niezłej zabawy. Każdy będzie mógł preparować sobie karty, oszuści usiądą przy stoliku przeciwko oszustom i zaczną się wspaniałe podchody. A więc słuchajcie i czytajcie, karciarze, i pamiętajcie, co zawdzięczacie „Odgłosom".

Otóż Bogusz Nawał wpadł na pomysł, że fabryczne karty można odpowiednio wyprofilować. W tym celu zaczął ponownie ciąć karty nieoryginalnym wykrojnikiem, dzięki czemu różniły się one kształtem narożnika. Jeśli złożyło się taką talię z obciętym narożnikiem, uwidaczniały się wyraźnie wystające cztery asy obrócone o 180 st.

Wspaniałe karty, co? Ale najwspanialszy był ich twórca. Piąty as.

RYSZARD BINKOWSKI

ANDRZEJ KAROL

Tyle miłości!

Najlepiej być zdrowym, bogatym i kochanym. Ale kiedy ma się do wyboru miłość i nienawiść to lepiej być kochanym i kochać niż nienawidzieć i być nienawidzonym. Takiego był zdania bohater poniższej opowieści, doktor nauk medycznych Jerzy. Jerzy dosłownie żył miłością i z miłości, bowiem wybrał sobie specjalność ginekologa. Jerzy kochał kolejno dwie swoje koleżanki po fachu, z którymi zawarł był formalne, choć krótkotrwałe związki małżeńskie. Obydwie żony—koleżanki rozstały się z nim w przyjaźni i alimentów żadnych nie chciały, zadowalając się kosztownymi prezentami pożegnalnymi. Powód był za każdym razem ten sam: nadmierna kochliwość Jerzego, kierowana zresztą w stronę tzw. pożycia pozamałżeńskiego.

Kiedy Jerzy dorobił się już willi z kompletnym wyposażeniem w przedmioty noszące znamiona luksusu (wyłącznie!) oraz bogatą kolekcją dzieł sztuki malarskiej, a także dwóch wytwornych samochodów marek pozaoceanicznych, ponadto dostrzegł pierwszy szron na skroniach, ustatkował się i poślubił Zuzannę. Oczywiście z wielkiej miłości. Zuzanna była o dwadzieścia lat młodsza od Jerzego. Była także modelką, co prezentuje różne fatałaszki oraz absolwentką zasadniczej szkoły odzieżowej. Po szczęśliwym zamążpójściu porzuciła niepewne zajęcie modelki i zajęła się prowadzeniem domu.

W sześć miesięcy po ślubie Zuzanna kryjąc rumieniec wyznała Jerzemu, że będzie miał córkę. Jerzy był wniebowzięty jako nowożeniec i przyszły ojciec, ale zaniepokojony jako fachowiec: jak to córkę? Skąd mianowicie Zuzanna czerpie wiedzę o płci ich przyszłego dziecka?

Zuzanna, nadal kryjąc rumieniec, wyznała mu wtedy, że nie zawsze była cnotliwą Zuzanną. Raz mianowicie, jedyny raz, na co złożyła uroczystą przysięgę, zeszła z ciernistej drogi cnoty na puchowy kobierzec występku i owocem tej — powtórzmy — absolutnie jednorazowej chwili zapomnienia jest dziecię płci żeńskiej o dźwięcznym, choć nieco oryginalnym imieniu Nicol. (Imieniny szóstego grudnia, w Mikołaja).

Jerzy westchnął tylko i powitał w swym domu pięcioletnią już Nicol. A także pokochał jak swoją, czemu dał wyraz przed sądem rodzinnym i opiekuńczym w akcie adopcji. Wspaniałomyślnie obdarzył pyzatą Nicol rodowym nazwiskiem i prawem do spadku, ulokowanym w wymienionych wyżej przedmiotach noszących znamiona luksusu.

Życie tej trójki upływało w szczęściu i miłości przez następne lat dziesięć. Kronikarzowi nic nie wiadomo, czy Jerzy wykazywał jeszcze swoją dawniejszą kochliwość w stosunku do koleżanek po fachu, co zgrabniejszych pielęgniarek, a nawet pacjentek, co — niestety — zdarzało mu się w latach poprzednich. Także nic nie wiadomo kronikarzowi, aby Zuzanna miała powtórzyć — jeden, jedyny zresztą — swój młodzieńczy grzech. Założyć zatem musimy, że życie upływało im nie tylko w miłości, ale i w bezprzykładnej wierności.

Jakoś wkrótce po dziesiątej rocznicy ślubu do willi Jerzego zawitał był technik reperujący telewizory. Po krótkim rozejrzeniu się we wnętrzu i reperacji odbiornika marki Sony, technik ów o imieniu Tadeusz zakochał się od pierwszego wejrzenia w Zuzannie i powiadomił ją o tym bez najmniejszej zwłoki, uklęknąwszy na puchowym dywanie. Wyznanie to, szczere i młodzieńcze, zrobiło ogromne wrażenie na Zuzannie, bo opierała się krótko i jeszcze tego samego popołudnia uległa Tadeuszowi na wyżej wzmiankowanym dywanie.

Do wypełnionego miłością domu Jerzego i Zuzanny zawitała zatem nowa, rzec można, nadprogramowa miłość.

Wielka rozterka targała zakochanym sercem Joanny. Bo z jednej strony jakże ukochany mąż, jej wspaniały Jerzy, a z drugiej Tadeusz, jeszcze bardziej ukochany. Przy tym, co tu ukrywać, młodszy i to nie tylko od Jerzego, ale nawet od niej samej. A kocha ją szaleńcze! Daje zresztą na to dowodów znacznie więcej, niż zapracowany Jerzy...

Kiedy już tyle tej miłości, to w miłości poszukajmy także rozwiązania tego miłosnego dylematu i gordyjskiego węzła małżeńskiego — pomyślała Zuzanna. Niezupełnie tak zresztą pomyślała, bowiem sformułowania „węzeł gordyjski" nie użyła z pewnością. Do szczęśliwego finału brak tylko jednej miłości — tym razem musi być w nią uwikłany Jerzy. Zuzanna zleciła Tadeuszowi, który w międzyczasie zarzucił prozaiczne zajęcie technika telewizyjnego i żył z pożyczek śledzenie Jerzego. Detektywistyczna misja powiodła się nadzwyczaj pomyślnie: rychło okazało się, że Jerzy wynajmuje w mieście garsonierę i w tymże lokalu odbywa regularne spotkania z pewną studentką sztuk pięknych. Przyłapany przez Zuzannę in flagranti próbował coś tłumaczyć o pozowaniu do aktu, co było wszakże mało prawdopodobne, bowiem w garsonierze nie było ani blejtramu, ani farb, choćby plakatówek, ani płótna, ani nawet przyzwoitego szkicownika. Także pełny dezabil studentki oraz zupełnie śladowy przyodziewek Jerzego wprowadził dezinformację, co do tego, kto mianowicie był autorem, a kto modelem wzmiankowanego aktu. Wątpliwości te w pełni podtrzymał także sąd, orzekając o winie Jerzego i zasądzając na rzecz niepracującej żony oraz nieletniej córki słone alimenta. Jerzy honorowo, jeszcze przed rozwodem wyprowadził się do opłaconej przecież z góry na rok garsoniery. Jakby na zamówienie autora tej opowieści o mnożeniu miłości pomnażał ją nadal — nie zamieszkał bowiem, jakby należało się spodziewać, z adeptką sztuk pięknych, a z zupełnie inną panią, choć też studentką, na odmienne medycyny.

Szczęście Zuzanny i Tadeusza sięgało zenitu. Jedynym cieniem rzucanym na te idylle był brak formalnego ślubu, do czego Tadeusz przywiązywał wagę aż nadmierną. Niezgodne jest — mawiał — z moim honorem i krystaliczną uczciwością pozostawanie w konkubinacie. W takim duchu zostałem wychowany, że co kościół, a w skrajnym przypadku chociaż USC zwiąże, tego nikt, poza sądem rzecz jasna, rozwiązać nie może. Przez wrodzoną delikatność Tadeusz nie wspominał o małżeńskiej wspólnocie majątkowej. Szczęśliwa Zuzanna atoli musiała pamiętać o rzeczach, o których dżentelmeni nie mówią. Zamążpójście bowiem pozbawiłoby ją prawa do alimentów, które Jerzy skrupulatnie wypłacał. Na dodatek Tadeusz wspominał nawet o adopcji Nicol, drugiej już adopcji! Gdyby ta jurystyczna ciekawostka się udała, o alimentach na rzecz piętnastoletniej córki nie byłoby też mowy.

W długie, bezsenne noce przemyślna Zuzanna wymyśliła wreszcie sposób. Rozwieść się nie może, ale może zmienić nazwisko! Jerzy bowiem miał nazwisko obcojęzyczne, a prawo polskie zezwala na zmianę takiego nazwiska bez specjalnych trudności. Szczęśliwym trafem Tadeusz ma nazwisko polskie, dość popularne.

I oto Zuzanna, po zmianie nazwiska, mogła Tadeusza przedstawiać wszędzie jako męża ślubnego jak najbardziej, o czym przecież dowodnie świadczyło wspólne nazwisko. Inne nazwisko Nicol, córeczki z poprzedniego małżeństwa, rzecz całą dodatkowo uprawdopodobniło.

Kiedy Jerzy dowiedział się o chytrym wybiegu byłej żony, zdenerwował się cokolwiek przesadnie i udał się niezwłocznie do swej dawnej willi, aby temu zdenerwowaniu dać wyraz. Przez wzburzenie roztargnienie czy też czysty przypadek miał przy sobie klucze od dawno porzuconego domu. Przez to samo wzburzenie czy roztargnienie, a może przez czysty przypadek użył tych kluczy i... zastał Tadeusza w objęciach Nicol. Dla ścisłości dodajmy, że na puszystym dywanie, który już raz wystąpił w tej opowieści. Był to zatem kolejny dowód na to, że miłość stanowiła swoisty genius loci willi Jerzego. Mnożyła się miłość pod tym dachem ponad najśmielsze wyobrażenia!

Opowieść niniejsza jest o miłości, a nie o nienawiści. Toteż niech czytelnik nie spodziewa się, że w tym miejscu nastąpi jakiś czyn krwawy i tragiczny. Nic z tych rzeczy. Jerzy zażył nitrogliceryne i relanium, a następnie tylko powiadomił Zuzannę o tym, co zobaczył. Wkrótce już Tadeusz zmuszony był opuścić zarówno Zuzannę jak Nicol, oraz, co gorsza, gościnną willę, do której zdążył się przywiązać.

Epilog opowieści wcale nie jest smutny: obie panie, Zuzanna i jej córka nadal obdarzają gorącym uczuciem gości tej wspaniałej willi choć już gustują w różnych panach i konkurencji sobie nie robią. Jerzy zamienił garsonierę na własnościowe M-4, w którym, jak wieść niesie nie bywa już studentka medycyny, tylko dla odmiany manicurzystka.

Tadeusz podobno emabluje żonę marynarza gdzieś w Gdańsku...

Tyle miłości... Tyle miłości, jak kraj długi i szeroki...

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Jubilatowi — gorzki wpis do sztambucha

Teatr Nowy obchodził 35 rocznicę istnienia.

Bywają jubileusze i jubileusze. Niektóre znaczą tylko upływ czasu. Inne są jak lampy oświetlające drogę od sukcesu do sukcesu. Do tego drugiego rodzaju należały jubileusze Teatru Nowego w przeszłości.

Początki były *górne i chmurne*. Po opuszczeniu Łodzi w 1949 roku przez Teatr Kameralny pozostający pod wspólną dyrekcją Michała Meliny i Erwina Axera, a po uprzednim wyprowadzeniu się do stolicy Leona Schillera wraz z całym zespołem, Łodzi teatralnej groziła pustka, którą częściowo tylko wypełniał Iwo Gall, przybywający tu w sukurs z Wybrzeża z dość liczną grupą swoich aktorów.

I właśnie tedy, w obliczu impasu, zawiązała się jesienią tegoż roku nieformalna *Grupa Młodych Aktorów*, wychowanków wielkiego Schillera, w której skład wchodzili Kazimierz Dejmek, Janusz Warmiński, Janusz Kłosiński, Bogdana Majda, Tadeusz Minc, Dobrosław Mater, Wojciech Pilarski i inni. W październiku 1948 *Grupa* liczyła 11 osób, w marcu 1949 — już 18. Głównym motywem jej powstania był — jak stwierdzali członkowie tego szlachetnego sprzysiężenia w memoriale do ministra kultury i sztuki — *żywiołowy sprzeciw w stosunku do zastanej (...) rzeczywistości teatralnej*.

Z tej opozycji wobec teatru tradycyjnego zrodził się Teatr Nowy i jego pierwsza premiera — *Brygada szlifierza Karhana* Waszka Kani w reżyserii zespołowej pod kierunkiem Jerzego Merunowicza. Odbyła się ona 12 listopada 1949 roku. Pamiętna data, od której liczy się chlubna droga tej zasłużonej dla kultury Łodzi i dla kultury narodowej sceny.

Nie miejsce tu na analizę tej drogi i ewolucji, jakim Teatr Nowy podlegał. Chciałbym tylko przywołać z pamięci parę jego jubileuszy i przedstawienia je uświetniające.

W V rocznicę, ściśle 11 grudnia 1954, teatr wystąpił z premierą *Łaźni* Majakowskiego w inscenizacji i reżyserii Kazimierza Dejmka, spektakl trwale zapisany w annałach powojennego teatru polskiego jako podzwonne dla socrealizmu stalinowskiego na naszych scenach. Na 10-lecie przygotował Dejmek staranną do perfekcji inscenizację *Akropolis* Wyspiańskiego (3.XII.1959 r.). Swoje 20-lecie obchodził Nowy bez Dejmka, ale uczcił je godnie wystawieniem *Kordiana* Słowackiego w reżyserii Tadeusza Minca, jednego z założycieli sceny (29. XI. 1969). Z kolei 21. XI 1974 roku święcił Teatr Nowy swoje ćwierćwiecze *Weselem Figara* Beaumarchaisego, które wyreżyserował Bohdan Korzeniewski, związany długoletnią współpracą ze sceną przy ulicy Więckowskiego.

Zastosowana przeze mnie *skakanka* po kamieniach milowych znaczących historię Teatru Nowego zaświadczyć ma o tym, że w przeszłości bardzo starannie przygotowywał się on do kolejnych jubileuszy, co wyrażało się zarówno w wyborze sztuk do wystawienia z tej okazji, jak i w powierzaniu reżyserii twórcom wpisanym w dzieje teatru i gwarantującym odpowiedni poziom przedstawień. Na miarę tradycji tej sceny. Jaka szkoda, że organizując uroczystości 35-lecia, nie zadbano w dostateczny sposób o godną oprawę artystyczną!

Wybór repertuarowy padł wprawdzie na Stanisława Wyspiańskiego, którego nazwisko w teatrze polskim nie wymaga rekomendacji, a tradycja Teatru Nowego inkrustowana była po *Akropolis* inscenizacjami *Nocy listopadowej* i *Sędziów*. Ale z twórczości mistrza neoromantyzmu polskiego wydobyto obecnie *Legendę*, sztukę niemal nie grywaną, co budzić musi refleksje.

Jest wielkim ryzykiem dawać niską notę temu utworowi Wyspiańskiego, skoro cały dorobek pisarza wszedł *en bloc* do skarbnicy kultury narodowej. Można jednak zwrócić uwagę, że *Legenda* w pierwszej redakcji zwanej *paryską* powstała w 1898 roku, jako jeden z najwcześniejszych utworów dramatycznych Wyspiańskiego. Poeta sam nie był zapewne usatysfakcjonowany jego kształtem, skoro wrócił doń przerabiając go w roku 1904. W ten sposób powstała redakcja *krakowska* albo inaczej *Legenda II*.

W cenie potomnych jest ten utwór Wyspiańskiego — zafascynowanego mitologią prasłowiańską i atmosferą, jaką tchną stare mury Krakowa — dziełem wizjonera próbującego łamać obowiązujące konwencje teatralne swego czasu. Już choćby lokowanie jednej ze scen na dnie Wisły, pod jej bystrym nurtem, było naówczas zamierzeniem zuchwałym, stawiającym Wyspiańskiego w rzędzie wielkich reformatorów teatru europejskiego.

Jednak wyobraźnia plastyczna zakodowana w didaskaliach odautorskich zdominowała treść przekazu. Słowo w swoim poetyckim ukształtowaniu opornie nadążało za wizją. W efekcie powstało dzieło jakby pęknięte wewnętrznie, nie wytrzymujące ukrytych napięć, dość ubogie intelektualnie. Jakże góruje nad nim pod tym względem *Warszawianka*, napisana przecież także w 1898 roku!

Ale dyrekcja Teatru Nowego, sięgając wbrew tradycji tej sceny po dzieło mało komunikatywne, o nienośnym przesłaniu ideowym, popełniła jeszcze jeden błąd. Realizację jubileuszowego widowiska powierzono reżyserowi nie związanemu w najmniejszym stopniu z linią teatru, nieczułemu na jego specyfikę, zapatrzonemu wyłącznie we własny eksperyment sceniczny, który miał wypalić jako wydarzenie dużego formatu.

Powiedzmy bez owijania w bawełnę — ktoś musi to wreszcie powiedzieć: eksperyment reżyserski się nie powiódł, jego fiasko padło cieniem na święto teatru. Reżyser zapakuje walizkę i wyjedzie, zespół Teatru Nowego pozostanie sam oko w oko z widzem, broniąc przegranej sprawy. To źle.

W zakresie muzycznym i plastycznym spektakl zbudowano ze świetnych komponentów. Nadając mu konwencję operową, *Zygmunt Konieczny* skomponował muzykę pod całość tekstu, rozwijając swe doświadczenia z inscenizacji *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego — Wajdy w krakowskim Teatrze Starym im. Heleny Modrzejewskiej. Tam potraktowano operowo prolog, tu całe przedstawienie jest śpiewane. Decyzję taką wyjaśnia kompozytor w programie do spektaklu pewną sztucznością i patosem języka tego dramatu, co *w interpretacji mówionej może być drażniące*. Jednocześnie jednak Konieczny deklaruje swoją dążność, by muzyka i tekst wzajemnie się wzbogacały.

W istocie maniera poetycka Wyspiańskiego zastosowana w *Legendzie* nie śpiewana, a wypowiadana przez aktorów byłaby miejscami nie do zniesienia, graniczące niebezpiecznie z nie zamierzoną parodią. Któż odważyłby się, biorąc pod uwagę doświadczenie i gust współczesnego widza, recytować serio ze sceny taką na przykład kwestię:

W ugór pójdzie moja rola,
w pustkę wielki dom,
zła to wola, zła to wola,
przekleństwo i srom.

Muzyka Koniecznego w swym szlachetnym brzmieniu przenika na wskroś tekst *Legendy*, zaciera niezręczności archaicznej i pompatycznej frazeologii, jak i nadużywanych przez poetę męskich rymów. Zaciera wstydliwie, zamazuje, ale nie nobilituje, nie nasyca treścią, bo tego uczynić nie jest w stanie. Śpiew przepuszczony przez aparaturę nagłaśniającą staje się w dużej części asemantyczny, oddziaływający dźwiękiem, ale niezrozumiały.

Stary mit o Wandzie, *co nie chciała Niemca*, w wersji Wyspiańskiego, dociera do widza-słuchacza zredukowany, nie uruchamia jego aparatu myślowego. Słowo spełnia rolę gruzu, nie budulca i nie konstrukcji nośnej. Nie potrafił przekonać nas reżyser, że ma ono jakąś samoistną wartość.

Drugim obok muzyki filarem, na którym wspiera się architektura przedstawienia, jest jego wizja plastyczna autorstwa *Leszka Mądzika*. Scenograf tworzy skomplikowaną machinę do grania, która sama w sobie jest niezwykle interesująca, ale także nie spełnia roli integrującej spektakl. Efekty malarskie choćby scen podwodnych albo sekwencji bitewnej rozgrywanej jakby na przedprożu ludzkiej świadomości, są pierwszorzędnej marki, spajają się znakomicie z muzyką, ale więcej mają w założeniu autora abstrakcyjności niż konkretności. Nie chcą spełniać funkcji protezy w stosunku do kalekiego tekstu.

Wiele jest surowego piękna w scenografii Mądzika, w kostiumach, rekwizytach, wiele pomysłowości, jak choćby zamieranie na końcu widowiska Kraka i Wandy w wielkich witrażach, wzorowanych na tych, które dzięki Wyspiańskiemu zdobią kościół oo. Franciszkanów w Krakowie. To symbol utrwalania się bohaterów w świadomości narodowej.

Wydaje się jednak, że zamiar artystyczny scenografa przekracza możliwości techniczne sceny Teatru Nowego. Sceny, powiedzmy sobie raczej chałupniczej, a nie wielkoprzemysłowej w kształtowaniu spektakli. Zmiany planów, zwłaszcza przesuwanie dużych zastawek scenograficznych prosiłoby się o elektryczne wózki w miejsce trakcji ręcznej. Zasłużoną i sprawną brygadę sceny postawiono tu chyba na z góry przegranej pozycji. Podobnie jak aktorów.

Właśnie, aktorów! Tym uczyniono krzywdę najdotkliwszą. Przecież aktor, to w teatrze przysłowiowa sól ziemi. To on w odbiorze widzów odpowiedzialny jest za wszystko, za weryfikowanie się słowa płynącego ze sceny, za artystyczną wymowę przedstawienia. Ale we współczesnym teatrze, zwłaszcza w przypadku rozbudowanej inscenizacji, aktor nie jest władny samym swym talentem i kunsztem zadecydować o powodzeniu całego zamierzenia reżyserskiego. W tym celu musi być uzbrojony przez reżysera w argumentację logiczną i poetycką, w środki, którymi będzie w stanie dotrzeć do widza.

A co otrzymał na wyposażenie wykonawca w spektaklu *Legendy*? Pięknie brzmiącą, ale niełatwą w interpretacji wokalnej muzykę — to raz. Skomplikowaną i trudną w ogrywaniu dekorację — to dwa. Poważne zadania w dziedzinie ruchu scenicznego — trzy. A czego mu nie dostaje? Klarownej intencji reżyserskiej, tekstu, którym mógłby się skutecznie bronić, gdy spocznie na nim wymagające spojrzenie widza.

Tak więc wystawiono zespół aktorski jubilata na sztych, nie dając mu dostatecznego ubezpieczenia. Wykonawcom przyszło zmagać się z oporną materią, ale trud ten podjęli ofiarnie i w tym chyba nawiązali do najlepszych tradycji Teatru Nowego. Realizatorzy nakazali im jednak bycie niemymi, gdyż trudno uznać za mowę nieartykułowane w znacznej mierze dźwięki. Uczestniczą więc aktorzy w tej dźwięcznej i malarsko urokliwej celebrze na zasadzie trochę zagubionych, ale do końca uczciwych i rzetelnych w wywiązywaniu się z postawionego im nieklarownego zadania.

W roli Wandy — poza przedstawieniem premierowym załatwionym występem gościnnym (jeszcze jeden nietakt wobec jubilata) — oglądamy *Anne Grzeszczak*, dobrą głosowo, a w interpretacji aktorskiej skupioną i pełną dramatycznego napięcia. Bez zarzutu wywiązują się także ze swych wokalno-aktorskich obowiązków *Janusz Kubicki*, jako Krak i *Piotr Krukowski* w roli Gędźca-Łopucha. Słowa uznania należą się raz jeszcze całemu zespołowi za zdyscyplinowanie i sumienność.

Jako 35-letni miłośnik i satelita Teatru Nowego, autor dwóch sztuk wystawianych na tej scenie, wyrazić muszę raz jeszcze żal, że tak nie wypaliła jubileuszowa szansa.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Stanisław Wyspiański — Legenda, poemat dramatyczny w 15 obrazach z muzyką **Zygmunta Koniecznego**; reżyseria — **Andrzej Maj**; scenografia — **Leszek Mądzik**; układ ruchu — **Janina Niesobska**; kierownictwo muzyczne — **Anna Płoszaj**; współpraca reżyserska — **Piotr Krukowski**; współpraca scenograficzna — **Maciej Kubicki**; asystent reżysera — **Katarzyna Żychlińska**; pieśni śpiewane pod dyrekcją **Jolanty Majchrzak**; chór Filharmonii w Łodzi im. Artura Rubinsteina pod dyrekcją **Marka Jaszczaka**; muzyka w wykonaniu orkiestry Teatru Wielkiego w Łodzi pod dyrekcją **Tadeusza Kozłowskiego**; reżyserzy nagrań — **Jerzy Błaszyński, Janusz Rosół**; konsultacja akustyczna — **Ryszard Jankowski**; Teatr Nowy, premiera 12.XI.1984 r.

Agnieszka Fatyga (gościnnie) — Wanda, Piotr Krukowski — Łopuch.

Foto: Andrzej Brustman

„SUPER NOWA" czyli historia Ariadny Rzep w kabaretowym wydaniu „KOZY NOSTRY"

Kabaret „KOZA NOSTRA" powstał w 1980 roku w Lublinie. Założył go i nadał mu swoisty kształt artystyczny STEFAN LIPIEC (aktor, piosenkarz, reżyser, scenarzysta, autor wszystkich tekstów, współautor muzyki).

„KOZĘ NOSTRĘ" doskonale zna lubelska publiczność. I może dlatego przyszła pora, aby kabaret zmienił miasto, oglądających go ludzi, pokazał się w centrum Polski innemu odbiorcy, a więc zaczął wszystko prawie od początku (łącznie z rodzinnymi przenosinami członków zespołu z Lublina do Łodzi).

Patronat impresaryjny przejęła nad „Kozą Nostrą" „Estrada Łódzka", która w przygotowanie pierwszego (łódzkiego) programu włożyła wiele pracy, dbając nie tylko o reklamę plakatową dla nowego zespołu, ale i o scenografię i wszystkie dodatkowe atrybuty oprawy niezbędne każdemu programowi estradowemu, który zwykle jest jej pozbawiony (występuje przecież w terenie).

9 listopada br. w klubie „TEST" odbyła się premiera Kabaretu „KOZA NOSTRA" pn. „Super Nowa". Na maleńkiej scenie oglądamy perypetie trzech dygnitarzy z Biura Organizacyjnego Festiwali Piosenki, którzy zmuszeni pewnymi okolicznościami mają za zadanie wylansowanie nowej gwiazdy polskiej piosenki. Wiele już oglądaliśmy takich sztucznie i w przyspieszonym tempie lansowanych gwiazd rodzimej piosenki. Ale ARIADNA RZEP, czyli owa Super Nowa Gwiazda, bije wszystkie rekordy swoim beztalenciem, głupotą prymitywnej panienki, która mimo to wygrała jakiś festiwal piosenki. Zwycięstwo pseudopiosenkarki otworzyło jej estrady, TV, radio i... nowe festiwale, więc może by tak wytypować pannę Rzep na ten najpoważniejszy z poważnych festiwali?

Dyrektor Lizak, magister Szuwara, inżynier Mazak, przesłuchują laureatkę w różnych wariantach jej możliwości. Ariadna Rzep daje tu prawdziwy popis swoich niepodważalnych atutów takich jak: amuzykalność, prostactwo, bezguście, bezgłosie przy ogromnym tupecie i niezaprzeczalnej sile przebicia spośród podobnych do niej miernot.

Autorzy kabaretu chcieli zapewne połączyć zabawę z głębszą refleksją i chwilą zastanowienia nad mechanizmami kierującymi pewnymi sprawami, w tym wypadku kulisy narodzin gwiazdy. Pomysł na ten kabaret narodził się — jak mówi Stefan Lipiec — podczas jego pobytu na FPP Opole 83 (Lipiec śpiewał tam piosenkę „Fijałkowska"). Przyjrzał się wtedy bliżej kuchni festiwalowej, gdzie mistrzowie lansowania nowych gwiazdek lepili je mniej lub bardziej umiejętnie z zaczynu na wielki tort festiwalowy.

„Super Nowa" to nazwa zaczerpnięta z terminologii astronomicznej, tak bowiem określa się nowe wybuchające gwiazdy, dostrzegalne gołym okiem.

W tytułowej roli Super Nowej Gwiazdy Ariadny Rzep występuje absolwentka Studium Sztuki Estradowej w Łodzi, aktorka teatralna, znana widzom teatrów w Toruniu, Szczecinie, Lublinie, z 8-letnim dorobkiem scenicznym (na koncie kilkadziesiąt ról dużych dramatycznych i komediowych), od 4 lat gwiazda Kabaretu „Koza Nostra", śpiewająca, tańcząca, rewelacyjna w roli Super Nowej i znakomicie czująca estradę — JOLANTA WERFEL.

Obok niej trzech godnych partnerów w osobach: STEFANA LIPCA (dyrektor Lizak) — prawnik z wykształcenia, nauczyciel, inspicjent teatralny, od 2 lat zweryfikowany aktor, reżyser, człowiek-orkiestra, obdarzony nie tylko wspaniałą vis comica i autentycznym talentem showmana, ale i rzadko spotykanymi warunkami głosowymi, które pozwalają mu śpiewać najtrudniejszy repertuar wokalny rasowych piosenkarzy.

Jako magister Szuwara występuje MAREK BIEŃ, aktor estradowy, były solista Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej im. Wandy Kaniorowej, który w zespole odpowiada za ruch sceniczny.

Inżynier Mazak to wcielenie KAZIMIERZA GÓRECKIEGO, absolwenta Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi, byłego aktora Teatru Ziemi Łódzkiej, Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie.

W wykonaniu czwórki artystów słuchamy 16 piosenek, dobrych, dowcipnych tekstowo, zgrabnych muzycznie, świetnie zaaranżowanych (Andrzej Żylis), spośród których szczególną uwagę zwracają: „Grać trzeba tak, żeby wygrać", „Nie pojadę z tobą na wieś", „Minimalista", „W pokoiku na stoliku".

Przezabawne kostiumy, rewiowa scenografia (Marian Jagodziński) i kabaretowy klimat tego programu dopełniają tego, o czym tu napisałem.

Nowy program Kabaretu „Koza Nostra" podobał się premierowej publiczności i cieszy się dużym zainteresowaniem łódzkiej publiczności, która co nieczęsto się zdarza, osobiście kupuje bilety w kasie i tłumnie wypełnia salę Klubu „TEST" przy ul. Narutowicza.

Obecnie „Koza Nostra" gości z występami w Bydgoszczy z poprzednim programem „Marek bez Wacka". Na początku grudnia program „Super Nowa" rejestruje łódzka TV i wtedy ogólnopolska widownia będzie miała okazję do poznania nowych twarzy polskiego kabaretu.

W grudniu Jolanta Werfel i Stefan Lipiec przebywają w Wielkiej Brytanii, aby od stycznia powrócić do Łodzi i grać tu codziennie dla łódzkiej publiczności. Jak zwierzyli mi się artyści — najbardziej zależy im na graniu w Łodzi, chcieliby zaistnieć w świadomości łódzkiej publiczności i chociaż na jakiś czas stać się łódzkim kabaretem.

Sądzę, że łodzianie nie będą mieli nic przeciwko temu, przeciwnie — może nareszcie powstanie w naszym mieście kabaret z prawdziwego zdarzenia, taki jaki mają mieszkańcy Warszawy czy Poznania.

BOHDAN GADOMSKI

Przed pięcioma laty odbył się piąty przegląd filmów społeczno-politycznych w Łodzi. W końcu listopada bieżącego roku odbył się pierwszy Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych Łódź 1984.

Co się zdarzyło w ciągu tych pięciu lat? Każde dziecko wie.

Co się zdarzyło w dziedzinie filmu społeczno-politycznego? Komisja selekcyjna obejrzała 150 filmów...

Dodać trzeba, że organizatorzy, zmuszeni do nakreślenia ram tego, co chcieli uznać za film społeczno-polityczny musieli szerokie pojęcie „społeczno-polityczny" okroić. Odrzucili pełnometrażowy film fabularny, odrzucili film dokumentalny o dłuższym niż przewidywał regulamin metrażu, odrzucili film oświatowy o zdecydowanie utylitarnym profilu szkolnej pomocy dydaktycznej. Co zostało? Bardzo dużo, bo i reportaż telewizyjny i film animowany i minikomedia (skecz filmowy?) i „Mojżesz" Leszka Skrzydły i „Jan Promiński" tegoż autora.

Przed pięcioma laty... [sic — continued:] niem twórców, zgłaszaniem scenariuszy itp. Jeszcze dosadniej określa to zjawisko Henryk Zieliński, dyrektor „Poltelu".

— *Opinie głoszące, że filmy społeczno-polityczne robi się trudniej niż kiedyś są środowiskowym mitem. Mitem części środowiska. Nie mamy żadnych trudności ze znalezieniem realizatorów filmu społeczno-politycznego. Twórcy robią je chętnie.*

A co sądzą sami twórcy?

Okazją do wysłuchania ich opinii było spotkanie publiczności z twórcami. Specyficznej publiczności, złożonej z działaczy propagandowych.

Największym zainteresowaniem cieszył się na tym spotkaniu Michał Maryniarczyk, autor nagrodzonych filmów „Rocznik 63" i „Przez ten rok". Maryniarczykowi i debiutantowi Mieczysławowi Vogtowi („Sonda") zarzucono, że w ich filmach poświęconych sprawom młodego pokolenia brakuje optymizmu.

Vogt z zacięciem teoretyka twierdził, że filmowa, celuloidowa prawda jest projekcją *odblokujcie tematy tabu, nie utrudniajcie dostępu do materiałów, nie przeszkadzajcie w filmowym dokumentowaniu zdarzeń! Wtedy zobaczycie filmy...*

— *Mogę zrobić film o partii* — dodaje reporter telewizyjny Michał Fajbusiewicz, — *ale wiem z góry, że będzie można go pokazać tylko na zamkniętych projekcjach. Mam trudności nie tylko z filmem, mam trudności ze zrobieniem trzyminutowego felietonu o działalności partii w zakładzie, przecież nie mogę robić tylko wywiadów z samymi sekretarzami KZ!*

No więc kto ma rację? Autorzy czy dyrektorzy wytwórni filmowych? Łatwo czy niełatwo robić filmy społeczno-polityczne?

Grand Prix dostał film „Wąski tor" Tamary Sołoniewicz. Obraz posierpniowego przełomu na małym węźle kolejowym gdzieś pod Miechowem. Fatalne warunki pracy, oburzeni robotnicy, sekretarz KZ który był dobry na każdą pogodę; sprawuje swoją funk-

Festiwal Filmów Społeczno – Politycznych

„Jest na te filmy sezon..."

To co zostało, nie jest ani do zdefiniowania, ani do określenia nazwą. Zostały filmy konkursowe i filmy pokazywane poza konkursem. Myślę, że Komisja Selekcyjna Festiwalu miała trudniejszą robotę, niż Jury, które nie przeżywało rozterek wynikających z tego, o czym wyżej. Jury po prostu nagrodziło dobre filmy...

Publiczność festiwalową stanowili w dużej części działacze propagandowi — pracownicy partyjnych ośrodków szkolenia, żywo zainteresowani materiałem filmowym wykorzystywanym w ich pracy. Mają z tym trudności Sekretarz KZ w Zakładach im. Obrońców Pokoju w Łodzi, Marian Andrzejczak, tak to określa:

— *Napotykamy duże trudności w wykorzystaniu filmu w szkoleniu partyjnym, społeczno-ekonomicznym. Trudności natury technicznej, ale nie tylko; zestawy filmów, które wyprodukowaliśmy kiedyś w OPRF znacznie się zdezaktualizowały. Są „opatrzone" nie tylko w sensie dosłownym...*

Myślę, że na oczekiwania tej publiczności liczył Jerzy Jacek Tomczak autor filmu inaugurującego Festiwal. Film „Początek drogi" ukazuje w dokumentalnym skrócie genezę nowych związków zawodowych: kulminacja antysocjalistycznego szaleństwa w ostatnim okresie działania „Solidarności" stan wojenny, sejmowe spory o kształt ustawy o związkach zawodowych. Wreszcie codzienność nowych organizacji związkowych. Gąszcz trudności, niełatwe ludzkie sprawy, konflikty, przełamywanie oporów i bariery nieufności. Historia w momencie stawania się. Film-plakat.

Niezależnie od wartości tego filmu uznać go można za swego rodzaju deklarację organizatorów. „To jest to"!

Podobno takie filmy trudno robić. Podobno nie chcą ich robić twórcy. Tymczasem Studio Miniatur Filmowych nadesłało na Festiwal aż sześć filmów. Rekord, jak na specyfikę tej wytwórni. Dyrektor SMF Piotr Szczepański mówi: — *Jest na te filmy sezon jest pogoda. Istnieje niewątpliwy nacisk opinii społecznej, która chce tej tematyki. W naszej wytwórni nacisk ten objawia się zwiększonym zainteresowa-* świadomości społecznej. A świadomość społeczna, o czym uczy klasyk karmi się rzeczywistością materialną. Chudo więc jadała anno domini 82 — w tym okresie powstawały omawiane filmy.

Inaczej Maryniarczyk. *Film portretuje swój czas* — mówił — *a czas jest trudny wprawdzie, lecz nie pozbawiony nuty optymistycznej, która także w filmie daje się odnaleźć.*

Zarzuty czarnowidztwa i pesymizmu okazały się tylko bojem wstępnym. Wnet ruszyła ciężka jazda: Jeden z dyskutantów zarzucił prezentowanym filmom nieprzydatność w pracy propagandowej z trzech powodów — *Po pierwsze, film nie dostarcza kontrargumentów przeciw propagandzie opozycji, po drugie, nie propaguje szerokiej i autentycznej integracji i konsolidacji narodu po 13 grudnia, po trzecie, nie przedstawia prawdziwego obrazu Drugiej Rzeczypospolitej.* Za tymi ciosami poszły te najmocniejsze.

— *Nie widzę na ekranie partii* — powiedział jeden z propagandystów — *nie załatwia tego problemu stały film Józefa Gębskiego o działalności biura skarg i interwencji KC, biuro towarzysza Siwaka. Dlaczego nie ma filmu na przykład o człowieku, który rzucił legitymację partyjną? O jego ówczesnym myśleniu, o motywach? A może jeszcze o tym, co myśli teraz, kiedy — dajmy na to — legitymację odzyskał lub stara się ją odzyskać?*

— *Jest taki film! Jest film o partii, dobry, ostry film. Nazywa się „Odnowa" i zrobił go Władek Wasilewski!* — wykrzyknął niecierpliwie reżyser Andrzej Szczygieł. *Kiedy zaprezentowano ten film na inauguracji roku szkolenia partyjnego w jednym z miast województwa piotrkowskiego, to zarzucono autorowi dywersję propagandową, kontrrewolucję. Na szczęście po namyśle towarzysze zaproponowali autorowi następne projekcje i spotkania z widzami. O czym to świadczy? Właśnie o tym, że akceptuje się tylko filmy — agitki, proste, czarno-białe. Bez głębszej refleksji.*

— *Reprezentujecie aparat partyjny?* — zwrócił się do dyskutantów Maryniarczyk — cję już trzydzieści lat, był za Bieruta, był za Gomułki, był za Gierka. Teraz wygłasza referat o wypaczeniach i o socjalistycznej odnowie. Właściwie nikt nic przeciwko niemu nie ma, trzeba go zdjąć dla zasady. Sam zresztą chce odejść. W sprawie tego sekretarza, w tej małej społeczności robotniczej zbierają się jak w soczewce problemy kraju w roku 1981. Bez nachalnej symboliki, bez stawiania kropek nad i.

Jedną z nagród głównych otrzymuje „klasyk" Leszek Skrzydło za film „Jan Promiński". Rzetelny dokument historyczny o życiu i działalności łódzkiego robotnika, działacza rewolucyjnego i zesłańca przyjaciela Włodzimierza Lenina z lat zsyłki.

Nagród było sporo. Co piąty prezentowany film został wyróżniony. Jury przyznało również medal dla Wytwórni Filmów Dokumentalnych za zestaw filmów.

W kuluarach nazwano go medalem pocieszenia...

Co dalej? Festiwal będzie kontynuowany. Następny zapowiedziano na rok 1986. Filmy nagrodzone i inne będą prezentowane w specjalnych zestawach przez łódzki OPRF. A co z filmowo-festiwalowymi ambicjami środowiska łódzkiego? Na coś się zanosi. Wiceprezydent miasta Jan Nosko powiedział w wywiadzie dla Informatora Festiwalowego:

— *Jak dotąd brak naszemu miastu ważnej, ogólnopolskiej imprezy wysokiej rangi. Władze miasta i środowiska twórcze myślą o takiej imprezie i wszystko wskazuje na to, że będzie to impreza filmowa. Impreza promocyjna najprawdopodobniej, mamy bowiem szczęśliwą rękę do imprez dla młodych twórców, dla debiutantów. Byłaby to nie tylko prezentacja produkcji, nie tylko promocja. Nie może tej imprezie, jeśli ma rzeczywiście osiągnąć wysoką rangę, zabraknąć głębszej refleksji o sztuce w ogóle i o sztuce filmowej...*

ANDRZEJ KAROLCZAK

Kadr z filmu „Dworzec"

Pogoń za niemożliwym?

Stykając się z dwuwymiarowym dziełem plastyki — obrazem malarskim czy rysunkiem — nie uświadamiamy sobie zazwyczaj, że obcujemy z dość „oszukańczym" sposobem przedstawiania trójwymiarowej przecież przestrzeni. Po prostu żyliśmy się z pewną, tradycyjnie uwarunkowaną, konwencją artystyczną, dostarczającą nam złudzeń trójwymiarowości według sprawdzonych reguł sztuki, m.in. zasad perspektywy. Jest to więc wielce umowne, a w różnych epokach i różnych kierunkach przyjmowanych odmiennie, choć ma wspólny mianownik, przyjęty układ odniesienia, według którego oceniamy dzieło jako mniej lub bardziej „prawdziwy" obraz otaczającej rzeczywistości. Ale — jakiż on tam „prawdziwy", jeśli tak umowny!

Usiłuję tu, na swój mocno subiektywny sposób, i po dyletancku uproszczony, wprowadzić czytelnika w krąg spraw, o których trzeba wpierw pomyśleć, nim się zacznie oglądać niecodzienną wystawę w Muzeum Sztuki, gromadzącą prace **Oscara Reutersvärda** i **Zenona Kulpy**, pod zaskakującym i prowokującym tytułem „Figury niemożliwe" (kompetentne wprowadzenie w problematykę przez Ryszarda Stanisławskiego i obu autorów pomieszczono w katalogu wystawy).

Dlaczego jednak „Figury niemożliwe"? Nie tylko dlatego, że — jak rozumiem — trudno je sobie wyobrazić nawet w trójwymiarowej przestrzeni, ale tym bardziej trudno przedstawić w konwencjonalnej formie na dwuwymiarowym rysunku. Bo właśnie owa przestrzeń, jak wiadomo przynajmniej od czasu Einsteina, nie jest bynajmniej trójwymiarowa, nie rozciąga się linearnie w nieskończoność, gdyż model świata jest jakby „zakrzywiony". Toteż linia prosta, taka znamy z Euklidesa nie pobiegnie od nas po wsze czasy, lecz kiedyś tam powinna teoretycznie wrócić do punktu wyjścia. Gdzież więc „góra" czy „dół" i co z liniami równoległymi? A jak w dodatku względne są czas i prędkość, masa i energia...

Piszę o tym w spopularyzowanym ujęciu „czwartego wymiaru", ponieważ takie czy inne domniemania o strukturze świata i jego prawach (fizykalnych czy socjecznych) stanowią zawsze jakieś źródło inspiracji dla twórców, choć autorzy prezentowani na wystawie odżegnują się od tak uproszczonej transpozycji artystycznej nowoczesnej fizyki, odwołując się bądź do psychologii widzenia, bądź do własnych wcześniejszych dzieł.

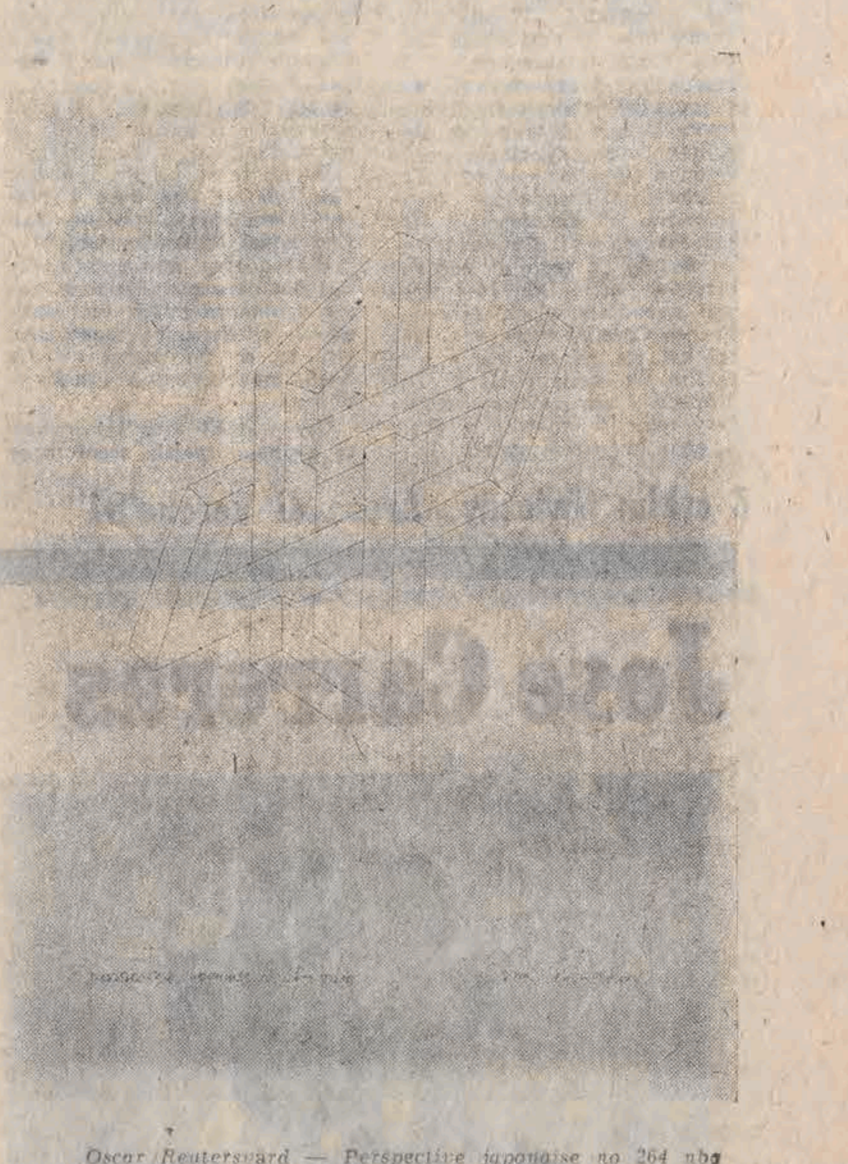

Oscar Reutersvärd — Perspective japonaise no 264 nbg

A trzeba dodać, że obaj są naukowcami. Humanista Oscar Reutersvärd jest profesorem historii sztuki na szwedzkim uniwersytecie w Lund, a dr Zenon Kulpa informatykiem, pracownikiem naukowym PAN. Łączą ich pokrewne, choć nie identyczne, zainteresowania zarówno współczesnymi hipotezami nauk ścisłych, jak i teorią sztuki, co znajduje odbicie w ich praktyce artystycznej.

Owoce tych artystycznych działań zostały w pokaźnej liczbie zgromadzone na wspomnianej wystawie, która z pewnością może zwiedzającym dać dużo do myślenia, a czy dostarcza także czysto estetycznych przeżyć, to, jak zwykle, sprawa indywidualnego odbioru.

JERZY KWIECIŃSKI

Anna Rynkowska

Zmarła doc. dr Anna Rynkowska, historyk, pedagog i archiwistka. Urodzona w Łodzi, całe życie tu spędziła. Ukończyła szkołę powszechną i gimnazjum, i rozpoczęła w 1922 r. pracę jako nauczycielka szkół powszechnych. Pracowała do wybuchu wojny w 1939 r. Po otwarciu w Łodzi Wolnej Wszechnicy Polskiej zaczęła studia historyczne na tej uczelni, a po ich zakończeniu została asystentką przy katedrze historii gospodarczo-społecznej tej uczelni.

W tym samym charakterze pracowała również po wojnie na nowo powstałym Uniwersytecie Łódzkim, będąc jednocześnie nauczycielką łódzkich gimnazjów. Następnie przez 20 lat pracowała w Archiwum Państwowym w Łodzi prowadząc prace nad gromadzeniem i opracowywaniem akt gospodarczych, w czym doszła do wysokiego stopnia specjalizacji. Jednocześnie jako znawca 6 języków prowadziła lektorat języka włoskiego na uniwersytecie i w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy.

Łódź opuściła jedynie na czas okupacji, wysiedlona do Głowna, gdzie wspólnie z mężem Józefem Rynkowskim zorganizowali i prowadzili tajne nauczanie.

Poza pracą pedagogiczną, drugą dziedziną działalności A. Rynkowskiej była praca naukowa w zakresie historii. Jej zainteresowania koncentrowały się na dziejach Łodzi przemysłowej. Zajmowała się rozwojem miasta, jego poszczególnych dzielnic, a także przemysłu i ludzi. Owocem jej badań była pionierska praca poświęcona ulicy Piotrkowskiej. Dużo pracy poświęciła też popularyzacji wiedzy o przeszłości Łodzi publikując artykuły na ten temat w „Odgłosach", „Osnowie", „Dzienniku Łódzkim", a także przewodnikach i folderach po Łodzi. Była popularyzatorką historii Łodzi, wygłaszała na ten temat odczyty w TWP.

Była długoletnim redaktorem Polskiego Słownika Biograficznego. Dzięki jej systematyczności i wytrwałej pracowitości, wielu łodzian zupełnie nam nieznanych, a zasłużonych dla miasta trafiło na łamy tego ogólnopolskiego wydawnictwa.

Poza pracą naukową i popularyzatorską zajmowała się działalnością społeczną, pracując w tych dziedzinach, w których mogła pomóc swą wiedzą. Była wieloletnim członkiem Zarządu Łódzkiego PTH. Była współzałożycielką łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Archiwistów i Bibliotekarzy, pierwszą przewodniczącą Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Archiwistów Polskich. Została opiekunem zabytków łódzkich. Była też członkiem Łódzkiej Rady Dóbr Kultury.

Wielu jej wychowanków utrzymywało z nią kontakty długo po ukończeniu szkół. Widocznie indywidualność nauczycielki mocno na nich oddziaływała. Choć miała wiele cech towarzyskich, na życie towarzyskie nie poświęcała zbyt dużo czasu. Zawsze na pierwszym miejscu stawiała pracę. Była bardzo sumienna i uczciwa w pracy. Bolała nad tym, gdy tych cech nie zauważała u innych ludzi.

Przeżywała mocno, gdy wyniki jej mrówczej pracy wykorzystywali inni, nie zaznaczając ich źródeł pochodzenia. Była osobą pogodną.

Za dorobek naukowy w dziedzinie historii dostała nominację na docenta. Za prace badawcze nad przeszłością miasta została „Łodzianka roku 1971". Za Tajne Nauczanie wyróżniona została Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Odznaczona była Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

JULIA WASIAK

Z cyklu: Gwiazdy „Arena di Verona'84"

José Carreras

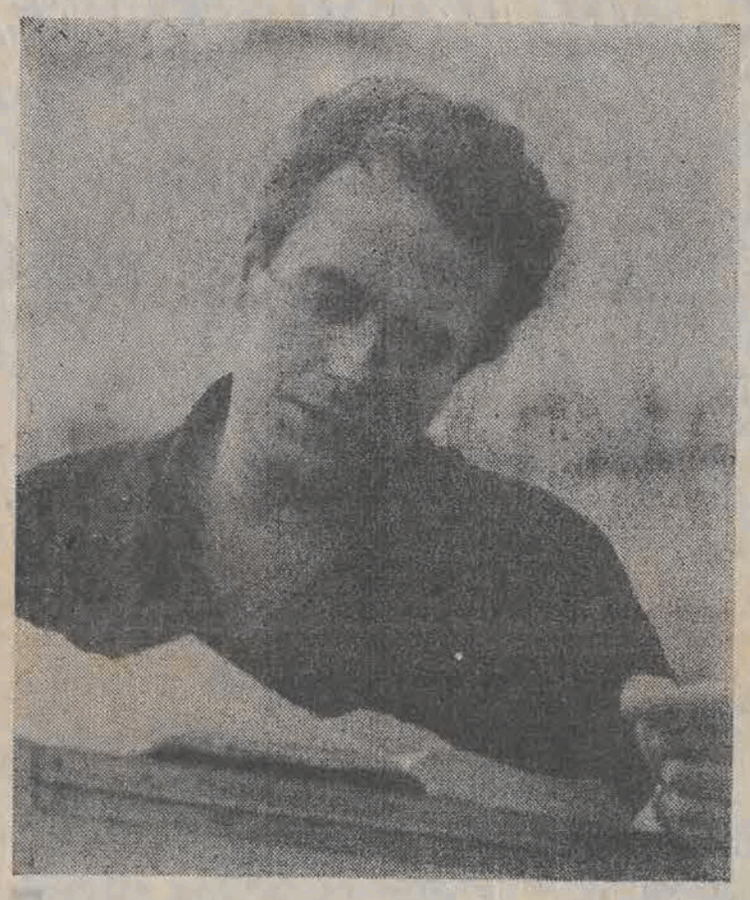

Foto: Franco Fainello

Od 1913 roku, pierwszego, inaugurującego sezonu 62 dotychczasowych Festiwali Operowych „Arena di Verona" niektóre opery, z racji swojego ogromnego powodzenia oraz możliwości ich wystawy w wielkim stylu na największej scenie świata, doczekały się wielu swoich edycji w sławnym starorzymskim amfiteatrze werońskim. Wszelkie rekordy bije tu oczywiście „Aida", którą wystawiono w 25 sezonach i tyluż różnych wydaniach reżysersko-scenograficznych. Drugie miejsce po niej zajmuje zaraz „Carmen" — 16 sezonów (potem kolejno: „Turandot", „Gioconda" — po 5 sezonów, „Mefistofeles", „Moc przeznaczenia" i „Trubadur" — po 6 itd.). Z tego aż przez 5 sezonów partię Don José śpiewał wspaniały włoski tenor — Franco Corelli, który w r. 1955 spotkał się na tej scenie i w tej roli z samym Mario Del Monaco. I oto na Festiwalu w 1984 roku, w nowym wydaniu dziewięciu przedstawień „Carmen", w reżyserii Mauro Bolognini, scenografii Paolo Bregni i pod dyrekcją Giuseppe Patanè (w dalszych przedstawieniach — Nello Santi z Metropolitan Opera), w partii tragicznego sierżanta z Sewilli, zabłysła jedna z kilku największych gwiazd tenorowych ostatnich lat, „flaga wokalna" dumnych nacjonalistów hiszpańskich — JOSÉ CARRERAS.

Jest to śpiewak o popularności wprost niezwykłej, ciesz̨ący się wielką sympatią tłumów, które nader hojnie obdarza swoim bogatym, bujnym talentem, zadziwiając równocześnie wyjątkową inteligencją i ludzkim sposobem bycia. Głos z gatunku lirico-spinto, o wielkiej gamie lirycznej i dramatycznej, aksamitnie miękki, zdecydowany i pełen ekspresji tak w swoim tembrze, jak i w pasażach, o wypolerowanej elazurze. Jego rzeźbione frazy muzyczne łagodne piana, nadzwyczajna dykcja i ogólna komunikatywność przekazu, wynikająca z naturalnego, wrodzonego aktorstwa, wpływają na pełen sukces, jak to miało miejsce również w wypadku jego debiutu na „Arenie" w partii Don José, na werońskiej premierze 12 sierpnia br. w towarzystwie atrakcyjnej murzyńskiej śpiewaczki, Amerykanki — GAIL GILMORE.

JOSÉ CARRERAS, lat 37, dwoje dzieci i hobby dość niewyszukane — słuchanie muzyki. Bywa często wesoły, zalyższe uprzejmy i w każdej wolnej chwili do dyspozycji. A ponieważ tych wolnych chwil prawie że nie miewa śpiewacy także wypoczynek muszą zaliczać do swoich przymusowych zajęć, nieraz nużących, lecz koniecznych), więc trzeba go łapać w przerwach przedstawień. Tak też uczyniłem w czasie mojego ostatniego wieczoru w Weronie w przerwach opery „Carmen", w garderobie artysty, za kulisami amfiteatru.

Tyle już Pan przedstawień „Carmen" widział, słyszał, w wielu brał osobiście udział; która, Pana zdaniem jest najciekawsza?

Ta, którą zainaugurujemy sezon tegoroczny w La Scali, w której (także nagraniach) i ja śpiewać będę w towarzystwie, według mojej opinii, najbardziej interesującej dziś interpretatorki tej partii — Agnes Baltsa. Dyrygować będzie Claudio Abbado. Także z Agnes Baltsa, lecz już pod dyrekcją von Karajana, w roku przyszłym, zainaugurujemy tą operą Festiwal w Salzburgu.

Wiem, że w La Scali będzie Pan śpiewał Don José z Placido Domingo na zmianę. Jak Pan widzi tę konfrontację?

Dla widzów interesująca, dla nas podniecająca. Podobne nasze spotkanie miało już miejsce w wiedeńskiej Staatsoper, lecz to, co się zdarza w La Scali, ma oczywiście inne wymiary.

Czy widział Pan już swojego godnego rywala scenicznego w roli sierżanta Josego?

Oczywiście! Jesteśmy różni, to jasne. On jest bardziej bohaterski ode mnie. Jest naprawdę muzykalny, a jego głos charakteryzuje się pewnością dźwięku. Mój Don José natomiast, jest bardziej liryczny, zdesperowany.

Czy odpowiada Panu „Carmen" z dialogami mówionymi, jak to ma miejsce ostatnio w nagraniach z Karajanem, czy też ta, w stylu Grand Opera, bez dialogów?

W teatrach zamkniętych (nie na wolnym powietrzu) wolę pierwszą wersję, gdyż dialogi pomagają w dramatycznym rozwoju akcji tej opery. W nagraniach jednak należy pamiętać, aby były one wykonywane przez tych samych śpiewaków, mimo że akcent francuski wśród większości pozafrancuskich wykonawców, jak w moim wypadku, pozostaje zawsze tylko przybliżony.

Jak prezentują się Pańskie stosunki z La Scala?

Od czasu, gdy dyrektorem artystycznym jest Mazzonis, znacznie lepiej. I pomimo ciągłych problemów wynikających z opóźnień w porozumieniach, wszystko to, co się dzieje w La Scali, pozostaje zawsze jedyne i wyjątkowe w swiecie operowym.

Co robi wrażenie na Panu, śpiewającym na werońskiej „Arenie"?

Ogrom tego jedynego w swiecie teatru i rozmiłowany w operze gigantyczny tłum 25-tysięcznej widowni.

Czy telewizja będzie nagrywać któraś „Carmen" z Pana udziałem?

Na pewno nie z La Scali, by nie dopuścić do powtórzenia przypadku, jaki miał miejsce z „Don Carlosem" kilka lat temu, który przyczynił się do zerwania stosunków między Karajanem a Italią. Moja „Carmen" nagrywana będzie na Festiwalu w Salzburgu, natomiast Placida Domingo — przez wytwórnię filmową „Risi".

Jaki jest Pana stosunek do dzieła Bizeta i do samej postaci Don Josego?

„Carmen" włączyłem do swojego repertuaru stosunkowo niedawno, śpiewając ją po raz pierwszy w maju 1982 roku. Lecz od tamtej chwili, nie licząc nagrania płytowego i dwóch telewizyjnych, zaliczyłem już około 50 przedstawień tej opery ze swoim udziałem. Znam ją więc doskonale, zdając sobie sprawę zarówno z ograniczeń, jak i możliwości, jakie mi rola Don Josego przynosi, a która, obok Rudolfa w „Cyganerii" i „Andrea Chenier" zaliczam do swoich ulubionych postaci scenicznych. Jest to bohater złożony, pełen różnych stanów emocjonalnych. W moim przekonaniu, bardziej naiwny i prymitywny, aniżeli gwałtowny i bohaterski, niby jednak powierzchowny.

Czy odczuwa Pan czasem znużenie, daje się ponieść rutynie?

Największą radością dla mnie jest wejście na scenę. Stanąć twarzą w twarz przed publicznością i śpiewać.

Jednak zdaje Pan sobie sprawę, że zawsze znajdzie się na występie ktoś, kto będzie uparcie twierdził: „Tym razem Carrerasowi się nie uda!"?

Według opinii niektórych, powinienem był już rzucić śpiewanie w 1971 roku, nazajutrz po moim debiucie. Wydaje mi się jednak, że od tamtej pory coś niecoś w życiu zrobiłem.

Domingo, Aragall, Kraus, Carreras... same sławy tenorowe rodem z Hiszpanii!?

Cóż, Hiszpania zawsze miała wielu znakomitych tenorów. Że w chwili obecnej bijemy w tym zakresie głosów Włochy, to rzecz prawdziwa.

Jeśli powiem zaś Montserrat Caballé, co Pan mi dopowie?

Najwspanialsza śpiewaczka, jaką kiedykolwiek słyszałem na scenie kobieta o walorach ludzkich nadzwyczajnych. Do Caballe mam słabość specjalną!

Czy Pan ma zamiar w dalszym ciągu tak dużo nagrywać?

Oczywiście!

A dlaczego nagrywają tylko: Pavarotti, Domingo, Carreras?

Proste: To firmy nagrań nas zapraszają... Ich zdaniem płyty muszą zostać nie tylko nagrane, ale i sprzedane.

Gdyby wszystkie zalety głosowe całej tej „trójki" połączyć razem...?

Być może narodziłby się godny konkurent Enrica Carusa.

Ostatnie Pana nagrania płytowe?

„Napój miłosny" Donizetti'ego, z Katią Ricciarelli, Leo Nucci oraz orkiestrą Radia RAI di Torino, pod dyrekcją Claudio Scimone.

Jak często Pan śpiewa w roku?

Chciałoby się jak najwięcej, lecz predyspozycje psychofizyczne często każą zwolnić tempo. Przeciętnie jednak mam od 70 do 75 występów rocznie.

Jest Pan żonaty, ma dwoje dzieci, a tu ciągle podróże, podróże... Nie żałuje Pan porzuconych studiów uniwersyteckich na Wydziale Chemii?

Zdarza się, że wspominam je z sentymentem... choć dziś wydaje mi się, że wśród chemików byłbym chyba nieszczęśliwszy.

Czy planuje Pan śpiewać dokąd się da?

Do chwili, kiedy nie zauważę, że śpiew stał się dla mnie rutyną, zwyczajnym zajęciem. A tego nie mogę przewidzieć.

Zauważyłem, że przed wejściem do każdego aktu wypija Pan pełną szklankę wody?

Zawsze. Pomaga to znakomicie w lepszej przemianie materii i dobrym funkcjonowaniu układu neuro-wegetatywnego. W czasie śpiewania zasycha nam przecież w gardle! Panu nie? No, ale chyba zdajemy sobie sprawę, że w naszym środowisku są koledzy o przyzwyczajeniach i manierach znacznie bardziej kłopotliwych i śmiesznych niż moje picie wody?!

Niestety, to prawda! Dziękuję za miłą rozmowę i „połamania" w ostatnim akcie!!!

WALDEMAR PAWŁOWSKI

Eva Rubinstein fotografuje Łódź

Andrzej Wrzesień

Polemiki • Listy • Opinie

Groźna obojętność

Dwunasto-, a może dziesięcioletni chłopcy rysowali kredą na chodniku sześcioramienną gwiazdę, Gwiazdę Dawidowa. Obok tej gwiazdy starannie pisali — RTS Jude. Przyglądał się temu mój znajomy.

— Czy wiecie, co to znaczy? — zapytał chłopców.

— Znaczy, że jesteśmy kibicami ŁKS — odpowiedział jeden z nich.

— Ale, czy wiecie, co znaczy ta gwiazda i napis „Jude"? — nie ustępował mój znajomy.

— No, że ŁKS jest lepszy!

Mój znajomy wyjaśnił chłopcom, że w czasie drugiej wojny światowej hitlerowcy kazali Żydom nosić gwiazdę Dawidowa, zamykali ich w gettach i mordowali. Chłopcy byli zdziwieni. Gwiazda Dawidowa i słowo — „Jude" kojarzy im się z rywalizacją między dwoma łódzkimi klubami sportowymi.

Na domach, parkanach, chodnikach, skrzyniach na śmieci wyrysowane są „sportowe hasła". Oglądamy więc napisy: „ŁKS — Król", „RTS — Król", „ŁKS — Jude", „RTS — Jude". Oglądamy znaczek warszawskiej Legii — litera „L" w kole — zawieszony na narysowanej kredą szubienicy. Oglądamy inną wersję — na szubienicy wiszą „ŁKS" lub „RTS".

Pod koniec lata i później, jesienią, kilkakrotnie przejeżdżałam ulicą Zaolziańską. I właśnie wtedy zobaczyłam te rysunki. Solidne, być może wykonane nawet olejną farbą, na białej ścianie. Oba te rysunki Czytelnik może obejrzeć na reprodukowanych obok zdjęciach.

Nie był to zwykły budynek. Obok było boisko, wydeptana trawa. Okazało się, że jest to szkoła. Szkoła Podstawowa nr 7, nosząca piękne imię 30-lecia PRL. Dokładny adres: ulica Wiosenna nr 1.

Parę dni temu, nasz fotoreporter, Grzegorz Gałasiński, fotografował szkołę i umieszczone na jej ścianie rysunki. Reakcja jednej z nauczycielek była natychmiastowa. Zażądała zezwolenia na fotografowanie państwowego budynku. Rysunki na tym państwowym budynku jakoś do tej pory nikogo nie zainteresowały. Ja, owe rysunki na państwowym budynku oglądałam od kilku miesięcy. Dlaczego nie zobaczyli ich inni?

Nie uwierzę, że nauczyciele Szkoły Podstawowej nr 7 w Łodzi nie wiedzą nic o czasach okupacji w Polsce i Europie. Nie mogę więc również uwierzyć, że rysunki na ich szkole kojarzyły się im tylko ze sportową rywalizacją dwu łódzkich klubów. Nie uwierzę również, że na rysunki te nie zwrócił uwagi nikt z przechodzących koło szkoły czy mieszkających w jej pobliżu. Dlaczego nie zareagował?

Rywalizacja w sporcie jest nieunikniona. Ktoś musi wygrywać, ktoś musi przegrywać. Ktoś jest lepszy, ktoś jest gorszy. Piłkarze ŁKS od dawna przeżywają trudny okres. Bronią się przed spadkiem z I ligi. To pięknie, że w tak trudnym okresie kibice ich nie opuszczają. Są im wierni. Manifestują swoje przywiązanie do ich barw. Ale czy miłość do jednego klubu musi iść w parze z nienawiścią do innych?

To pięknie, że kibice cieszą się sukcesami piłkarzy RTS Widzew i publicznie manifestują swoją radość. Ale czy tej radości musi towarzyszyć nienawiść?

Na stadionie, gdzie grają piłkarze jednej drużyny kibice drugiej wykrzykują wulgarne słowa, wymyślają, śpiewają niecenzuralne piosenki. Tak się dzieje nie tylko na stadionach ŁKS i RTS Widzew. Tak się dzieje w Warszawie, Krakowie, na Śląsku. I nie tylko na stadionach piłkarskich.

Wszyscy wiemy o „sportowych pociągach", którymi jeżdżą piłkarscy kibice. Wszyscy wiemy, że takie pociągi obrzuca się kamieniami, w pociągach tych bije się pasażerów. Oczywiście, można powiedzieć, że tak dzieje się nie tylko w Polsce. W innych krajach również. Ale to nie jest usprawiedliwienie.

Chwalimy się, że jesteśmy tacy tolerancyjni. Może byliśmy, bo teraz już nie jesteśmy. Mnożą się przypadki wandalizmu, nienawiści, chuligaństwa, agresji. I rośnie nasza obojętność. Na ulicy, na stadionie, w szkole, w domu. Każdy z nas uważa, że od zwalczania wszystkiego co złe jest milicja, prokuratura, sądy, że „nie moja to sprawa".

Rzeczywiście?

BOGDA MADEJ

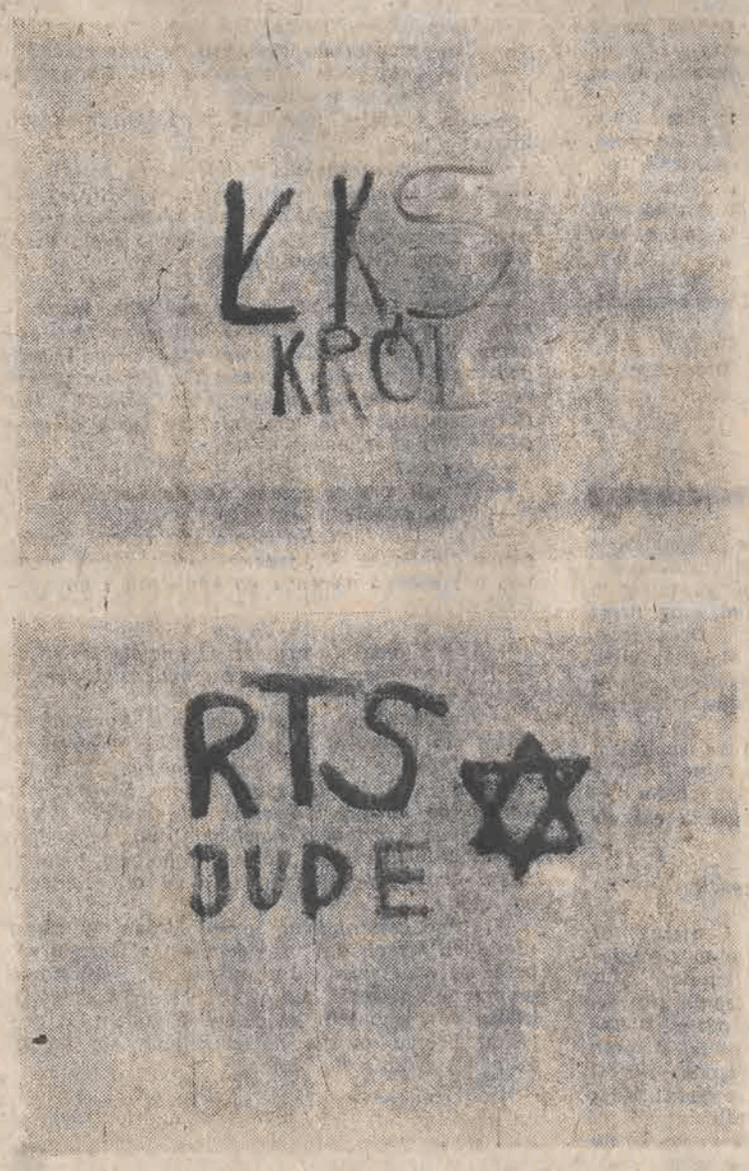

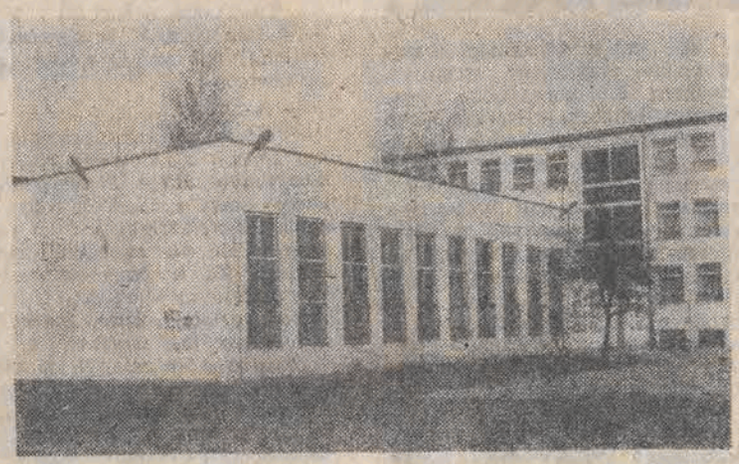

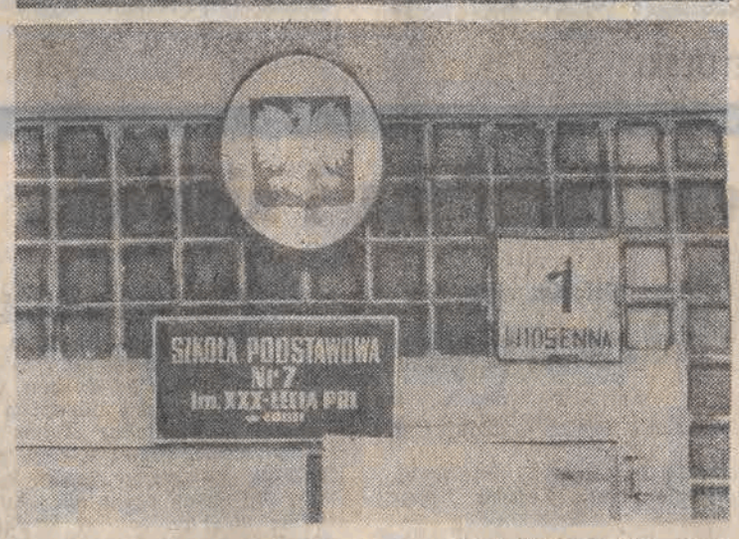

Foto: Grzegorz Gałasiński

„KOMU GRA, KOMU KOLIDUJE"

W związku z artykułem zamieszczonym w „Odgłosach" z 8.12.1984 r., w którym redaktor A. Karolczak, nieupoważniony przez władze oświatowe i administracyjne miasta Łodzi, zamieścił nieprawdziwe informacje o Planetarium i IV Liceum Ogólnokształcącym — dyrektor Specjalistycznego Ogniska Pracy Pozaszkolnej Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego w Łodzi, ul. Nowotki 16, wyjaśnia co następuje:

Nieprawdą jest, że w Łodzi przestało istnieć IV LO im. E. Szczanieckiej bez numeru i nazwy, udowadnia to sam red. A. Karolczak pisząc, że młodzież IV LO odnosi sukcesy w olimpiadach, rozsławiając imię Szkoły... IV LO posiada własną pieczątkę, sztyd, młodzież tego Liceum nosi tarcze IV LO im. E. Szczanieckiej. IV LO jest zarejestrowane w WUS i przesyła tam odrębne sprawozdania.

Według red. A. Karolczaka budynek przy ulicy Nowotki 16 przypomina wyglądem gmach banku, jednakże red. A. Karolczak nie wie, że w okresie międzywojennym budynek gimnazjum był jednocześnie budynkiem Magistratu i miejscem posiedzeń Rady Miejskiej, powołanej w wyborach samorządowych w okresie lat 1936—1937.

Budynek IV LO jest w remoncie od grudnia 1982 r. Wcześniej, od września do listopada tego roku, odbywała się wyprowadzka. Red. A. Karolczak ma kłopoty z precyzowaniem dat pisząc „podobno", choć wiadomo z akt będących w posiadaniu Muzeum Miasta Łodzi, że budowę gimnazjum dla dziewcząt miasta Łodzi rozpoczęto w maju 1901 r. i skończono w styczniu 1903 r. i wówczas wprowadzono dziewczęta do sal lekcyjnych z zastępczego budynku. Koszt budowy gimnazjum wynosił 180 tys. rubli, pokrył go w całości przedsiębiorca, który przez następne 20 lat miał mieć spłacaną pożyczkę z 7 proc. kwartalnym zyskiem. Płatnikiem były władze miasta.

Nieprawdą jest, że w pośpiechu przeprowadzano Szkołę na ul. Drewnowską 88. Kuratorium Oświaty i Wychowania, a także Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Śródmieście chciało przeprowadzić Szkołę do wolnego budynku przy ul. S. Staszica. Rada Pedagogiczna IV LO zaproponowała przeniesienie Szkoły na ul. Drewnowską 88. Dyskusje na ten temat trwały od maja do sierpnia 1982 roku. Budynek przy ul. S. Staszica przekazany został szkole pielęgniarskiej przygotowującej kadry pielęgniarskie dla Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki.

Red. A. Karolczak nieświadom, że projekty dotyczące Planetarium zostały zatwierdzone przez dyrektora IV LO — B. Zaorską w lipcu 1982 r., przypisał dyrektorowi Franke wypowiedź „wreszcie okazało się, że Inwestor życzy sobie jeszcze Planetarium" mając na myśli rok 1983. Inną kłamliwą wypowiedzią, przypisaną osobie dyrektora W. Brzozowskiego jest informacja o domniemanym konflikcie między dyrektor E. Szeflińską i wicedyrektorem M. Borkowskim.

Dyrektor Specjalistycznego Ogniska Pracy Pozaszkolnej Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego oświadcza: nie noszę w kieszeni nominacji na dyrektora ośrodka pracy pozaszkolnej z wielu powodów, między innymi dlatego, że placówki o takiej nazwie nie ma.

Nieprawdą jest również, że dyrektor M. Borkowski jest odpowiedzialny za remont budynku IV LO. Dyrektor Borkowski nie wie jeszcze jacy „oficjele" przyjdą do Planetarium w styczniu 1985 r., ale zaprasza już w tej chwili red. A. Karolczaka po to, by poduczył się od młodzieży uczęszczającej do naszego Ogniska światopoglądu materialistycznego, gdyż popełnia on błędy pisząc o Koperniku, sprawach astronomii, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia Planetarium dla oświaty całego województwa łódzkiego.

Dyrektorzy: Borkowski, Brzozowski i Franke nie autoryzowali swych wypowiedzi i nie wiedzieli, że będą publikowane. Red. A. Karolczak kłamie pisząc, że dyrektor Borkowski powiedział: „dyrektor Szeflińska tylko mi kłody pod nogi rzucała i rzuca", jest również niedoinformowany twierdząc, że IV LO jest szkołą o profilu humanistycznym, gdyż w organizacji tej szkoły nie ma klasy o takim profilu. W programach fizyki wszystkich klas liceum i w klasach I geografii jest zawarta astronomia. W programach geografii, fizyki, matematyki i wychowania muzycznego we wszystkich typach szkół są zawarte zagadnienia astronomii, informatyki i nowoczesnej muzyki.

Red. A. Karolczak nie sprawdzając wymyślił, że „Planetaria już w Łodzi były". Planetaria nie grzyby, same nie rosną. Kosztują u Zeiss'a w Jenie dziesiątki milionów złotych i z tego powodu jest ich w Polsce dokładnie 10. Dwa z nich są zbudowane przez nauczycieli pasjonatów, bez cennych dewiz. Są to mgr Zbigniew Solarz z I LO w Piotrkowie Tryb. i Roman Bogacki z naszego Ogniska.

Słowa będące plotką bez podstaw „A wszystko przez Mieczysława Borkowskiego. Problemy z nim były od początku, do pracy w szkole się nie przykładał, tylko wciąż na budowie" świadczą o całkowitym braku odpowiedzialności za słowa red. A. Karolczaka.

Poza wieloma błędami rzeczowymi, popełnionymi przez red. A. Karolczaka tendencyjnie lub nieświadomie, w artykule swoim daje również świadectwo braku odpowiedzialności i kultury, co w tygodniku społeczno-kulturalnym „ODGŁOSY" nie powinno znaleźć miejsca.

Do wiadomości:

Kuratorium Oświaty i Wychowania

Komitet Łódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Dyrektor mgr MIECZYSŁAW BORKOWSKI

SZCZEGÓLNIE ZŁOŚLIWE CHOCHLIKI

Mam dobry zwyczaj zabierania kopii artykułów, które idą do drukarni. W ten sposób mogę autorytatywnie sprostować nonsensowne błędy korektorskie, które ukazały się w moim artykule „Wszystko o AIDS" w „Odgłosach" z dn. 8. 12. br.

W pierwszym przypadku w artykule znalazło się zdanie: „W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zaobserwowano infekcje obce poza tymi właściwie" Powinno być oczywiście: „W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zaobserwowano kilkanaście wypadków całkowicie nieznanej choroby". W tym wypadku mamy przypadek przestawienia wierszy.

Drugi przypadek jest pozornie drobny, ale zmienia sens wypowiedzi. W artykule wydrukowano: „Największy wycinek — całkowicie zagadkowy — dotyczył przybyszów z Haiti". Oczywiście powinno być: „Najmniejszy wycinek", a reszta jak w tekście. Ta drobna literka zniekształciła obraz tzw. „koła statystycznego" opracowanego przez naukowców USA.

Proszę o umieszczenie tego sprostowania w najbliższym numerze pisma. Z szacunkiem.

ROBERT GLUTH

JESZCZE O „MONDO CANE"

Przeczytałam już sporo artykułów na temat psów. Czy je mieć, czy też nie. Osobiście jestem za (sama mam psa). Przeciwnicy tych wiernych i oddanych (co nie zawsze można powiedzieć o człowieku) zwierząt nie wiedzą ile tracą. Mając psa nie jest się samotnym. Wracając do domu wiemy, że czeka tam na nas wierny przyjaciel, który nigdy nie zdradzi, nawet kiedy ktoś go źle traktuje — on pozostanie wierny.

Dzieci, które wychowuje się z psem (lub też z innym zwierzęciem) są bardziej czułe i wrażliwe. I takimi pozostaną — chyba, że charakter ich wypaczą sami dorośli, a tych niestety jest coraz więcej.

Psom zawdzięczamy wiele, tak w czasie wojny jak i pokoju. Prócz tego co już wymieniłam tzn. przyjaciela i wiernego towarzysza, są obrońcami, pomocnikami pasterzy. Służą jako siła pociągowa — ciągnięcie zaprzęgu (sań), są tam gdzie ich potrzebuje człowiek. Wykrywają przestępców, ulatniający się gaz, służą w straży granicznej; są przewodnikami niewidomych, pomagają myśliwym, wykrywają narkotyki, ratują ludzi zasypanych lawiną lub gruzami. Wyciągają ludzi z wody, gdy ci się topią. Są zwierzętami doświadczalnymi w służbie zdrowia. To na nich robi się bolesne doświadczenia, z których korzysta się później ratując życie setek, a może i tysięcy ludzi chorych.

Spotkać je można było również w czasie wojny, na której także służyli i pomagali człowiekowi: jako sanitariusze — przywoziły rannych na punkty opatrunkowe ratując im życie. Przenosiły meldunki, docierały tam, gdzie nigdy nie dotarłby człowiek. Były saperami — wykrywały miny, które unieszkodliwione nie zagrażały życiu. Służyły jako żywe pociski przy wysadzaniu czołgów. O tym powinniśmy zawsze pamiętać.

Zapominają o tym ci, którym przeszkadza szczekający pies.

Mówimy, że ulice są zanieczyszczone psimi odchodami. Ale porównajmy te zanieczyszczenia z zanieczyszczeniem ulic przez ludzi. Więcej spotka się rzuconych petów, skasowanych biletów, pestek, ogryzek, papierów, potłuczonego szkła. Na chodnikach więcej jest ludzkich plwocin niż kupek pozostawionych przez psa.

Druga sprawa to parki: ludziom przeszkadzają bawiące się tam psy, ale nie zwracają uwagi na to, że trawniki podeptane i pokopane są szpadelkami naszych pociech.

Chodząc alejkami bardziej należy się bać jeżdżących rowerami dzieci niż goniących się psów, bo ci pierwsi wpadają rowerem na człowieka, natomiast psy nawet szybko biegnące, potrafią człowieka wyminąć.

Mamusie, czy też babcie siedzące na ławeczce są zadowolone jak ich pociecha z zapałem kopie dołki na trawniku, depcze i zrywa kwiatki. Im nikt nie zwraca uwagi. Ale biada gdy pies wbiegnie w grządkę kwiatów. Wtedy podnosi się alarm i narzeka jakie to szkody wyrządzają psy.

Uderzmy się szczerze w piersi kto więcej czyni szkód?

Ludzie nagle zaczęli się bać, że biegnący pies ich pogryzie. To bzdura. Żaden pies nie zaczepiony, czy też sprowokowany przez człowieka nie ugryzie.

Trzeba natomiast bać się „niebieskich ptaszków", którzy w pijanym widzie zaczepiają ludzi, a nawet biją i okradają. Tak więc bądźmy trochę samokrytyczni. Czy pies to takie straszne i dzikie zwierzę, które tylko robi krzywdę ludziom i należy je zwalczać?

Myślę, że chyba nie.

ANNA MARCINIAK
(adres do wiadomości redakcji)

Autostopem przez Europę (4)

Na promie spotykam Björna i Sue. On Norweg z krwi i kości. Ona pół-Niemka pół-Norweżka. Przez większą część życia mieszkała w Berlinie Zachodnim, aż do czasu gdy spotkała Björna. Teraz mieszkają w Bergen.

— *Pamiętaj, że w Norwegii podróżuje się autostopem dużo gorzej niż w RFN. Albo pojedziesz trasą w poprzek fiordów, od Kristiansund na północ ku Molde, ale tam nie ma kolei, autobusy chodzą od wsi do wsi i są bardzo drogie. Albo wybierzesz dalszą, ale pewniejszą drogę dolinami środkowej Norwegii. Tam jest linia kolejowa.*

Wybieram tę pierwszą. W kierunku na Bergen. Jadę razem z Björnem i Sue. Cieszą się jak dzieci moim zachwytem nad pięknem Norwegii. Są bardzo dumni ze swojego kraju.

TU TRZEBA MIEĆ CIERPLIWOŚĆ

Moja trasa wiedzie przez górzystą, najpiękniejszą część kraju poprzecinaną fiordami. Jedziemy wśród brązowoszarych skał. Wspinamy się wciąż wyżej. Powoli gubimy nawet karłowate drzewka. Nagie góry. Gdzieniegdzie bieleją szczyty. Wąskie strużyczki wodospadów ożywiają krajobraz.

— *To jeszcze nie śnieg z tegorocznych opadów. To lodowce* — wyjaśnia Sue pokazując na białe jęzory. — *Tydzień temu biegałeś po Monachium w krótkich spodenkach, a teraz przyda się kurtka narciarska, co?*

Drogi są bardzo wąskie i kręte. Wymagają od kierowcy dużej sprawności, refleksu i wysokich umiejętności.

— *Jeżeli chcesz mieć prawo jazdy, to musisz zdać egzamin z jazdy po lodzie. Wprawdzie część dróg, po których teraz jedziemy jest zimą zamknięta ze względu na opady śniegu ale i tak jazda w naszych warunkach to nie taka prosta sprawa jak w RFN.*

— A te tyczki to po co? — pytam wskazując na czterometrowe tyczki ustawione po obydwu stronach drogi.

— *To dla pługów oczyszczających drogi ze śniegu. Jak w ciągu nocy spadnie dwa metry śniegu, to łatwo można się zsunąć z jezdni. A tak kierowca orientuje się po końcach tyczek. Czasami ledwie wystają z zasp.*

Co kilkadziesiąt metrów ostry zakręt. Czasem pod kątem 90 stopni. Czasem 180. Zakręt i przed oczyma rozciąga się nowy widok. Można jechać godzinami i nie czuć znużenia. To karuzela, na której przewijają się: wody, zatoki, góry, doliny, lasy i wszystko od początku jeszcze raz.

Wsie położone są najczęściej na skrawkach ziemi uprawnej, w miejscu gdzie góry opadają ku wodzie. Niektóre zbocza wystrzeliwują wprost z wody. Góry są dzikie, niedostępne, posępne. Mam wrażenie, jakbym patrzył na alpejskie szczyty, a to przecież góry nie większe niż Tatry. To ich strzelistość i stromizna zboczy wywierają tak „przytłaczające wrażenie. Sprawiają, że człowiek nieświadomie ścisza głos.

LAPOŃCZYCY

Zza zakrętu pojawia się drewniana barierka zagrody. To osada Somè (Saame) Tak nazywają siebie Lapończycy. Osada składa się z zagrody, drewnianej budy pełniącej funkcje kiosku z pamiątkami oraz caravanu — samochodu campingowego mogącego śmiało pomieścić kilkuosobową rodzinę.

— *Są trzy rodzaje plemion Somè* — wyjaśnia Björn oprowadzając mnie po osadzie. — *Część trudni się rybołówstwem. Część to Somè leśni. A ci tutaj są koczownikami. Hodują renifery albo kozy. Wyprawiają skóry. I przede wszystkim żyją z turystów. Na południe przybywają ci bardziej zeuropeizowani. Na północy żyją jeszcze według starodawnych wzorów i tradycji.*

— Znasz ich język?

— *Nie. Trochę jest podobny do fińskiego. Zresztą ich pochodzenie nie jest zupełnie wyjaśnione.*

Chłopak w puchowej kurtce likwiduje kramik. Uśmiecha się do nas. To już koniec sezonu. Ocenił, że nic nie kupimy.

— Norwegowie wyparli ich z południa?

— *Nie.* — Uśmiecha się Björn — *tak nie można powiedzieć. Oni są koczownikami. Mieszkają w Finlandii, na północy Szwecji, niewielu zostało w Związku Radzieckim. Wędrują nie dbając o granice.*

— Ale są obywatelami norweskimi?

— *Też. Mają wszystkie prawa na równi z Norwegami* — a gdy mrużę oko spoglądając na niego z powątpiewaniem, Björn dodaje. — *Słuchaj, jasne, że z nimi jest tak jak ze wszystkimi mniejszościami na całym świecie Jeżeli nawet mają równe prawa, to zdarzają się takie sytuacje, że ktoś im niechętny da im to odczuć, że są innym rodzajem ludzi. Ale tak bywa sporadycznie.*

Przed kramikiem wisza wyprawione skóry reniferów Można kupić ozdobione delikatnym czerwonym haftem lapońskie buty, torby, rękawice ze skóry reniferów a także wełniane jednopalczaste rękawiczki w ciepłych odcieniach beige'u i swetry we wzory tradycyjnie w Polsce uznawane za norweskie.

Wjeżdżamy na płaskowyż położony tysiąc metrów nad poziomem morza. Mam wrażenie jakbym jechał w październiku samochodem przez Halę Gąsienicową. Co chwila musimy wjeżdżać na niewielkie wysepki asfaltowe przeznaczone do mijania się z samochodami jadącymi z przeciwnej strony. Björn nie zwalnia ani na chwilę. Karkołomna jazda zapiera dech, jednak jest absolutnie bezpieczna.

Droga gwałtownie opada zakosami w doline. Pędzimy na łeb, na szyje. Pod nami w dole, daleko, turkusowa toń fiordu. Wąskim wężem ucieka gdzieś po horyzont ograniczony potężnym masywem gór. Szczyty wieńczy błyszczący w słońcu śnieg. Na zielonym wyplaszczeniu góry, nad samym fiordem czerwone wiśniowe i białe punkciki. To drewniane zabudowania osady Kinsarvik.

CZERWONA JARZĘBINA I NIEBIESKA WODA

Zabudowa Norwegii jest w większości drewniana. Domki są niskie, przykryte stromym, dwuspadowym dachem. Ich konstrukcja ma chronić przed zimnem, wilgocią i śniegiem, pod którego ciężarem zawaliłyby się płaskie dachy.

Znów lasy. Sue zapragnęła zerwać do ważonu dojrzałą, czerwoną jarzębinę, więc Björn zatrzymuje samochód i po chwili wraca z ogromnym naręczem jarzębinowych gałązek. Patrzę ze zdumieniem na smutno sterczący kikut ogołoconego drzewka i nie mogę się powstrzymać od komentarzy.

— A gdzie ochrona przyrody!

Obydwoje robią zdumioną minę, więc wyjaśniam zasady: „Nie deptać trawników" i „Ligi ochrony przyrody". Kręcą głowami z niedowierzaniem.

Dojeżdżamy do górskiej rzeki. Spieniona na kamieniach, kilkadziesiąt metrów dalej płynie spokojna, cicho szemrząc. Kolorem wody przypomina niebieską farbkę.

— Ścieki? — pytam spodziewając się potwierdzenia. Oczy Norwegów robią się okrągłe ze zdziwienia.

— *Jakie ścieki?*

— No fabryka wpuściła ścieki — dodaję już mniej pewnie.

— *To nie ścieki!!! To kamienie na dnie rzeki. Woda jest krystalicznie czysta. Zresztą jaka miałaby być* — wzrusza ramionami Björn — *Chodź.*

Wysiadamy z samochodu. Przeskakujemy po śliskich kamieniach. Pijemy wodę prosto ze strumienia. Jest doskonała.

— *Żadnemu przedsiębiorstwu nie opłaca się zanieczyszczać środowiska. Kary są bardzo wysokie. Poza tym dbamy o następne pokolenia. Gdzie i jak będą one żyły, jeżeli my w pędzie za jakimiś wyimaginowanymi wartościami zniszczymy im środowisko, zatruwając rzeki i powietrze.*

Dojeżdżamy do Kinsarvik. Kilka samochodów oczekuje w kolejce na prom. Innej drogi nie ma. Komunikacja promowa jest bardzo rozbudowana. Taka podróż w poprzek fiordu trwa od pięciu minut do półtorej godziny.

Przykro jest rozstawać się z Sue i z Björnem. Przejechałem z nimi prawie osiemset kilometrów. Oni jadą w prawo do Bergen, ja do Molde, w lewo. Pożegnanie następuje w akompaniamencie beczenia kóz, które ku radości Sue przybiegły tłumnie oblegając nasz samochód. Sue karmi je bananami, brzoskwiniami, jednak najbardziej smakują im amerykańskie papierosy Pall Mall.

Podjeżdża starszy pan.

— *Pojedziemy kawałek razem, to nie będzie mi się nudziło. Jest pan Anglikiem?*

— Nie. Polakiem.

— *Niemożliwe?*

— Dlaczego?

— *Myślałem... wydawało mi się... że wy nie jesteście narodem podróżników?*

— Hm. W Norwegii jestem istotnie po raz pierwszy.

— *No to pokażę panu wspaniały widok.*

Zboczyliśmy z samochodu. Wąską drogą pniemy się na przełęcz Gaularfjell. Czterdziestometrowy odcinek prostej drogi i zakręt pod kątem 180 stopni. Znów czterdzieści metrów prostej i zakręt. „Renault 20" rzęzi i sapie, gdy musi skręcić prawie w miejscu. Z góry nasza droga wygląda, jak wąska ścieżka w Tatrach. Wreszcie przełęcz. Wysiadamy z samochodu i podchodzimy do urwiska.

— *Proszę popatrzyć* — ręka zatoczyła szeroki łuk obejmując fiord u naszych stóp i strome góry — *to Sognöfiord — Król Fiordów. Najgłębszy fiord Norwegii. 1308 metrów. I najdłuższy.*

FIORDY

Strome, skaliste zbocza opadają wprost do wody. Brązowe ściany przecięte spienionymi wodospadami. Spiczaste szczyty pokryte wiecznym śniegiem. Gdzieniegdzie rozpierają się jęzory lodowców.

— *Tam jest najstarszy kościółek w Norwegii. Z 1130 roku* — ręka wskazała nieokreślony punkt na złotorudym tle lasów.

— *W Sognöfiord góry wyrastają tak wysoko jak głęboki jest fiord* — ciągnął spokojnym głosem kierowca, jakby w ogóle nie przejmował się jazdą w dół krętej drogi. Czułem się jak na diabelskim młynie w lunaparku. Jechaliśmy nad przepaścią. W dole fiord. Z drugiej strony ściana skały.

— *Proszę jak pięknie* — przejechaliśmy przez przełęcz i z drugiej strony znów wyłonił się widok, który miał mi towarzyszyć przez całą podróż po Norwegii. Fiordy i góry. — *Lasy też mamy piękne* — ciągnął. — *Często wybieram się w góry na wędrówkę. Plecak, śpiwór, namiocik i przez kilka dni chodzę. Żywego ducha nie spotykam.*

— A zwierzęta?

— *Są lisy. Poluje na nie. Są jelenie. Tych jest najwięcej. Na północy poluje czasami na renifery, ale to już jest wyjątkowa okazja.*

— A niedźwiedzie?

— *Jeszcze kilka lat temu było ich bardzo dużo. Teraz jest ich mniej.*

— Nie są niebezpieczne dla samotnego wędrowca?

— *Nie. Chyba, że zaatakowane przez człowieka.*

— Czuje się pan bezpiecznie w górach?

— *Oczywiście. Bardziej niż w mieście. Nie lubię dużych skupisk takich, jak Oslo. To straszne żyć tak, że gdzie się nie spojrzy, tam człowiek. Nie ma czym oddychać.*

— Czy takie wycieczki robi pan tylko latem?

— *Ależ skąd. W każdy weekend. Zimą, latem, jesienią, wiosną. O każdej porze roku. Zimą na nartach.*

— A inni?

— *Narty to jest nasz sport narodowy. Tylko, że nie zjazdowe narciarstwo, a to zwane klasycznym. Biegi. Spacery na nartach. Norweg więcej czasu spędza na trasach biegowych i na skoczni narciarskiej, niż na trasie zjazdowej. A zimy wcale nie są takie straszne. Owszem na północy. Za kręgiem polarnym. Dużo śniegu jest zawsze w okolicach Oslo. W górach środkowej Norwegii, bliżej Szwecji, ale na wybrzeżu nie jest tak strasznie, jak wy to sobie w Europie wyobrażacie. Przez trzy dni leży śnieg, a potem odwilż. I znów śnieg. Temperatura zimą raczej nie spada poniżej 10 stopni. To dzięki Golfsztromowi, który nas ogrzewa. A fiordy to w ogóle nie zamarzają.*

ANDRZEJ BETULSKI

Czerwona jarzębina i niebieska woda

— Powiedział pan w Europie?

— *Tak. Bo jednak Norwegia, mimo że leży w Europie, to jednak Europą już nie jest. My jesteśmy Skandynawami. Szczególnie my mieszkający na północ od Bergen. Od was, Europejczyków, różnimy się nie tylko mentalnością i obyczajami, ale także stylem życia. Wy wciąż się spieszycie. Brakuje wam przestrzeni. Tacy jesteście ściśnięci w swoich europejskich miastach. My mamy czym oddychać. Do takiej Polski na przykład to jest kawał drogi. A jeśli chodzi o różnice w kulturze, to jeszcze dalej.*

— Macie piękną przyrodę i możecie żyć blisko niej.

— *Tak i dbamy o nią. Od dzieciństwa uczymy młodych ludzi szacunku dla przyrody, ale jednocześnie umiejętności życia z nią. Wpajamy młodzieży, że stanowi jedność z górami, fiordami i lasami.*

— Czy szkoły często organizują wycieczki w góry?

— *Każdą wolną chwilę nauczyciele tak planują, żeby dzieci mogły pochodzić po górach, pojeździć na nartach albo popływać na żaglówce. Zresztą nie ma się chyba czemu dziwić. Jeżeli małe dziecko rośnie w takim otoczeniu, to jako dorosły człowiek, czy chce, czy nie chce, staje się częścią natury. Nie jest jej wrogiem, skoro ona jest częścią jego psychiki. Zimą organizujemy specjalne obozy. Młodzież uczy się na nich życia w trudnych warunkach górskich i przy złej pogodzie. Uczą się kopać i budować jamy w śniegu, tak aby przeżyć nawet kilkudniową burzę śnieżną, uczą się rozpalać ognisko, łowić ryby i wyżywić się w lesie.*

Tym razem w zupełnym pustkowiu wśród starych sosen rozległego lasu zatrzymuje się dziewczyna.

— *Dokąd chcesz dzisiaj dojechać?* — pyta.

— Do Molde.

— *Chyba nie dasz rady* — kręci głową z powątpiewaniem — *dwieście kilometrów w Norwegii jedzie się czasami przez cały dzień. Jest już późno. Możesz nie zdążyć na ostatni nocny prom. A masz przed sobą jeszcze trzy przeprawy.*

Heidi miała racje. Wyratowała mnie z opresji proponując abym przenocował u niej w domu, a w dalszą drogę ruszył wczesnym rankiem.

Jedziemy do Mâlöy, maleńkiej osady rybackiej nad brzegiem Morza Norweskiego. Zacina deszcz. Jest ciemno. Ale Heidi prowadzi swoje „Polo" szybko i pewnie, mimo że to z prawej, to z lewej strony połyskuje stalowoczarna woda fiordu.

— *Jutro, jak będziesz tu jechał w ciągu dnia, to zobaczysz, jaka ta droga jest naprawdę kręta.*

— A co cię zaniosło do takiej dziury?

— *Chciałam uciec od rodziców. Mam dziewiętnaście lat. Jestem technikiem kreślarzem. Pracuję w biurze architekta. Czas najwyższy zacząć samodzielne życie.*

— Skąd jesteś?

— *Ze Stavanger. To na południowo-zachodnim cyplu Norwegii.*

— Kawał drogi.

— *To już moje trzecie miejsce. Przenoszę się ciągle dalej na północ.*

TU NIC SIĘ NIE DZIEJE

Mâlöy leży w dole, na wyspie. Dojeżdża się do niego mostem rozpiętym ponad cieśniną. Migają światełka portu i domów przyczepionych do zbocza góry. Jak w bajce. Jedziemy przez wymarłe ulice. Piętrowe domki. Drewniane. Każdy siedzi w domu. Nagle z bocznej ulicy wybiega człowiek. Tuż za nim następny. Ciemno, nie widać wyraźnie, ale wygląda jakby jeden gonił drugiego.

— *A teraz go zabije* — mówi ze spokojem Heidi. Patrzy na moją zdumioną minę. Czeka kilkanaście sekund i wybucha śmiechem. — *Oczywiście żartuje. Ale może wreszcie coś się tutaj wydarzy.*

— Dlaczego, tak mówisz?

— *W tej całej cholernej Norwegii!!!*

— Co to znaczy?

— *Słuchaj. Tutaj jest bezruch. Czujesz to? Nie widzisz tego. Tutaj każdy żyje w zwolnionym tempie, bo nie ma się dokąd śpieszyć. Mamy czas. Nic się nie dzieje. Te same twarze. Ci sami ludzie. Te same słowa i gesty. Dlatego przenoszę się z miejsca na miejsce. Dlatego na urlop pojechałam do Grecji. Ciepło, miło i coś nowego. Inni ludzie. Głośno mówią. Mają temperament. Spierają się. Awanturują. Żyją. Najdrobniejsza dyskusja rozgrzewa emocje do czerwoności. Tak jakby chodziło o sprawę życia czy śmierci, a nie o wyższość jednego gatunku wina nad drugim. A tutaj nawet nikt nikomu krzywdy nie zrobi. Kilka lat temu dwóch braci zamordowało w tunelu dziewczynę. Jeździła autostopem. Nie, nie zgwałcili jej. Zamordowali nie wiedomo dlaczego. Nie była ani bogata, ani ładna. I do tej pory jest to największa sensacja w okolicy.*

— Jak to?

— *Jak będziesz przejeżdżał tamtędy, to na pewno ktoś ci o tym opowie, mimo że działo się to kilka lat temu. Ludzie czytają gazety w poszukiwaniu sensacji. Przeglądają łapczywie gazetę — co się wydarzyło sensacyjnego na świecie. Na świecie, bo tutaj nic się nie dzieje. Wiesz, że jak chcę kupić piwo, to muszę zamówić w sklepie i po dwóch dniach przywożą mi. Nie chcę, to prawda, ale zamówionego.*

— Wrócisz do rodziców?

— *Jasne, że wrócę. Chcę z nimi żyć, ale oni muszą dojrzeć. I ja też* — dodaje po chwili.

— A jak przyjęli cię mieszkańcy Mâlöy?

— *Przez rok traktowali mnie jak obcą. Życzliwie, ale na dystans. Przyglądali mi się z nieukrywaną ciekawością. Chcieli wiedzieć, co robię, z kim jestem, do kogo chodzę i kto przychodzi do mnie. Teraz już pierwsi mówią do mnie dzień dobry. W sklepie wiedzą już czego potrzebuję i to czeka na mnie, jak tylko się zjawię.*

— Słuchaj, czy to jest w zwyczaju Norwegek, że spotkanego w bezludnym miejscu, w lesie, chłopaka, jadącego autostopem biorą do siebie samochodem i dają mu schronienie na noc?

— *W bezludziu? W Norwegii są tylko „bezludzia". A, że zostałeś na noc u mnie w domu? A gdzie byś spał?*

Dopiero następnego dnia przekonałem się, że Heidi jest naprawdę dobrym kierowcą. Nawet jak na tutejsze standardy, droga do Mâlöy jest bardzo niebezpieczna. Gwałtowne zakręty kończą się progami wprost do fiordu. Mam okazję podziwiać widoki, bo tym razem wiezie mnie stary Norweg. Młodzi w 99 procentach znają angielski. Starsi nie. A ten człowiek prawdopodobnie pamięta czasy Nansena. I jego VW też. Przynajmniej na to wyglądają. Pozostaje nam tylko uśmiechać się do siebie, bo kierowca nie zna żadnego języka poza jednym z dwóch obowiązujących w Norwegii dialektów.

ANGLIK, KTÓREGO SYN CHCE BYĆ NORWEGIEM

Norwegia jest krajem dwujęzycznym. Jeden język jest oparty na duńskim, jako pozostałość ponad 400-letniego panowania Duńczyków. Drugi to język, jakim mówiono na wsi. Na bazie wiejskich dialektów stworzono w XIX wieku nowy język pisany. W szkołach naucza się obu języków. Programy telewizyjne, acz w przeważe pierwszego, są także nadawane w „wiejskiej" odmianie norweskiego.

Przed jednym z promów stoi samochód jakby żywcem przeniesiony z filmów Jamesa Bonda, Aston Martin. Kierowca z prawej strony.

— Nie jedzie pan przypadkiem do Molde?

Tym razem jadę z Anglikiem. Mieszka w Hampstead w Londynie. Ja mieszkałem niedaleko, więc pierwszy kontakt nawiązany. Byliśmy niemal sąsiadami.

— *Jesteś Amerykaninem?*

— Nie. Polakiem.

— *Doprawdy?*

— Tak, dlaczego tak się dziwisz?

— *Dużo czytałem o twoim kraju. Szczególnie ostatnimi czasy. Zresztą nie ma dnia, żeby prasa, albo telewizja nie podały informacji o Polsce. Wiesz może to zabrzmi dziwnie, ale mam wyrzuty sumienia jak myślę o Polakach. Szczególnie teraz, gdy żyjecie w tak poważnym kryzysie gospodarczym. A ja jestem bardzo bogatym człowiekiem.*

— Czym się zajmujesz?

— *Mam własną firmę.*

— Przyjechałeś do Norwegii w interesach?

— *Nie, prywatnie. Moja żona jest Norweżką. Dzieci zabieram z wakacji.*

— Nie chciałeś mieszkać w takim pięknym kraju?

— *Moja żona chciała, żebyśmy tu zostali na stałe, ale ja nie mogę tu wytrzymać dłużej niż miesiąc. Na wakacje owszem. Wspaniała przyroda. Zatrzesienie ryb w rzekach, żeglarstwo. Zimą narty. Cisza. Spokój. Ale.*

— Ale?

— *Czasami chce gdzieś się przejechać autobusem. Mówią mi, że autobus będzie za trzy godziny. Pytam ich: „Co mamy robić przez te trzy godziny?". Oni robią zdumioną minę, wzruszają ramionami i odpowiadają: „Nic. Czekać". Jak tu jestem, to mam wrażenie, że życie biegnie gdzieś tam w świecie.*

— A żona?

— *Powoli przyzwyczaja się do Londynu.*

— Masz dzieci?

— *Tak. Dla nich Norwegia jest rajem. Szczególnie dla Paula. Ma jedenaście lat. Mówi płynnie, bez obcego akcentu po angielsku i po norwesku.*

— Ale wychowujesz go na Anglika?

— *Tak. Chodzi do prywatnej, angielskiej szkoły. Potem college. Chcę, żeby był Anglikiem.*

— A on wie, kim jest?

— *Jest bardziej Anglikiem, niż Norwegiem. Tutaj ma wolność. U jednej ciotki je obiad, u drugiej kolację. Z tym płynie na ryby. Z tamtym poluje. Anglia to rygor szkoły. Sercem jest bardzo po stronie Norwegii. Wygrywał biegi przełajowe i ostatnio powiedział mi, że będzie reprezentował barwy Norwegii, bo jest biedna, że nie zdobywa tylu medali na olimpiadach, co Anglia.*

Wreszcie ostatni prom przed Molde. W ciągu niecałych trzech dni przejechałem z Hamburga, przez cały półwysep Jutlandzki, na środkowe wybrzeże Norwegii, ale ostatnie sto dwadzieścia kilometrów jechałem aż dziewięć godzin. Z pokładu promu patrzę na zbliżający się brzeg. Z mgieł wyłania się Molde.

Smutek pod choinką

Wywiad z KRZYSZTOFEM WAGNEREM, dyrektorem naczelnym Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich.

W okresie przedświątecznym częściej niż zwykle odwiedzamy sklepy z zabawkami. Niestety, oferta handlu dla naszych dzieci nie budzi zbyt optymistycznych refleksji! Naszym zdaniem jest ona raczej smutna...

Zgadzam się. To, co widzimy w sprzedaży, to nie jest to co powinno być. Dlatego też nie chciałbym bronić handlu i producentów. Muszę jednak dodać, że to, co widzimy w Łodzi, różni się trochę od oferty handlu w Warszawie, Krakowie czy innych miastach. W Łodzi najwięcej jest zabawek z miejscowych spółdzielni zabawkarskich. W Warszawie z kolei — ze spółdzielni warszawskich. Po prostu nie ma centralnego sterowania, które sprawiłoby, że wszystkie ośrodki w kraju dostawałyby pełny asortyment zabawek. Gdyby więc spojrzeć całościowo na ofertę handlu, przynajmniej asortymentowo wyglądałaby ona trochę lepiej. Przyznaję jednak, że takich typowych zabawkarskich „hitów" w tym roku nie mamy wiele.

Dlaczego?

Przyczyn jest dużo.

Mówi się o przemyśle zabawkarskim, tymczasem w rzeczywistości przemysłu zabawkarskiego u nas nie ma. Są spółdzielnie, rzemieślnicy i kilka zakładów własnych Krajowego Związku. No, i nasz ośrodek jako jednostka zaplecza badawczo-rozwojowego. Spółdzielni zabawkarskich mamy ponad czterdzieści. Są one bardzo zróżnicowane, jeżeli chodzi o potencjał produkcyjny, asortyment, jakość swoich wyrobów. Niektóre mają wartość produkcji sprzedanej rzędu do pół miliarda złotych, inne dochodzą do dwudziestu milionów. Nie są to więc jednostki duże i bogate. Tymczasem uruchomienie produkcji atrakcyjnej zabawki wymaga często bardzo dużych nakładów finansowych a tych na ogół brakuje.

Druga przyczyna tkwi w tym, że do tej pory w zasadzie wszystkie wyprodukowane zabawki były przez handel sprzedawane. A zatem nie było żadnego mechanizmu — poza dobrą wolą i ambicjami producentów — skłaniającego ich do poszukiwania nowych wzorów i rozwiązań. Mimo to mam nadzieję, że ta sytuacja dość szybko ulegnie zmianie. Sądzę nawet, że właśnie zabawki będą pierwszą grupą towarów, która zmierzy się bezpośrednio z prawami podaży i popytu, dlatego że w tej chwili nasycenie rynku zabawkami jest stosunkowo duże i zabawki już tak nie idą. W związku z powyższym część producentów będzie musiała albo wycofać się z produkcji zabawek, albo też wejść z nowymi, atrakcyjniejszymi asortymentami.

Już na tegorocznych Targach Poznańskich wielu producentów miało kłopoty ze zbytem swoich wyrobów. W moim odczuciu nie jest to jednak tylko ich wina, ale i handlu. Bez kontraktów wyjechali bowiem przede wszystkim producenci tak zwanego drobiazgu, czyli zabawek małych i tanich. Rzeczywiście mało było wśród nich nowości, ale właśnie te zabawki mogą chyba liczyć na największy popyt, biorąc pod uwagę zmniejszającą się wciąż siłę nabywczą ludności.

Świadczy to chyba o lenistwie naszego handlu, który wciąż woli obracać tym, co drogie, a czego jest mniej. Ale to może się na handlu zemścić.

Był pan również na międzynarodowych targach zabawek w Norymberdze. Czy moglibyśmy prosić o kilka słów refleksji? Jak przedstawiała się nasza ekspozycja na tle innych?

Jestem w dość trudnej sytuacji, gdyż mówienie o tym co widziałem w Norymberdze może być jedynie drażnieniem naszego czytelnika.

Podrażnijmy go więc trochę.

Ogólnie mówiąc, zabawki to wielki biznes, to miliardy dolarów i jeden z podstawowych asortymentów rynkowych. Zabawek jest wiele, a producenci uciekają się do wszystkich możliwych sposobów żeby je sprzedać. Na co dzień przykładem tego mogą być wielkie domy towarowe w RFN, a w nich całe piętra tylko i wyłącznie z zabawkami. Jest tam dosłownie wszystko. Co ciekawsze, jest tam zawsze cała masa dzieci, które bawią się tymi cudami, a ekspedientki podsuwają im wciąż nowe.

Czyli zupełnie odwrotnie niż w Polsce?

Tak. U nas ekspedientka proszona o rozpakowanie i pokazanie dziecku zabawki jest bardzo obrażona. Tam nie, gdyż wychodzi z założenia, że jak dziecko pobawi się w sklepie, to na drugi dzień poprosi rodziców o kupno zabawki. Ale z czego to wynika? Ano właśnie z nasycenia rynku.

Odzwierciedleniem tego zjawiska mogą być ceny. Na Zachodzie producent dostaje jedynie 25 do 30 procent ceny detalicznej. Resztę stanowi marża handlowa. U nas ta proporcja jest odwrócona.

Inne porównanie: na świecie praktycznie cały techniczny potencjał produkcyjny przemysłu jest do dyspozycji producenta zabawek. W Polsce najczęściej wytwarza się zabawki w warunkach zbliżonych do manufaktury. Nie jest to już rękodzieło, a jeszcze nie — przemysł. Jak mamy się porównywać ze światem, skoro nie ma odpowiednich surowców i materiałów. Co tu dużo mówić, skoro brakuje nawet kartonu na opakowania czy można się potem dziwić, że nasze zabawki są szare, bure i nieciekawe?

Oczywiście klient może powiedzieć, że nic go to nie obchodzi, że chce mieć w sklepie ładne zabawki i już. Ale ja wiem, jak się u nas produkuje. Po prostu problem leży w naszym zacofaniu technologicznym i możliwościach surowcowych. Dlatego trudno porównywać się nam ze światem.

Ale czy mimo wszystko nie można by w Polsce, nawet w takich warunkach produkować lepszych, ładniejszych zabawek?

Moim zdaniem można by. Na razie jednak nic do tej pory producentów nie zmuszało, gdyż handel brał wszystko. Ale kiedy sklepy będą pełne a klient nie będzie brał byle czego, producenci zostaną zmuszeni, aby i w takich warunkach robić lepsze zabawki.

A jaka jest rola projektantów? Wydaje się, że generalnie nie stają oni na wysokości zadania. Ktoś przecież te różne „koszmarki" projektuje.

Zacznę od własnego podwórka. Moim zdaniem, te zabawki, które projektujemy w ośrodku są atrakcyjne. Ale prawda jest taka, że ja tych zabawek w sklepie nie widzę.

Dlaczego?

Producentów interesuje zakup nowego wzoru, ale wraz z oprzyrządowaniem, formami, itd., ponieważ z tym właśnie mamy największe kłopoty. Ale i w ośrodku wykonawstwo oprzyrządowania jest wąskim gardłem. Wystarczy, jeśli powiem, że potrzeby Krajowego Związku w tym zakresie jesteśmy w stanie pokryć zaledwie w kilku do kilkunastu procentach. Krótko mówiąc, ośrodek ma małe możliwości oddziaływania na to, co się w spółdzielniach zabawkarskich produkuje, a te wzory, które my opracowaliśmy, szybko znikają z rynku. Mam nadzieję, że kiedy rynek bardziej przyciśnie producentów, sytuacja ta zmieni się na lepsze. Na to liczę. Może powstać jednak w wyniku sytuacji rynkowej tendencja do odchodzenia od produkcji zabawek i to byłoby bardzo złe.

Kto w takim razie projektuje zabawki w spółdzielniach?

Właśnie! Jedynie producenci tak zwanych zabawek miękkich zatrudniają projektantów z prawdziwego zdarzenia — plastyków. I te lalki, misie, różne przytulanki są na ogół ładne. Oczywiście też nie wszystkie. Natomiast w pozostałych spółdzielniach prawdziwych projektantów w zasadzie nie ma. Projektami nowych wzorów zajmują się technolodzy, zdyż wzornictwo bodajże często działowi technologicznemu lub produkcji.

Uważam, że każda spółdzielnia powinna być stać na utrzymanie chociaż jednego projektanta zabawek z prawdziwego zdarzenia. Inna sprawa, że takich projektantów kształci się u nas bardzo mało. Niedawno udało się ośrodkowi porozumieć w tej sprawie z łódzką Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych, gdzie co roku jedna osoba robić będzie dyplom w dziedzinie projektowania zabawek. Wiążemy z tym spore nadzieje. A jednocześnie — obawa, czy ci absolwenci będą mieli pracę.

Poza tym na projektowanie zabawek powinni mieć również wpływ psychologowie, pediatrzy, pedagodzy... Odnosi się to przede wszystkim do zabawek dla najmłodszych dzieci.

Oczywiście. I tu jest podobna sprawa. Brak specjalistów, brak środków finansowych...

Kiedy przystępowałem do konkursu na stanowisko dyrektora ośrodka, opracowałem sobie program działania, w którym zakładałem, że w ośrodku będzie duży pion badawczy zatrudniający psychologów, pediatrów, pedagogów, plastyków, elektroników — cały szereg ludzi, którzy będą pracować nad nowymi wzorami, dostosowaniem ich do możliwości rozwojowych dziecka i wszystkim, co się z tym wiąże. Kiedy jednak zderzyłem się ostro z rzeczywistością, musiałem znacznie go zawęzić. Bo kto nam da pieniądze na prowadzenie tego typu prac badawczych? Spółdzielnie są teraz przecież samodzielne i samorządne, a ich załogi widzą w pierwszym rzędzie potrzebę rozwiązania problemów płacowych a nie wydawanie środków na prace badawczo-rozwojowe realizowane przez Ośrodek Krajowy Związek natomiast nie dysponuje własnymi środkami i może kumulować tylko środki, które spółdzielnie wolałaby dobrowolnie na realizację prac naukowo-badawczych. Środki te pozwalają na prowadzenie dość wąskiego programu tych prac w Ośrodku. Prace te dotyczą rozwoju asortymentu zabawek, wytycznych psychologicznych i pedagogicznych dla projektantów zabawek i problematyki zabawek rehabilitacyjnych. Należy jednak prowadzić szersze badania nad zabawkami. Chodzi przecież o wychowanie naszych dzieci, a zabawka jest tego ważnym elementem.

Czy Ministerstwa: Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Oświaty i Wychowania nie powinny włączyć się w finansowanie takich prac badawczych?

Być może, ale Ministerstwo Zdrowia — a wiem to dokładnie — samo chętnie przyjęłoby skądś pieniądze, na przykład od nas. Niemniej szukamy nowych rozwiązań. Tak jak ze szkołą plastyczną, podpisaliśmy też niedawno porozumienie z Polskim Stowarzyszeniem Edukacji Plastycznej. Jest to stowarzyszenie plastyków-dydaktyków, którzy postawili sobie za cel stworzenie nowego modelu edukacji plastycznej społeczeństwa — od przedszkola po wyższą uczelnię, a ponieważ dysponują środkami z Funduszu Rozwoju Kultury i mają grupę dobrych projektantów, których nam brakuje, próbujemy stworzyć coś wspólnie. Układ jest taki, że oni opracowują wstępne projekty, ośrodek wykonuje modele tych nowych wzorów i razem będziemy szukać producentów.

Z tym, o czym dotąd mówiliśmy, wiąże się też problem zabawek militarnych, które mają swoich zagorzałych przeciwników.

Tu należałoby zacząć od definicji zabawki militarnej. Ogólnie rzecz biorąc, jest to taka zabawka, która wyzwala w dziecku agresję. Osobiście nie jestem zwolennikiem zabawki typu karabin maszynowy, ale czy na przykład model czołgu TTP może wyzwalać w dziecku agresję?

A czy ktoś to u nas badał? Nasze przypuszczenia mogą być przecież mylne.

Kilka lat temu Krajowy Związek zlecił Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach opracowanie definicji zabawki militarnej i na tym się w zasadzie skończyło. Interpretacja tej definicji może być bardzo różna. Stąd — myślę — kontrowersje. Bo przecież można się już zastanawiać, czy taki model czołgu do sklejania jest zabawką w pełnym tego słowa znaczeniu. Na pewno jest on na pograniczu modelarstwa.

Oczywiście. I nie chodzi tu chyba o modele pojazdów wojskowych czy samolotów, którymi interesuje się zarówno młodzież, jak i dorośli. Zastrzeżenia budzą przede wszystkim różnego rodzaju karabiny, pistolety, jakich pełno jest w naszych sklepach.

I słusznie, bo takie zabawki nie niosą ze sobą żadnych pozytywnych wartości.

Ale są masowo produkowane, mimo, że Polska była inicjatorem rezolucji ONZ w sprawie wychowania w duchu pokoju. Jaki jest ich wpływ na nasze dzieci — nie wiemy, gdyż nikt tego nie zbadał. Czy nie powinno się tego wreszcie zrobić?

Na pewno. Jest to dobra inicjatywa, jako ośrodek kupujemy ten pomysł. Postaramy się w przyszłym roku przeprowadzić takie badania. Co dalej będzie — zobaczymy.

W każdym razie rzecz chyba nie we wprowadzeniu administracyjnych zakazów produkcji zabawek militarnych, a w uświadomieniu rodzicom, że takie zabawki nie mają pozytywnego wpływu na ich dzieci.

Oczywiście. Zakazy zawsze można ominąć. Na przykład w RFN obowiązuje konstytucyjny zakaz używania znaków faszystowskich, a modeli samolotów hitlerowskich ze swastykami jest w sklepach pełno. Po prostu produkuje się je w Japonii, sprowadza stamtąd i wszystko jest zgodne z przepisami. Ale jeśli systematycznie oddziaływać będziemy na opinię publiczną... Jak już powiedziałem: na pewno zajmiemy się tą sprawą.

A wracając do początku naszej rozmowy — jakie zabawki dostępne obecnie na rynku poleciłby pan jako dobre prezenty pod choinkę, a jakich kupno zdecydowanie by pan odradzał?

Jeżeli chodzi o sztuki zabawek drewnianych, to polecałbym przede wszystkim zestawy klocków produkowanych przez spółdzielnie „Zośka" w Jeleniej Górze i drewniane układanki „Galanterii Drzewnej" z Mrągowa. Niestety niełatwo będzie to kupić, gdyż oba te wyroby są eksportowane. Ciekawe są też drewniane baby spółdzielni im. Dubois w Warszawie.

Jeżeli chodzi o lalki i tak zwane zabawki miękkie, to ładne są lalki spółdzielni „Krawal" w Krakowie, różowe pantery „Światowida", lalki ze „SPADU" czy wrocławskiej „Plecionki" oraz pluszowe zwierzątka ze spółdzielni „Miś" w Siedlcach.

Dalej polecałbym zestaw sytuacyjny „Przedszkole" z tworzywa sztucznego, który może być wykorzystywany i jako zabawka i jako pomoc dydaktyczna oraz modele szybowców do klejenia z Podlaskich Zakładów Wytwórczych w Siedlcach. Na uwagę zasługuje również dowcipny samolot do składania oraz lokomotywa z pokazanym mechanizmem napędowym, robione przez krakowski „Polgal".

Natomiast nie polecałbym oczywiście różnego rodzaju karabinów i pistoletów, czy też małych plastykowych samochodów na sznurku, które do niczego właściwie nie służą i dzieci bardzo szybko się nimi nudzą. W ogóle radziłbym wybierać takie zabawki, które mają coś nauczyć, rozwijać u dzieci.

Zdecydowanie odradzam kupowanie zabawek z tworzyw pokrytych włosem, czyli tak zwanych flokowanych, ponieważ są one szkodliwe dla zdrowia. Nie polecałbym także plastykowych klocków, które wyrabiają u dziecka fałszywe pojęcie o masie i ciężarze, gdyż są puste w środku i bardzo lekkie.

To tak tylko dla przykładu, bo pełna lista byłaby oczywiście dużo dłuższa.

Z pewnością. Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:
ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Aby rozwijać dziecięcą wyobraźnię

Dotkliwym mankamentem dzieciństwa w dużym mieście jest drastycznie ograniczona swoboda utrudniająca nieskrępowaną zabawę, w której dziecko przejawia swoją twórczą aktywność, z tym łączy się brak swobodnej, nie zagospodarowanej przestrzeni. Śródmieście Łodzi ma warunki katastrofalne pod tym względem. Dziecko miejskie natomiast odbiera dużo bodźców sprzyjających rozwojowi kulturalnemu, ma większy dostęp do książki, w Łodzi są dwa teatry lalek, „Arlekin" i „Pinokio" stale prowadzące przedstawienia dla dzieci oraz kino specjalizujące się w filmach dla nich. Szkopuł jest w tym, że mały człowiek w przeciwieństwie do dorosłego nie potrafi biernie konsumować dóbr kultury, a wszystko co widzi lub doznaje służy mu jako tworzywo do zabawy naśladowczej, a także kreacyjnej. Toteż na swoją przymiarkę do życia potrzebuje warunków, a nade wszystko przestrzeni.

Tymczasem w ciasnych mieszkaniach prawie jej nie ma, nieliczne są przystosowane do potrzeb zabawy place zabaw, pożal się Boże, gdzież one są w Łodzi? A jeśli się takowy zdarzy, to dostosowany jest jedynie do elementarnych potrzeb ruchu dziecka, gdzie więc miejsce na pomysły, na fantazję, na twórcze zmagania z materią przyszłego homo creatora, która to dyspozycja bardzo silnie przejawia się w jego dziecięcej fazie rozwojowej. Potem to bywa różnie, wszak całe nasze cywilizacyjne wychowanie raczej jest nastawione na hamowanie kreacyjnych postaw.

Najlepiej jest jeszcze w zakresie plastyki, rysunek dziecka został w pełni doceniony, spopularyzowany, wiele klubów i domów kultury wychodzi naprzeciw potrzebom tego rodzaju. Natomiast źle jest z przestrzenią w mieście dla twórczej zabawy dziecka, a przestrzeń jest koniecznym warunkiem rozwoju wyobraźni. No i znowu ten paradoks: w krajach, gdzie nie programuje się homo creatora, a tylko nadąża się za duchem nowoczesności istnieją ogrody, w których dzieci w kontakcie z artystami realizują swoje potrzeby twórczej aktywności, nadając jej formy artystyczne bądź konstrukcyjne, a także widowiskowe. Poza tym jakież to ułatwienie poznania kodów sztuki współczesnej.

Myślę od kilku lat nad stworzeniem takiego miejsca dla dziecka, gdzie otrzymałoby ono różne bodźce kulturalne, a więc zespół wrażeń z oglądania wystaw przeznaczonych dla niego, poznawania literatury i muzyki, a jednocześnie, żeby zgodnie ze swoją dyspozycją, miało możliwości do przetworzenia swoich doznań w przestrzennej zabawie. Są już realne szanse urzeczywistnienia takiej placówki w Łodzi.

Otóż Dział Widowisk Lalkowych powołany przed czterema laty w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi do gromadzenia dokumentacji i ochrony dorobku artystycznego lalkowych teatrów, filmu i programów telewizyjnych (ze szczególnym uwzględnieniem w nich tematu folklorystycznego) — specjalizuje się w muzealnictwie dla dziecka. Dział ten opracował kompleksowy program animatorskiej działalności, wspomagający rodziców, przedszkola i szkoły w prowadzeniu rozwoju estetycznego i humanistycznego swoich podopiecznych.

W placówce muzealnej przystosowanej do potrzeb dziecka miałoby ono możliwość poznawania formy plastycznej w oryginale poprzez lalki artystyczne z widowisk dla dzieci, różnych rodzajów plastyki ludowej, a także niektórych przykładów sztuki profesjonalnej odpowiednio dobranej do możliwości percepcyjnych małego odbiorcy. Tutaj również mieliby dzieci odpowiednio dla nich urządzoną bibliotekę z atrakcyjnie prowadzonymi programami baśni i literatury dziecięcej oraz płytoteka utworów muzycznych dla nich. Tutaj rodzice i dzieci mogliby uzyskać pełną informację, jakie filmy i spektakle teatralne w określonym wieku dziecko powinno obejrzeć, jakie książeczki należy mu przywieźć itp., a więc dane byłyby różne wiadomości i bodźce potrzebne do rozwoju humanistycznego szeroko pojętego.

Ten uniwersytet kultury dziecięcej zakłada jednocześnie prowadzenie ogrodu zabawy, w którym dziecko mogłoby malować, rzeźbić, zapoznawać się z różnymi materiałami i technikami plastycznymi oraz konstrukcyjnymi, dowolnie eksperymentować, a także bawić się zarówno w jaskiniowca, jak też istotę pozaziemską. Mając do dyspozycji przygotowane materiały i konieczne tylko elementy mogłoby tworzyć swój własny świat a człowiek dorosły jedynie pomagałby mu w rozwiązywaniu jego twórczych pomysłów. Co za relaks dla nieustannie znerwicowanej psychiki dziecka w życiu wielkomiejskim! Jakie możliwości dla rozwoju wyobraźni! Jakże interesujące pole do obserwacji!

Mówi się o małej aktywności kulturalnej społeczeństwa łódzkiego, galerie najlepszego w Polsce Muzeum Sztuki (współczesnej) mimo wysiłków pracowników nie cieszą się dostateczną frekwencją i tak będzie nadal, bo „języka każdej sztuki trzeba nauczyć". A więc zacznijmy od dzieci, oczywiście wychowujmy je na autentykach dla nich czytelnych, przyswajalnych, łączących się z ich doświadczeniami.

Mamy już wiele zgromadzonych materiałów do realizacji tego istotnego obszaru dla dziecka współczesnego (w naszym przekonaniu). Dotychczas łódzkie dzieci miały możliwość zobaczenia tylko jednej naszej wystawy „Od Turonia do Colargola" — (w 1980 roku), która wyraziście zapamiętały, skoro jeszcze obecnie przychodzą do nas upominać się o następne pokazy lalek. Brak przestrzeni ekspozycyjnej na miejscu w Łodzi nie hamował jednakże naszej działalności, dostarczaliśmy wrażeń dzieciom eksponując zbiory w innych miastach Polski i poza granicami kraju. Obecnie otwiera się możliwość realizacji całościowego programu, ponieważ Urząd Miasta Łodzi w ubiegłym roku przekazał Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu pofabrykancki pałac przy ul. Tylnej, między innymi na urzeczywistnienie naszych zamierzeń. Ten okazały budynek położony w parku pozwala również na poszerzenie i wzbogacenie bodźców istotnych dla rozwoju kulturalnego poprzez ekspozycje etnograficzne. Rozległy park dotychczas nieco zaniedbany jest wymarzonym terenem zarówno na ogród zabawy twórczej dzieci, jak też realizację od dawna programowanych plenerowych ekspozycji etnograficznych.

Trwają intensywne prace remontowe również krystalizuje się i nabiera coraz bardziej realnych kształtów program zagospodarowania tej placówki. Program ten zmierza do pogodzenia dwu zakresów w działalności przyszłej placówki muzealnej, mianowicie stworzenia komórki muzealnej dla dzieci, ale także uwzględnienia potrzeb kulturalnych mieszkańców tego rejonu miasta.

MARIA PINIŃSKA

W kręgu fantastyki

Upadek Angeli Guijon

— I niebo pochwyciło cię w końcu, zamknęło się wokół ciebie na zawsze, Angelo. Poczułaś się pewnie — jednak to nie wernisaż, nie deski sceny, lecz otchłań przepastna. Choć można się spierać, bo czyż nie jesteś ostatecznie w niebie? Nagroda za czyste intencje, tylko co z grzechem pychy?

Płyniesz więc spokojnie w przestworzach, wraz ze strumieniem innych, podobnie zagubionych cząstek. Własny pęd unosi cię wyżej i wyżej, zaś wiatr od słońca łagodnie spycha z powrotem. Myślę, że los nie obszedł się z tobą sprawiedliwie, wyszydził twą idee sztuki. O ile nie był to akt łaski — bo przecież jednak miałaś widzów. Angelo. Nie tylko Jordell Bank, w innych obserwatoriach również widzieli. Czarny pytał mnie przed chwilą, czy nie zauważyłem czegoś szczególnego nad Atlantykiem. Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że to byłaś po prostu ty.

Och, Angelo. Staram się zatrzymać w sobie ostatni cień niewiary. Nadaremnie. A jeśli radio jest zepsute? Nie, na pewno nie jest zepsute. Nie odezwałaś się ani razu. Milczałaś przez cały dzień a mnie ogarniała gorycz. Czyż nie robiłem wszystkiego, czego tylko zażądałaś? A przecież nie podzieliłem wcale twego zapału, Angelo. Dziwactwa nie rażą w świecie ludzi, lecz tu, pod czujnym spojrzeniem Boga stanowią coś bardzo niestosownego. Tak — to co zamierzałaś zrobić rzeczywiście uważałem za jakieś świętokradztwo. I miałem racje.

Pycha jest godna pożałowania, gdy chodzi o sprawy zwykłe, gdy jednak zaczerpia się coś naprawdę wielkiego, okazać się może zgubną.

Tak tu pusto i martwo, słysze szum własnych myśli. Sprzężak przycichły, pompy przestały sapać, a dalekonis nie wiaczył się ani razu. Co im powiem Angelo — co mam teraz zrobić?

W żołądku utkwiła mi twarda kula. To bardzo boli, jeszcze nigdy nie wzięło mnie tak mocno. Słońce szaleje, jego promienista sieć rozłazi się na strzępy i z dalekich głębin świata nadciąga powiew śmierci. Niemal czuję na skórze uderzenia wściekle rozpędzonych cząstek. Widzisz Angelo, oni mieli racje — ta stacja jest starym i niebezpiecznym pudłem. Dawniej ludzie nie pchali się tutaj podczas takiego roku, czuli przed Słońcem respekt. A ja, czy ja go nie czuję? To tylko tobie zdawało się, że jesteś w ogródku. Jak mała dziewczynka wydęłaś wargi, gdy próbowałem ci przypomnieć, że to nie miejsce na żarty. Ukarałaś mnie ciszą. Wiedząc, że nie jestem dziś w stanie włożyć skafandra, poszłaś na platformę sama. Tylko po to, żeby zrobić mi na złość.

Zrobiłaś. Wpatruję się ze znużeniem w ekran szukając śladu po tobie. Walcze z opornym mechanizmem obrotu kamery i w soczewki strzela nagle promień Słońca wydobyty z czerni. Obraz rozsypuje się w barwne iskry, lecz za chwilę wraca. Dopiero teraz widzę — brak jednego pojemnika z polimerem. Dlaczego to zrobiłaś?

Gdybym wiedział. Jestem przecież dużo silniejszy od ciebie, a nie mogłem dać sobie rady wczoraj. Przy wymianie zbiornika zawór strzelił, rozprężony polimer rzucił mnie na dźwigar anteny. Plecak pękł, gorący płyn zalał mi twarz, po kilku chwilach nie było już czym oddychać. A jednak miałem szczęście, gdy, odepchnąwszy się rozpaczliwie od anteny, trafiłem rozcapierzonymi rękami na uchwyty przy wejściu do śluzy.

Nie, to zwykła rutyna — szczęściem było to właśnie, że zatrzymała mnie w locie antena.

Dla ciebie moja rutyna była anachronizmem — podobnie, jak czujność. Czułaś się na platformie swobodnie, niczym z domowego ganeczku patrzyłaś na wirujący wolno w dole świat. Dziś przekonałaś się jak naprawdę wysoko nad oceanem wisi ten balkon. Zapewne długo szarpałaś się z pojemnikiem i gdy wreszcie puścił i rzycając sprężonym gazem popędził w mrok, unosząc cię z sobą, trzymałaś się go dalej kurczowo, gdyż w nagłej samotności on tylko ci pozostał — i tak razem bez myśli cwałowaliście do niewidzialnej granicy nieba, by rozjaśnić firmament niespodziewaną, północną zorzą.

Wierna sztuce do końca. Okazuje się że rzeczywistość — choć odmienna na ogół od artystycznych wizji — nie jest jednak całkiem pozbawiona pewnej otwartości i jakiegoś tajemniczego zawieszenia, które stanowią — zdawałoby się — wyłączny przywilej dzieł sztuki.

Sądziłaś, że kreujesz dzieło, los natomiast postanowił uczynić je z ciebie samej. Wpadłaś w pułapkę wyobraźni. Twierdziłaś, co prawda, że sztuka zawsze była ci bliska — ja jednak jestem pewien, że to tylko nowe możliwości zrodziły w tobie pragnienie. Zachwycił cię widok splecionych warkoczy magnetosfery i postanowiłaś wykorzystać niebo w sposób, o jakim nikt jeszcze nie pomyślał.

Sztuka dla mas. Wesoło ci było — i to właśnie nazywam pychą, bowiem ani razu nie ogarnęły cię wątpliwości. Niepodważalna pewność to znamię neofity. Artysta winien błąkać się po omacku, szukać jednej z wielu wizji. Tobie chodziło po prostu o zabawę. Zabawę ze mną jak w wieży z kości słoniowej, by w przejmującej ciszy badać związki pomiędzy swą duszą a rozpędzonymi w polu magnetycznym Ziemi elektronami — wołałaś od razu pokazać co potrafisz. Nie mnie, a tym w dole. Wszystkim. Znowu nie mogłem się z tobą zgodzić — po cóż ta megalomania! Stwierdziłaś, że nic nie rozumiem, że nie znam się wcale na sztuce. Tego obrazu nie można ująć w ramy, nie można ograniczyć kulisami tej sceny. Spektakl musi ogarnąć całe niebo, inaczej nie będzie zauważony.

Pomyślałaś nawet o tytule. „Wieczór nad Awinionem". Nachylone nastrojowo pod kątem trzydziestu stopni do płaszczyzny horyzontu zwiewne fałdany elektronowej materii kołysane słonecznym wiatrem, zakrycie czarnej pustki, przesłonięcie wiecznego mrozu gwiazd. Owszem, mogło być w tym wszystkim coś więcej niż tylko kaprys ekscentrycznej laborantki. Nie starczyło ci wytrwałości — ty musiałaś jak najprędzej rozpruć niebo swym laserowym lancetem, poćwiartować je, wypruć wnętrzności barw i porozrzucać je ludziom ponad głowami.

Może nie znam się na sztuce, znam się za to na innych sprawach. Na przykład ogniwa paliwowe. Liczyłaś na moc nominalną, ale trzeba to było sprawdzić. Cały czas zachowywałaś się tak, jakby to było Laboratorium Podniebne, a nie stare, ostatkiem sił utrzymujące się w przestrzeni pudło, wynajęte przez protekcję. Gdybyś spytała mnie o radę, dowiedziałabyś się o innym źródle energii. Sprawdziłem to kiedyś, przewiercone mikrometeorytami tace baterii słonecznych w nadprzyrodzony chyba sposób produkują jeszcze znaczne ilości prądu.

O nich właśnie pomyślałem, i o twej niechęci do słuchania rad, gdy z twarzą przy iluminatorze, czekałem w dniu premiery, aż twoja dłoń połączy obwody. Zacisnęłaś palce, by rozpocząć wielki spektakl, lecz niebo ani drgnęło. Oczywiście w każdej nie tylko takiej sytuacji szukać należy wytłumaczeń rozsądnych, lecz ty, w swym zaślepieniu, samą przyrodę oskarżyłaś o niechęć sztuce.

W ten sposób zamieniliśmy się rolami. Początkowo ja przecież przekonywałem cię do istnienia bóstwa, tam, gdzie go według ciebie nie było. To nie bóstwo w każdym razie zwróciło się przeciw tobie, lecz zwykły błąd w obliczeniach. Nie wzięłaś zapewne pod uwagę faktu, że po ostatniej, nieuchronnej korekcie orbity wznieśliśmy się o dobre dwadzieścia kilometrów. Skalpel okazał się za krótki, a może za tępy, by otworzyć niebo.

Milczałaś, a ja — wciąż z twarzą przy iluminatorze — domyślałem się już, że swój gniew przenosisz na mnie, bo nie potrafię należycie kierować po torach niebieskich.

Zejdź niżej! — Nie mogę Angelo. I tak co kilka obrotów zanurzamy się w atmosferę, być może jestem kiepskim pilotem, być może nasze silniczki nawigacyjne są do niczego. Nasza orbita jest wyjątkowo niska i nieustabilizowana.

Zejdź niżej — w twym głosie usłyszałem nutki histerii. Było jasne, że nie potrafisz przegrywać. Niebo obroniło się przed tobą, sama jednak nie potrafiłaś się obronić.

Zejdź niżej! — Co chcesz uczynić Angelo? Sztuczne ognie z nas samych! Nie straciłem jeszcze rozumu, choć często byłem tego bliski.

Zejdź niżej! — Nie zrobię tego, Angelo.

Nie powiedziałaś już więcej ani słowa, nie spojrzałaś na mnie ani razu, a ja też nie miałem ochoty patrzeć za tobą, gdy odpychając się rękami opuszczałaś kabinę łączności. A teraz nawet nie potrafię przywołać wspomnienia twej twarzy. Lubiłem przyglądać się jej gdy spałaś. W rozchylonych lekko wargach kryształkami rosły kropelki śliny, włosy rozpostarte, jak morskie wodorosty, kołysały się w prądzie powietrza. Wszystko było niezwykłe — ty spałaś, a twoje ciało żyło ciągłym ruchem. Zwijałaś się w kłębek chowając ramiona po to, by za chwilę otworzyć się bezwiednie jak kwiat — każdy ruch powodował następną zmianę. Zwolniony film, podwodny balet.

By móc spać bez pasów wymyśliłaś specjalną altankę. Po raz pierwszy oniemiałem w prawdziwym tego słowa znaczeniu: rozpięty na pięciu linkach namiot, zamykał w sobie miękko środek przedziału magazynowego, odgradzał od kanciastych ścian. Wewnątrz spać można było spokojnie, unosząc się bez obawy bolesnego obijania o ściany. Ja i tak oczywiście wolałem odpoczywać w kontakcie z czymś namacalnym choćby nawet trzeba się było po prostacku przypiąć do łóżka. Dla ciebie jednak zawsze gotowy byłem uczynić ofiarę, z wielką ochotą wkręcaliśmy się w siebie, niczym ramiona wiatraka, kpiąc z absolutnej niemocy siły ciężkości Angelo! —

Za kilka minut Generyfa Czarny zacznie mnie znowu wypytywać. Po kabinie krąży chmura śmieci — przyrządy, ołówki, kartki papieru, notesy. Nie zwracam na nie uwagi, nie dociera do mnie nieregularny stukot, z jakim odbijają się od ścian.

Tak, Angelo. W gruncie rzeczy wiem że to ja zgrzeszyłem. Brakiem wiary. Jestem więc coś ci winien.

Największe widowisko świata odbędzie się zatem, powiem Czarnemu, żeby naszykowali tysiące kamer. Zrobię to. Kilka poprawek, ostatnie łyki paliwa i za dziewięćdziesiąt minut powrócę na wieczorne niebo Awinionu jako świetlisty deszcz. Spotkamy się wtedy na wysokościach, a nasze atomy rozpylone żarem przemieszają się i będziemy już zawsze jednym. Czekaj na mnie Angelo.

SŁAWOMIR KUBISA

Ekspedycja

Zapadał zmrok. Park opustoszał. W gasnącym świetle zachodzącego słońca majaczyła sylwetka mężczyzny. Przemykał pomiędzy grubymi konarami drzew, wykonując nieskoordynowane ruchy. Wkrótce potem legł na ławce, odetchnął ciężko i zasnął.

*

Komandor Siin spojrzał uważnie na pierwszego nawigatora, który siedział pochylony nad stertą papierów pokrytych gęsto komputerowymi wyliczeniami.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Zaraz wejdziemy w strefę przyciągania tej planety. Nic specjalnego, normalna rutynowa robota.

— Tak, tak — komandor zamyślił się. — Po raz piąty przestudiowałem kasetę z nagraniem ekspedycji PZ-64. Załoga ogarnięta była chyba jakimś szałem.

— Panie komandorze, to było przecież dziesiątki lat temu. Latano wtedy na takich starych pudłach. Zwykła awaria i koniec — nawigator machnął lekceważąco ręką, nie przejmując się zbytnio słowami dowódcy.

— Stare pudła — komandor przyłożył dłoń do skroni. — Nie, nie o to mi chodzi — zaprotestował po chwili. — Chodzi mi o nienormalne zachowanie załogi. Może wywołał je jakiś rodzaj promieniowania lub trujące gazy unoszące się w atmosferze?

— Możemy wylądować na tym samym miejscu co PZ-64 — zaproponował nawigator.

— Nie, nie chcę narażać załogi. Jeżeli oni się rozbili, to promieniowanie może istnieć tam przez dziesiątki lat.

— Ależ panie komandorze, mamy przecież dokładne dane — nawigator schylił się nad stertą papierów.

— Nie zezwalam — Siin odwrócił się na pięcie i wyszedł z nawigatorni.

*

Sen mężczyzny spoczywającego na ławce został gwałtownie przerwany. W parku rozległ się potężny grzmot, słychać było przez chwilę odgłos padających drzew, następnie błysnęło oślepiającym światłem i znowu zapadła śmiertelna cisza. Mężczyzna poruszył się na ławce, zaklął siarczyście, a następnie spojrzał mętnymi źrenicami na obiekt, który znajdował się w pobliżu miejsca jego spoczynku. Obiekt ten, rozmiarów sporej willi, migał światłami i zasłaniał swym widokiem. Oczy mężczyzny zajaśniały, rozpromieniły się, a z ust wyrwał się triumfalny okrzyk. Zerwał się z ławki i tanecznym krokiem podążył w stronę obiektu.

*

— Lądowanie bez zarzutu. Wszystkie urządzenia działają sprawnie — poinformował Siina komputer pokładowy.

Wkrótce do uszu komandora dotarł głuchy łoskot stuknięć, dobiegający z zewnętrznej kopuły statku. Wytężył słuch, odgłosy powtórzyły się.

LESZEK KRASKOWSKI

— Zarządzam obserwację bezpośrednią okolicy statku. Przełączyć wszystkie monitory — krzyknął do mikrofonu Siin i wybiegł ze swojego pokoju. Po chwili był już w nawigatorni, gdzie skupiła się cała niemalże załoga i obserwowała bacznie obraz przekazywany przez zewnętrzne kamery statku.

— To prawdopodobnie jest organizm rozumny — meldował Siinowi szef rozpoznania Futch. Wskazuje na to wygląd osobnika. Jednak jego zachowanie i sposób poruszania wskazują raczej na organizm zwierzęcy.

— Tak — zamyślił się Siin. — Proszę kontynuować.

— Na to, iż jest to organizm zwierzęcy wskazuje też fakt poruszania się za pomocą własnych mięśni. Osobnik ten nie używa żadnych urządzeń technicznych, aby ułatwić sobie przenoszenie z miejsca na miejsce. Ewentualnie można przyjąć hipotezę, iż jest to organizm z rodziny człowiekowatych, ale na niskim szczeblu rozwoju, prawdopodobnie homo sapiens.

— Czy on wydaje jakieś dźwięki? — zapytał Siin i obserwował nadal uważnie poczynania osobnika, który ciężkim łomem walił w zewnętrzną pokrywę statku.

— Tak, ale mamy kłopoty z tłumaczeniem — odparł Futch. — Puśćcie taśmę z nagraniem — wydał dyspozycje członkom swojego wydziału.

— Otwórzcie do diabła ten cholerny burdel — dobiegło z głośników.

— I co? — zapytał komandor.

— Udało nam się przetłumaczyć tylko dwa pierwsze wyrazy. Chodzi o otwarcie czegoś, najprawdopodobniej osobnik ten usiłuje wtargnąć do wnętrza statku. Z przetłumaczeniem pozostałych wyrazów komputer lingwistyczny ma poważne kłopoty.

— Przygotować automaty. Wpuśćmy ten obiekt do wnętrza — rozkazał Siin i wyciągnął zza pasa swój pistolet.

*

Klapa głównego wyjścia opadła powoli, ukazując ciemne, nocne oblicze parku. Po chwili w wyjściu pojawił się jakiś osobnik, który zataczał się lekko i wymachiwał groźnie pięściami. Osobnik wszedł do śluzy. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

— Przestawić komputer lingwistyczny na bezpośrednie tłumaczenie — rzucił do mikrofonu Siin, cały czas obserwując bacznie osobnika-intruza.

Mężczyzna rozglądał się po wnętrzu mrużąc oczy.

— Bal karnawałowy, czy jak? — Mężczyzna tępawym wzrokiem przyglądał się mundurowi wartownika stojącego we wnętrzu śluzy. Zbliżył się do niego, nie zważając na wycelowany pistolet i zaczął zabawiać się antenami komunikacji bezpośredniej znajdującymi się na hełmie wartownika.

— Ha, ha, ufoludek — mężczyzna głośno roześmiał się. — Gdzie tu jest szatnia? — zapytał rozglądając się dookoła. — Szpan jakich mało — ocenił wnętrze rzutem oka. Nie rozstawał się z butelką, którą trzymał mocno w prawej dłoni. Od czasu do czasu zaglądał do wnętrza butelki i zapoznawał się z jej zawartością.

— Określenia stosowane przez obiekt niezmiernie trudne do przetłumaczenia. Konieczność bezpośredniej analizy komputerowej — odezwał się głośnik kompleksu lingwistycznego.

Siin nieznacznie skinął głową. Po chwili osobnik-intruz został obezwładniony i skierowany do działu analizy komputerowej.

*

— Oto pełny wykaz — szef działu analizy komputerowej Brake zbliżył się szybkim krokiem do Siina.

Siin uważnie przejrzał dokumenty.

— A-to co? — wskazał palcem na przedmiot, który Brake trzymał w dłoni.

— Opakowanie szklane zawierające nieznaną ciecz, nieznanego pochodzenia i przeznaczenia — wyrecytował jednym tchem Brake.

— Tak stwierdził komputer? — Siin uważnie spojrzał na Brake'a.

— Oczywiście. Tu jest odczyt napisu umieszczonego na tym opakowaniu. Niestety, trudno coś z tego zrozumieć. „Baltic Vodka. Produce of Poland. Production Polonaise" — odczytał Brake. — Interesująco wygląda. Prawdopodobnie to jakiś nowy nieznany rodzaj elektrolitu.

— Elektrolit — nagły błysk pojawił się w oczach komandora. — A co twierdzi o tym ten osobnik?

— Osobnik o tym nic nie mówił, poza tym, że nie odda. Musieliśmy zabrać siłą.

— Interesujące, interesujące — mruczał Siin. — A co na to komputer?

— Komputer przypuszcza, iż jest to wysokoenergetyczny płyn, stosowany przez mieszkańców tej planety. Najprawdopodobniej wpływa na poprawę samopoczucia. W każdym razie jest nieszkodliwy, nie zawiera związków toksycznych — stwierdził Brake.

— Wobec tego zarządzam konsumpcję generalną — wydał dyspozycję Siin i podniósł się ochoczo z fotela.

*

Hałas był potężny. Statek oderwał się od podłoża, park rozświetlił się na moment purpurowym światłem. Świetlisty obiekt wystartował pionowo w górę, zatrzymał się w pewnym momencie i rozpoczął wykonywanie niesamowitych ewolucji — beczki, korkociągi, spadanie liściem. Przez iluminatory statku wylatywały co pewien czas jakieś przedmioty, wyrzucane najprawdopodobniej przez załogę. Statek wykonał jeszcze kilka dynamicznych przewrotów i skierował się na wschód.

*

Głównym tematem doniesień prasowych z dnia 30 czerwca 2108 roku był ogromny wybuch, który wstrząsnął niemalże całym światem. Najdotkliwiej ucierpiał obszar Podkamiennej Tunguskiej. Gazety prześcigały się w wymyślaniu nowych sensacyjnych tytułów: „Po dwustu latach nowy meteoryt tunguski", „Ziemia zderzyła się z antymaterią", „Nowe próby atomowe w syberyjskiej tajdze".

1 Nagle zastępstwo

Pocztowa apokalipsa

Coś się słyszy tu i ówdzie o ograniczeniu reglamentacji. Że kartki mają być tylko na mięso i cukier. A już słyszałem, że są tacy, którym to nie odpowiada. Komu nie odpowiada mianowicie? Ano „szerokim kręgom społeczeństwa" albo „klasie robotniczej". Bo u nas rzadko kto ma własne zdanie. U nas się mówi w imieniu społeczeństwa lub co najmniej w imieniu klasy robotniczej. Spotkałem już podobną wypowiedź, kiedy to — jeszcze w stanie wojennym — zlikwidowano godzinę milicyjną. — Po co się z tym śpieszyć — mówił mój znakomity kolega — wieczorami zdarzają się rozboje i różne chuligańskie wyczyny. Szerokie kręgi społeczeństwa są za utrzymaniem godziny milicyjnej!

— A kto przeszkadza szerokim kręgom społeczeństwa siedzieć w domu po dziewiątej wieczorem? — zapytałem i do dziś mój znakomity kolega uważa mnie za agenta CIA, opozycjonistę i wrogi element antypartyjny, antysocjalistyczny, antyludowy, antyrządowy, antyrobotniczy i antychłopski.

Tymczasem szerokie kręgi społeczeństwa, a klasa robotnicza w szczególności, czasem robią dziwnego psikusa tym, co to uszczęśliwiają naród na siłę. Oto okazało się, że nikt albo prawie nikt nie życzy sobie punktów preferencyjnych przy przyjęciu na studia! Już widzę miny zaprzysięgłych zwolenników tych punktów! Cała demagogiczna argumentacja, wszystkie te egalitaryzmy i względy sprawiedliwości społecznej, wszystkie metne gadki o słusznych przywilejach ludu w ludowym państwie.

Aż dziw bierze, że nikt jakoś dotąd nie dostrzegł przynajmniej dwóch aspektów owych punktów „za pochodzenie". Pierwszy, że cała ta punktowa kombinacja jest zwyczajnym bezprawiem. Łamie bowiem Konstytucję PRL, drugi, że od punktów preferencyjnych wcale nie przybywa młodzieży robotniczej i chłopskiej na uczelniach wyższych, która to młodzież na studia nie aspiruje. Po pierwsze, nie mamy armat... Tak więc, wprowadzenie punktów preferencyjnych było działaniem, które nie przyniosło spodziewanych skutków.

Teraz będzie pewnie długa dyskusja nad przyczynami tej absencji młodzieży robotniczej i chłopskiej na egzaminach wstępnych. Będą dyskusje prasowe, polemiki, sondy i ankiety. A sprawa też jest prosta: wystarczy popatrzeć na listy płac w dowolnym zakładzie pracy...

Tak więc wszystko wskazuje, że od nowego roku akademickiego ubędzie nam jeszcze jedna reglamentacja — reglamentacja miejsc na wyższych uczelniach.

Póki co święci tryumfy reglamentacja w handlu. Żeby kupić czarny garnitur i białą koszulę, trzeba — w Łodzi przynajmniej — przedstawić dokument z urzędu stanu cywilnego, iż jest się szczęśliwym kandydatem na nowożeńca. Żeby kupić bieliznę pościelową albo słupią firankę, trzeba być młodym małżonkiem wyposażonym w odnośny kredyt. Na szczęście nie nosze czarnych garniturów ani białych koszul. Gorzej z pościelą bo bez firanek sobie radzę: pracuję przy otwartej kurtynie jak nie przymierzając rzecznik rządu. Jestem zatem bezpieczny i mogę podśmiewywać trawestując znaną pieśń. Nie mam woli do zameścia": „i nie lubię zasadniczo ślubnym być oblubieńcem".

Ostatnio ze zdziwieniem dowiedziałem się z prasy, iż książka telefoniczna będzie w Łodzi również sprzedawana w systemie reglamentacyjnym. Trzeba będzie się udać na pocztę z ostatnim zapłaconym rachunkiem telefonicznym i dowodem osobistym. Cała kombinacja po to, żeby nie dopuścić do spekulacji. A nakład książki telefonicznej będzie większy niż ilość abonentów. Kto ma spekulować?

Jest takie ordynarne porzekadło: „Na cholerę głuchemu telefon". No więc na cholerę książka telefoniczna temu, kto nie ma telefonu?

Co innego się w tym kryje i domyślam się co. Za nie tak jeszcze dawnych czasów książkę telefoniczną dostawał abonent a płacił za nią w ten sposób, że cenę książki doliczano do rachunku za telefon. Proste? Za proste. Poczta od tego czasu znacznie się unowocześniła, ma różne takie komputery i inne cuda techniki, nawet już ma własnych złodziei od okradania paczek i — pomimo horrendalnego wzrostu cen za jej usługi: — doszła do takiego stopnia bałaganu, że takiej usługi wykonać nie może. Poczta nie ma zaufania sama do siebie, i słusznie. Robta tak dalej!

Moim zdaniem dyrekcja od poczty i telefonii ogłaszając ów edykt o reglamentacji książki telefonicznej podpisała moralny wyrok śmierci na samą siebie...

Nie zdziwię się, jeśli w gazecie przeczytam, iż wyszła dyrekcja poczty ogłasza, że nie będzie odtąd przyjmować przesyłek poleconych, bo listonosze je gubią, w urzędach jest bajzel nie do opisania, urzędnicy piliści od rana, palą listy, bo kaloryfery zepsute, kable telefoniczne pokradzione, brak benzyny do pocztowych fiugonów, a znaczki nie są pociągnięte na odwrocie klejem. Tylko dyrekcja trwa i nie podaje się do dymisji. Dyrekcję mamy wytrzymałe nad podziw...

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Głuchy telefon

Oczywiście nie zamierzam szydzić z łódzkich telefonów, bo to akurat każdy potrafi. Przeciwnie wprost — jak powiedziałby Tweedledee, a kto nie wie, kto zacz Tweedledee niech sobie poczyta „O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra". W dziwnym przypływie dobrotliwości pragnę oświecić, a i orzestrzec czytelników, objaśniając im zasady gry w „GŁUCHY TELEFON".

2.

Prawdę mówiąc nie jest to całkiem nowa gra, lecz wysoce twórcza adaptacja starej gry dziecinnej, wszelako przepastna odległość między punktem wyjścia, a punktem dojścia, jest taka mniej więcej, jak między gotującym się imbrykiem, na którym podskakuje pokrywka a lokomotywą. Otóż my wymyśliliśmy lokomotywę, natomiast imbryk był niemal „od zawsze" i nikt się w nim niczego szczególnego nie umiał dopatrzyć.

Powiadam „my", albowiem gre w „GŁUCHY TELEFON" wymyśliłem nie sam, a pospołu, nie przyznam się jednak, z kim ja wymyśliłem, jako że znajomość ta wygląda dziś głęboko niesłusznie, wręcz podejrzanie nawet. Oczywiście zawsze można się tłumaczyć, że chodząc do szkoły, czy też podejmując pierwszą w życiu pracę, człowiek nie bardzo wie, z kim się niby spoufala — czy z przyszłym wybitnym działaczem, przyszłym rzutkim dyrektorem bądź poważnym naukowcem, czy też odwrotnie, z rozbechwalonym pijaczkiem podejrzanym hochsztaplerem albo facetem, któremu nagle odmienia się poglądy.

I to się bowiem zdarza: ktoś przesuwa się na lewo, ktoś na prawo, ktoś mądrzeje, ktoś głupieje, jak to w życiu. Mimo wszystko staromodny rozsądek podpowiada mi, że lepiej być dyskretnym — mniejsza więc z kim, ważniejsze co byliśmy jakiś wymyślić.

Otóż stworzyliśmy mianowicie gre-sprawdzian, grę test, papierek lakmusowy służący do badania stopnia ludzkiej dyskrecji.

3.

Punktem wyjścia jest wymyślenie w małym, ściśle dobranym składzie, wiadomości równie sensacyjnej i wartej powtarzania, co dokładnie nieprawdziwej, a nadto do sprawdzenia trudnej.

Warunki graniczne są sformułowane precyzyjnie, wiadomość niewarta powtarzania — nie pozwoli bowiem na dokonanie sprawdzianu, wiadomość prawdziwa — może powielić ktoś inny, wiadomość dająca się sprawdzić — może istotnie zostać sprawdzona, a wtedy cały wysiłek na nic!

Przypuśćmy więc, że wymyśliliśmy, iż śliczna sekretarka dyrektora naszej firmy zaszła z takowym w ciąże. Jeżeli dyrektor jest żonaty i brzuchaty tym lepiej — możemy bowiem dodać, że śliczna sekretarka zamierza urodzić dyrektorowi dziecko i doprowadzić do skandalu bądź rozwodu.

Trudno nie powtórzyć takiej wiadomości, a jednocześnie trudno ją sprawdzić. Kogo będziemy pytać?! Dyrektora — jakoś głupio. Sekretarkę — jeszcze gorzej.

Mamy więc pożądany punkt wyjścia i przystępujemy do akcji. Powtarzamy — czyni to jedna, wybrana osoba ze spiskującej grupy — naszą sensacyjną wiadomość starannie wybranemu delikwentowi, zobowiązując go słowem honoru i wszystkimi innymi możliwymi przysięgami, że nie puści jej dalej. A potem pozostaje już tylko spokojnie czekać.

Jeżeli wiadomość wróci do kogokolwiek z „grupy inicjatywnej", zniekształcona bądź przekazana wiernie, obojętne — możemy uznać, że gra w „GŁUCHY TELEFON" zakończyła się pełnym sukcesem. Papierek lakmusowy zabarwił się jak należy, a stopień dyskrecji testowanego nieszczęśnika okazał się zerowy.

Wynik taki — dzielę się tu doświadczeniami sprzed lat, się dlaczego niby dziś miałoby być inaczej — osiągamy znacznie częściej, niżby się można było spodziewać, no, łagodnie rzecz biorąc w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Oczywiście pod warunkiem, że historyjkę-sprawdzian wymyśliliśmy z sensem, bo jeżeli zapodamy, że Kocio się upił, a Kocio upija się trzy razy w tygodniu niedzieli nie licząc, nikogo to szczególnie nie wzruszy.

4.

W części moralizatorskiej dodam, że rozsiewanie brzydkich plotek jest naganne etycznie, a nawet — w pewnych przypadkach — karane z całą surowością prawa. Mnie na szczęście objęło przedawnienie i parę już ustaw amnestyjnych na dodatek, zresztą mógłbym się w razie czego tłumaczyć, że badałem po prostu stopień ułomności ludzkiej natury.

I zbadałem go dostatecznie — jest cholernie ułomna.

Więc może łaskawi czytelnicy zechcą zbadać cokolwiek innego, zamiast powtarzać z lubością to, co im pod słowem honoru w najgłębszej tajemnicy zwierzono...

JERZY P.

3 Lewym okiem

A do gnoju!

Nie raz już miałem sposobność zauważyć, jak niebezpieczną rzeczą jest ustosunkować się krytycznie do opublikowanego w prasie artykułu, zwłaszcza jeśli autorem tego artykułu jest felietonista, a więc człowiek zawodowo dowcipny i jeszcze bardziej zawodowo — złośliwy. Sam uprawiam ten zawód, ale akurat w sprawie jak wyżej, mam chyba sumienie czyste.

Obojętne, czy ktoś po przeczytaniu artykułu lub felietonu, poruszony zawartymi w nim uwagami, zabierze głos publicznie, czy tylko napisze list do redakcji odnośnego pisma. Jest człowiekiem spoza branży, a więc jego wypowiedź, jeśli nawet znajdzie się na łamach prasy, to najwyżej w rubryce „Listy od czytelników". Jest człowiekiem spoza branży, a więc nie trzeba się z nim na publicznym forum za bardzo liczyć. Zaatakowany zawodowiec ma o ileż łatwiejszy dostęp do „łamów" i niewątpliwie z tego dostępu skorzysta, żeby odwinąć się swemu adwersarzowi i załatwić go na cacy.

Taka odpowiedź jest ostatnim słowem w sprawie i korespondent nie może już na nią zareagować. Przeważnie zresztą nie ma na to ochoty, doświadczywszy tego, że co drugie jego słowo jest przekręcone w uciesznym a złośliwym kalambur, że wyszydza się jego styl, słownictwo, miejsce zamieszkania, profesję i nazwisko, aż w tym wszystkim ginie to co chciał powiedzieć o samej rzeczy. Bardzo to zasmucające widowisko, to walenie jak w bęben w polemistów i korespondentów, którzy się bronić nie mogą.

Wiele miesięcy temu „Przegląd Tygodniowy" opublikował nie wiem po co reportaż Andrzeja Szmaka o małżeństwie bogatego Araba z warszawianką. Warszawianka została wymieniona w łatwo czytelnym pseudonimie, tysiące osób wiedziało o kogo chodzi. Podano przy tym w drugocący a jakże łechotliwy sposób, czym to się dziewczyna trudniła, jak się prowadziła, że jest... no, wiadomo kim. Z pana młodego zrobiono głupawego Krezusa, ciskającego forsą a nabranego na małżeństwo przez warszawską prostytutkę.

Arab skierował sprawę do sądu i żeby nie wiem jakie wyczyniać umysłowe wygibasy, miał po temu pełne prawo. Otóż niedawno tenże redaktor Szmak napisał znów artykuł, a „Przegląd Tygodniowy" znów nie wiem po co go zamieścił, w którym z dumą opisuje swe procesowe perturbacje i cieszy się, że małżeństwo Araba się rozpadło, pewnie nie bez winy redaktora. Przy okazji, zadowolony z siebie humorysta miesza jeszcze raz z błotem panią Arabową, wciąż pomny jej dwuznacznej kariery, a niepomny tego, że dziewczęta o identycznej przeszłości bywały już w historii matronami, generałowymi i świętymi.

Teraz odezwał się niejaki pan Leszczyński spod Koluszek, dając wyraz swemu oburzeniu z powodu niesmacznej twórczości Andrzeja Szmaka. Listu Leszczyńskiego nie opublikowano, nie wiemy dokładnie o co w nim chodziło, ale to wcale nie jest ważne. Ważna jest kolejna enuncjacja redaktora Szmaka, zamierzona na pewno właśnie jako bezapelacyjne, przygważdżające „ostatnie słowo". Nie ma w niej nic o sprawie małżeństwa Araba, ani o procesie, ani o rozwodzie i jego przyczynach, ani o publicznym naruszaniu godności osobistej. Są natomiast zabójcze kpiny z tego, że pan Leszczyński mieszka w Koluszkach, gdzie należy myśleć o przydziałach nawozów sztucznych a nie o sprawach stołecznej elity intelektualnej. Bardzo to nieapetyczny felieton, zamykający — mam nadzieję — obrzydliwy ciąg publikacji.

Nowaczyński lubił przekręcać nazwiska w złośliwe dwuznaczniki. Coś podobnego uprawia dzisiaj Ryszard Marek Groński. Na ogół panuje opinia, że tego rodzaju dowcipy są niesmaczne i obraźliwe. Unikam więc takiego kalamburowania, ale tym razem niech mnie usprawiedliwi bezlitosna złośliwość Andrzeja Szmaka, jeśli wyrażę myśl, że zaczyna mi się to nazwisko kojarzyć ze słowem Abszmak...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Instrukcja obsługi

Niektórzy tak dalece pogrążyli się w sublimacji procesów intelektualnych, że aż wpadają na wiekopomne zgoła pomysły. Odosobnione jednostki spośród nich trafiają nawet za te pomysły na tzw. karty historii, jak choćby taki Kopernik czy Edison. Ale cała reszta wymyśla instrukcje obsługi. Instrukcje te są niesłychanie potrzebne, zwłaszcza w dobie reformy poprzedzającej nadejście epoki, w której myślenie stanie się u nas procederem wysoce i głęboce opłacalnym. Tak tedy prekursorzy nowego wpadli na pomysł, a właściwie na dwa pomysły — jeden w drugim, jak pieczeń w brytfannie. Najpierw był patent na konferencję prasową i funkcję rzecznika prasowego. Jak bowiem powszechnie wiadomo, niczego nie da się tak po prostu wytłumaczyć, zaprezentować, poinformować, jest to możliwe jedynie za pomocą konferencji prasowej. Na takiej konferencji usłyszysz, drogą publiczności, rzecz, samo sedno, istotę zagadnienia, przyswoją, objaśnią, wskażą, co należy podkreślić wężykiem.

Bez proroków konferencyjnych, nie połapiesz się szaraczku w magmie atakujących cię informacji. Każde biuro, każda manufaktura, ba! każdy niemal kiosk „Ruchu" mają własnego rzecznika i własne konferencje. Pomysł drugi — czyli ta pieczeń, to sedno konferencyjne, czyli o czym można urządzić konferencję prasową, by podtrzymać mit, w który i tak absolutnie nikt nie wierzy, że istnienie biurokracji jest absolutnie niezbędne dla normalnego funkcjonowania państwa, gospodarki oraz rozlicznych organizacji.

W taki właśnie sposób, łódzkie siły fachowe od telefonów — dokładnie te same, którym trzypiętrowe pozdrowienia przesyła codziennie każdy łodzianin mający pilny interes przez telefon — otóż te siły wymyśliły konferencję prasową poświęconą zasadom dystrybucji, a co ważniejsze — zasadom użytkowania nowej książki telefonicznej dla miasta Łodzi. Jest rzeczą zrozumiałą, że tępogłowym użytkownikom wzmiankowanego dzieła przenigdy samo nie wpadłoby do dziurawego rozumu, jak też należy się posługiwać pismem objawionym. Nie wystarczy półstronicowa informacja podana w prasie, gdyż nie wszyscy mogą zrozumieć takie pojęcia jak „układ alfabetyczny, albo „informacja kolejowa". Konferencje poświęcone zasadom użytkowania, bądź korzystania z rozmaitych dóbr cywilizacyjnych, zwłaszcza tych z rzadka dostępnych (jak gumka do majtek, bielizna osobista, pościelowa i inne) należy mnożyć, podwajać, uintensywniać i w ogóle rozwijać ten zdrowy nurt rozważań teoretycznych poświęconych zagadnieniu użytkowania szarej, kleistej mazi wypełniającej ludzką czaszkę.

Pozwolę sobie podrzucić całkiem gratis kilka świetnych tematów, którym można poświęcić parogodzinne konferencje prasowe:

Temat 1. Użytkowanie (miejsce, warunki, klimat) artykułów szpiegowskich, jak to np. kabli, wtyczek czy kontaktów;

Temat 2. — Pokaz wykorzystania aparatury specjalistycznej w związku z nadchodzącym okresem zimowym i koniecznością ustalenia priorytetowej kolejności oczyszczania. Do demonstracji przygotowano: pralnice na gąsienicach, odrzutowe odkurzacze, froterki przeciwpiechotne.

Temat 3. — Zagadnienia reformy gospodarczej w oparciu o szynkwas na podstawie działalności firmy „Ponal".

A kiedy już się rozdyskutujemy konferencyjnie, wypijemy wszystką wodę mineralną, zagadamy, zadusimy słowami, przysypiemy dokumentami wszelką myśl rozsądną i normalną. Kiedy już podamy do publicznej wiadomości i szeroko rozpropagujemy instrukcje obsługi zwisu męskiego, podgardla dziecięcego, zatrzaski metalowej koronkowej i wszystkiej rzeczy, która jego jest, wtedy urządzimy sobie gigantyczną konferencję prasową, przy udziale najwspanialszych rzeczników prasowych, w największej sali, przy kamerach telewizji i mikrofonach radia. I poświęcimy tę konferencję zasadom rozdziału i użytkowania papieru toaletowego z własnoręczną demonstracją zastosowania instrukcji obsługi, dokonaną przez samego naczelnego naczelnych wszystkich wytwórni wzmiankowanego papieru wartościowego.

BIUROWA

RAPIER NAPOLEONA (7)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rozbijacze zabaw, aczkolwiek Łódź śpiewała o nich ballady, nie byli żadnymi wybitnymi kryminalistami, niektórzy w ogóle nie mieli powiązań ze światem przestępczym; ubierali się zgodnie z ówczesną modą, nie brakło im fantazji i urody, w sprzyjających okolicznościach pretendowali często do miana brylantowych młodzieńców.

Nic tak nie cieszyło rozbijaczy zabaw, jak zwycięska potyczka z wymagającym przeciwnikiem w plenerze, bądź też w świetlicy fabrycznej podczas wieczorku tanecznego. Ale godzi się dodać, że po okrutnym występie na dziedzińcu łódzkiej Szkoły Filmowej rozbijaczom zabaw było najpierw trochę wstyd, a potem niejeden przeraził się ciężko, gdyż awantura wywołała w studentach jakąś przedziwną psychozę.

Wyniesiono pobitych, orkiestra wróciła na scenę i zaczęła dziergać, dziewczęta wtuliły twarze w ramiona swoich rycerzy, tu i ówdzie w ćwiartce albo półlitrowce zabulgotał czterdziestoprocentowy środek przeciwbólowy — impreza odzyskała niby właściwą temperaturę i nastrój, aż tu nagle jakiś młodzieniec stanął na zakolu fontanny, złożył ramiona jakby miał zamiar oddać skok, i oddał ten skok, pod sam ryjek burżuazyjnego przeżytku, z którego rzygała woda.

Było jej, tej wody w przeżytku, zaledwie do kolan nic więc dziwnego, że skoro szalony młodzieniec wynurzył się z płytkiej kipieli, na czole miał ogromną, rosnącą w oczach śliwę, a starta i podrapana twarz ociekała krwią.

I Kozioł z Górniaka, i Cyf i Bambuła, i Draska, La Komare, Cykota, Bumcyk i dostojny Ulman zapewniali potem ze zgrozą, że była to pierwsza prawdziwa krew tego wieczoru.

Działo się coś wbrew naturze. Ciary dosłownie ciągnęły po krzyżu, bo oto drugi młodzieniec stanął na brzegu fontanny — tej samej nad którą dwadzieścia parę lat później, 30 czerwca 1981 roku zadumał się Napoleon: wówczas owej posępnej i niezapomnianej nocy z drugiej połowy lat pięćdziesiątych ukryty za kamerą w krzakach z których wystawał tylko obiektyw — i wybiwszy się w górę zanurkował odważnie, na głowę, która plasnęła o dno aż zadygotały nogi.

Znowu krew, siniaki, zadrapania i przylepione do ciała, opływające wodą ubranie, bo przecież nikt chyba nie przypuszcza, że samobójcy rozbierali się przed skokiem.

Jeszcze trzeci, czwarty i piąty powtórzył ten wyczyn, z uśmiechem chłodnej pogardy na ustach, z wyzwaniem jakoby, które ciskał Napoleonowi w twarz zaświadczając że nie ugnie kolan przed żadną przeklętą bandą najemnych skurwysynów.

Szósty wreszcie przygotował się do skoku. Trębacz wył w niebo na trwogę, a ono poczerniało nagle, posrożało, księżyc zginął za ponurym, poszarpanym skrzydłem chmury. Wiatr zadął od parku Źródliska, strzelił piorun, zgasło światło i nikt nie wie na pewno, czy szósty oddał ten skok.

W tych odległych czasach położona przy ulicy Targowej Szkoła Filmowa graniczyła po prawej stronie ze smutną i odrapaną kamienicą czynszową, a po lewej z Liceum Ogólnokształcącym nr 2 im. Gabriela Narutowicza — najgorszą tego typu placówką w Łodzi, jeśli chodzi o morale wychowawców. Wkrótce Liceum to zostało przegnane zresztą, i słusznie!, z obszernego czerwonego gmachu przy ul. Targowej i obecnie jest tam Wydział Aktorski — znacznie stosowniejsze towarzystwo dla filmowców niż buda pełna mściwych belfrów i rozhisteryzowanych dzieciaków.

Po przeciwnej stronie ulicy rozciągał się (i dalej rozciąga) wspomniany już park Źródliska ze swoimi altankami z alejkami wzdłuż których rosły szlachetne odmiany wiązów kasztanowców buków świerków akacji i dębów szypułkowatych — niezłomnych, szerokopiennych uznanych za pomniki natury. Była tam również palmiarnia, szkoła muzyczna i zakłady włókiennicze, a na wprost filmowców, czy może raczej: trochę na prawo od portierni, majaczyła za zieloną łąką w cieniu drzew sztuczna grota, w której uczniowie Liceum doprowadzeni do białej gorączki przez grono pedagogiczne — (och, siekier! siekier rzeźnicką mi dajcie! — zawrzasnąłby La Komare) — grali w karty, palili papierosy czy nawet uprawiali rękodzieło na widok podpasek, majtek i profilaktycznego ogumienia, porzuconego przez widzewskich chojraków.

Podobnie jak zbrodnie hitlerowskie, draństwo i cynizm nauczycieli nigdy nie powinny być zapomniane; matematyk na przykład powinien być szukany w tej chwili przez chłopaków z milicji, tenorz—historyk powinien być publicznie napiętnowany przez pana profesora Kowalskiego, którego bezprzykładna wiedza i szokująca odwaga bierze się podobno z Liceum im. Mikołaja Kopernika; dyrektor, przyjaciel geografa, powinien być wtrącony do lochów przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Biologiczka — pierwszy rzut oka: poczciwisko z Azylu wielbiące owady, ameby i ptaki — powinna być postawiona przed sądem wojskowym, natomiast kwiaty należałoby położyć na grobach lub u progu domów fizyczki — Kanapy, rusycysty — Puzona i anglisty, który dzięki swojemu poczciwemu sercu nie zapracował sobie na żaden złośliwy pseudonim.

Zostawmy jednak w niezasłużonym, lecz wielce obelżywym spokoju Liceum im. Gabriela Narutowicza. Jak można w ogóle wspomnieć coś takiego, skoro obok, przez ścianę, kwitła na łódzkiej pustyni Szkoła Filmowa, najsławniejsza prawdopodobnie uczelnia w kraju, aczkolwiek w tym momencie oburzy się kilka polskich uniwersytetów i parę akademii sztuk pięknych.

Od momentu, kiedy powstała, pełniła Szkoła Filmowa w mieście tak zwaną rolę kulturotwórczą, i to w znacznie większym stopniu niż wszystkie pozostałe uczelnie artystyczne, techniczne i humanistyczne. Gdyby to zależało na przykład od władz wyższej, średniej lub podstawowej szkoły muzycznej, jazz nigdy nie wychynąłby z katakumb, a jazzmanom obcinałoby się obydwie ręce za bezczelną profanację sztuki. Filmowcy natomiast potrafili wylansować i docenić wielu improwizujących muzyków udzielając im w murach swojej uczelni azylu, dostarczając płyt, a także pieniędzy, było bowiem nie do pomyślenia aby na Targowej rzępoliła jakaś cholerna kapela wujów, na przykład kwartet Marschala (trzech gra, czwarty szatnię opier...), albo trio Randoli (dwóch śpiewa, a trzeci pier...) — na Targowej w każdą niemalże sobotę i w każdy dzień świąteczny zasuwała opłacona sowicie grupa jazzowa jazzmani obsługiwali zabawy i wieczorki taneczne, różne okolicznościowe akademie i koncerty. Każdy ambitny polski muzyk jazzowy stawiał sobie za punkt honoru wystąpić chociaż raz w Szkole Filmowej — chociaż raz i choćby za darmo, na całonocnym jamie: imprezie dobrowolnej, na której gra się dla przyjemności, nie dla chleba; ale tego chleba nigdy nie zabrakło, i nigdy nie zabrakło wódy, jako że filmowcy znali klezmerskie porzekadło: bez gazu nie ma jazzu.

Przyjeżdżali na te jamy chłopaki z Poznania, Wrocławia, Krakowa i Warszawy, dzięki czemu mogłeś posłuchać na Targowej młodego Komedy, młodego Kurylewicza, młodego Ptaszyna Wróblewskiego, młodego Miliana, no i oczywiście (przede wszystkim) młodych Melomanów, jak również całej plejady innych, wschodzących dopiero gwiazd. Jeśli byłeś muzykiem i miałeś na to dość odwagi, stawałeś z saksofonem czy trąbką obok tych wszystkich cwaniaków, a cwaniacy, jeśli byli akurat w dobrym humorze, puszczali cię nieraz na solówkę z głębokim przekonaniem, że zgubisz frazę i wysypiesz się na pierwszym harmonicznym zakręcie, ty zaś robiłeś wszystko, aby nie sprawić im tej przyjemności, i w ten sposób przybywało nowych gwiazd, takich choćby jak Urbaniak, Gulgowski i wielki choć niedoceniony Alfred Banasiak, który dmuchał w swojego saksa z taką siłą wyrazu, że filmowcy, na przekór zazdrosnym muzykom, bili mu gromkie brawa.

Na Targowej właśnie doszło do symbiozy filmu z jazzem. Polska kinematografia opanowana dotąd w sferze ilustracji muzycznej przez symfoników, sięgnęła do worka z synkopami, co w wielu wypadkach wyszło jej na zdrowie — jazzmani zaczęli grać i komponować dla filmu, a ich twarze coraz częściej pojawiały się na ekranie.

Filmowcy rozbijali schematy i rozprawiali się z mieszczańskimi dogmatami, lansując awangardowe malarstwo i nowoczesny wystrój wnętrz. Byli także wyrocznią w dziedzinie mody i obyczajów, które w innych środowiskach pozostawiały wiele do życzenia. Zamożny złoty młodzieniec z końca lat pięćdziesiątych: ten, którego widywałeś na deptaku, w Grandzie, w „Egzotycznej" i innych uczęszczanych lokalach, ubierał się dość stereotypowo — garnitur, biała koszulka, krawat i buty na grubej, porowatej zelówie; zima palto z beżowego flauszu i waskorondy kapelusz. Studenci z Targowej przeciwstawili temu skromność, luz i prostotę — flanelowe lub welwetowe spodnie bez kantów, miękkie, skórzane mokasyny, rozcheistane pod szyją wdzianka sportowego kroju, obszerne pulowery, swetry i wojskowe panterki. To samo mniej więcej dotyczyło strojów kobiecych. Młoda dama z Piotrkowskiej, wyondulowana, wymalowana, w szpilkach, w nylonach z czarnym szewkiem, który bezczelnie przekrzywiał się na lydce, w starannie wyprasowanej sukience lub kostiumie wyglądała tak, jakby połknęła na śniadanie kij od nie używanej jeszcze szczotki. Filmówy natomiast (tak je nazywano) były raczej niedopieszczone w szczegółach, egzystencjalne i lekko niechlujne, ale miały swój niezaprzeczalny koci wdzięk.

Stosunek młodych filmowców do literatury był bardziej twórczy niż to na przykład można powiedzieć o słuchaczach wydziałów humanistycznych Uniwersytetu Łódzkiego a i pozostałych uniwersytetów także. Bez urazy, ale od lat filologia krajowa odżywia się starannie przeżutą, książkową papką. Żadnego myślenia, żadnych odstępstw od utartych opinii. Święte jest tylko to, co powiedział pan profesor, któremu z kolei w czasach, kiedy on sam był studentem, wcisnął tę opinię raz na zawsze do głowy inny wybitny pedagog. W szkole filmowej na odwrót: studenci staczali prawdziwe boje ze swoimi wykładowcami — najpierw ze znakomitą Panią Profesor Stefanią Skwarczyńską, potem z Leszkiem Budreckim, który, trzeba przyznać, był ostrym facetem i z niejednej potyczki wychodził zwycięsko.

Zaprzyjaźniony z filmowcami, w przerwach grywał z nimi w szachy, ale na zajęciach strzelali do siebie pociskami ciężkiego kalibru. Wcale nie dla stopnia, nie dla zaliczeń, lecz z czystej ambicji studenci przychodzili na seminaria z literatury amerykańskiej tak niesamowicie obryci, że Budrecki, aby udowodnić im swoją wyższość, musiał czasami stosować chwyty poniżej pasa. Wymyślał wtedy na poczekaniu imiona i nazwiska znakomitych anglosaskich pisarzy, których skądinąd nigdy nie było na świecie oraz tytuły dzieł, których nie widział na oczy żaden bibliotekarz.

Mając niewątpliwy wpływ na stosunek społeczeństwa do sztuki, na łódzką modę i obyczaje — filmowcy często opuszczali swoją twierdzę przy ulicy Targowej i bywali wszędzie tam, gdzie wrzało: na meczach piłkarskich, na wernisażach, koncertach, spotkaniach autorskich, wszelkiego typu dyskusjach i pyskówkach o charakterze politycznym, na premierach teatralnych i filmowych, no i oczywiście w kawiarniach, restauracjach i klubach, z których najpopularniejszy był otwarty w pięćdziesiątym piątym roku klub studencki przy ulicy Jaracza. Zarówno akademicy, jak i snobistyczna, ale nie mająca głowy do nauki młodzież mówiła na ten klub „Dziura" (jadziem do „Dziury", panowie!) albo „Taverna" (w „Tawernie" dzisiaj, chłopaki, gra Hot Seven i Jazz Lovers!). Mieścił się ów niezapomniany i urokliwy przybytek na pierwszym piętrze secesyjnego gmaszyska, w którym na pozostałych trzech kondygnacjach i na parterze mieszkały normalne rodziny, dostające kota w momencie, kiedy perkusiści okładali z bezprzykładnym okrucieństwem swoje bębny a puzoniści, klarneciści i trębacze obwieszczali miastu wstrząsający i nieuchronny koniec świata.

Należy przypuszczać, że Andrzej Makowiecki miał właśnie na myśli „Dziurę" kiedy opisywał w swojej powieści „Noc saksofonów" ten oto autentyczny epizod:

...na niewielki pusty parkiet pod estradą weszło niespodziewanie dwóch osobników, z których pierwszy był znanym w mieście playboyem, potomkiem bogatego fabrykanckiego rodu, zaś drugi, o pseudonimie Szeryf, początkującym, choć bezsprzecznie utalentowanym reżyserem filmowym młodej fali. Playboy był brzuchaty i tęgi, reżyser mizerny. Ukłoniwszy się sobie z minami tak poważnymi, jakby zza rogatek miasta nadciągał już (tu następuje opis tego, co nadciągało już zza rogatek miasta), obydwaj panowie zwarli się w serdecznym uścisku, biodro do biodra, noga do nogi; wolne ręce wyciągnęli jak do tanga i ruszyli w posuwiste i namiętne pląsy. Publiczność zamarła dosłownie ze zdziwienia, jako że żaden z dżentelmenów nie był Don Pedrem, wprost przeciwnie, uchodzili za straszliwych pogromców kobiecych serc. A przecież kiedy upewnili się ponad wszelką wątpliwość, iż są już jednym, bezkonkurencyjnym obiektem obserwacji, przerwali taniec, zarzucili sobie ręce na szyje i błysnąwszy językami pogrążyli się w długim, zapamiętałym pocałunku. Początkowo wyglądało to na żart, a potem — jakby zdołali się rozsmakować.

Widownia nie uległa atakowi śmiechu, albowiem awangardowe poczucie humoru playboya i reżysera wyprzedzało epokę o dobrych kilkadziesiąt lat i nie mogło być zrozumiane przez współczesnych".

W „Dziurze" można było wziąć od „Ciotki" na kredyt gorącą kiełbasę z musztardą i wino krajowe „uśmiech sołtysa". To ostatnie podlegało reglamentacji i „Ciotka", kobieta o sercu szczerozłotym rzadko dawała kredytowcom więcej niż dziesięć butelek na głowę. Nie ma dwóch zdań, że dopłacała do interesu i trudno w ogóle zrozumieć jak wiązała koniec z końcem. Monkey business, jak mówią Anglicy. Widocznie prowadziła bufet w imię jakichś wyższych racji. Kochała młodzież i była prawdziwą demokratką traktując z jednakim, zawsze serdecznym uczuciem tak studentów jak nierobów i łobuzów ulicznych, którzy pewnej nocy włamali się do klubu i okradli ją doszczętnie.

W „Dziurze" bywało wielu legendarnych ludzi. Bywał Wojciech Frykowski, bywała jego piękna żona in future — dziewczyńsko o charakterze wybitnie rozrywkowym; bywali wszyscy wielcy dziennikarze i artyści, bywał Andrzej Wajda, bywał Jerzy Skolimowski, bywał Jerzy Kosiński bywał wreszcie (jakże inaczej!) niepozorny przy wstępnych oględzinach Napoleon; ktoś oczywiście powiedział — chłopaczek, ale trzeba było zobaczyć, jak ten chłopaczek tańczył jazz i jak wywijał z panienkami rocka, który akurat wchodził w modę za sprawą pierwszych, szokujących nagrań Billa Haleya i Elvisa Presleya.

Mały (wielki duchem wszelako) reżyser, kończący wówczas szkołę filmową, stał u progu swojej zawrotnej kariery. Miał już na koncie kilka udanych i uznanych filmów krótkometrażowych, jeden nawet cieply i ogromnie wzruszający, inny natomiast burzący, ponieważ dotyczył łódzkich wolno stojących szaletów publicznych, owych podziemnych bunkrów, w których tkwią godzinami, smutni panowie o lekko zamglonych oczach w oczekiwaniu na szczęście, na jakiegoś przyjemnego małolata, gotowego zrobić siusiu na życzenie albo nawet zaprosić do kabiny. Ukryta w pokoiku babki klozetowej kamera rejestrowała przede wszystkim nogi tych upudlych i bezwstydnych aniołów mroku — buty, skarpetki, strzępki brudnych kalesonów, roztrzęsione kolana, krok lentwy i posuwisty, a przy tym dziwnie nerwowy, przypominający spacer tygrysa w klatce.

Było to kino publicystyczne co się zowie, aktualne po dzień dzisiejszy. Kto nie wierzy, niech wejdzie do schronu przy ulicy Zielonej, obok „Młodej Gwardii", gdzie od rana do wieczora — (Dajcie mi siekier! siekier rzeźnicką!) — grasuje bezkarnie całe zastępy tych ohydnych zwyrodnialców.

Obok filmu, pasją Napoleona miały na zawsze pozostać kobiety. Chętnie pokazywał się z nimi na łódzkich ulicach, a robił to z niefrasobliwym wdziękiem nie tyle spacerując, co paradując kroklem urodzonego aktora rewiowego. Piękne dziewczęta kroczyły obok niego z lekka jakby zażenowane, on zaś gestykulował, monologował, stroił różne pocieszne miny, bawiąc nie tylko swoje wybranki, lecz i przechodniów.

Pewna panienka z prowincji zagrała w głośnym komediowym filmie rolę śpiącej królewny, bo panienki mają to do siebie, że jak przyjeżdżają do wielkiego miasta z obcych stron, to muszą gdzieś przytulić główkę i zmrużyć oczęta. Wypadła na ekranie tak olśniewająco, iż momentalnie zdobyła kolosalny rozgłos i renomę wielkiej gwiazdy.

Napoleon usidlił ją ku zaskoczeniu i zazdrości przyjaciół. Kupił Lambrettę, modny wówczas skuter włoskiej produkcji, i woził aktorkę na tylnym siedzeniu wzdłuż Piotrkowskiej budząc w narodzie zasłużony podziw i szacunek. Najpierw była jego narzeczoną później pobrali się w śródmiejskim Urzędzie Stanu Cywilnego wcześniej jednakże, któregoś pięknego wiosennego wieczoru, Napoleon wpadł na tańce do „Dziury" i zobaczył przy stoliku dziewoję takich rozmiarów i kształtów, że dosłownie znieruchomiał.

Była to słynna Lucyna Biust, siedemnastoletnia córka stroiciela fortepianów. Wzrostem przewyższała reżysera o głowę, a ważyła spokojnie siedemdziesiąt pięć kilogramów. Cudo! Szatynka o pąsowych wargach i zielonych oczach. Na policzkach kwitły dwa naturalne, ceglaste rumieńce. O piersiach lepiej nawet nie wspominać — przytulić się po prostu i umrzeć. To samo można powiedzieć o biodrach i masywnych, toczonych nogach. Wiśnia, krótko mówiąc! Brzoskwinia w szczytowym okresie dojrzewania. Zrywać póki czas, bo za rok uroda przeminie.

Napoleon zauważył, iż dziewczyny nie obstawia żaden facet, aczkolwiek nie było na sali takiego, który nie patrzyłby na nią ukradkiem. Siedziała w towarzystwie koleżanek. Orkiestra grała w estradzie ogniste, swingowe kawałki.

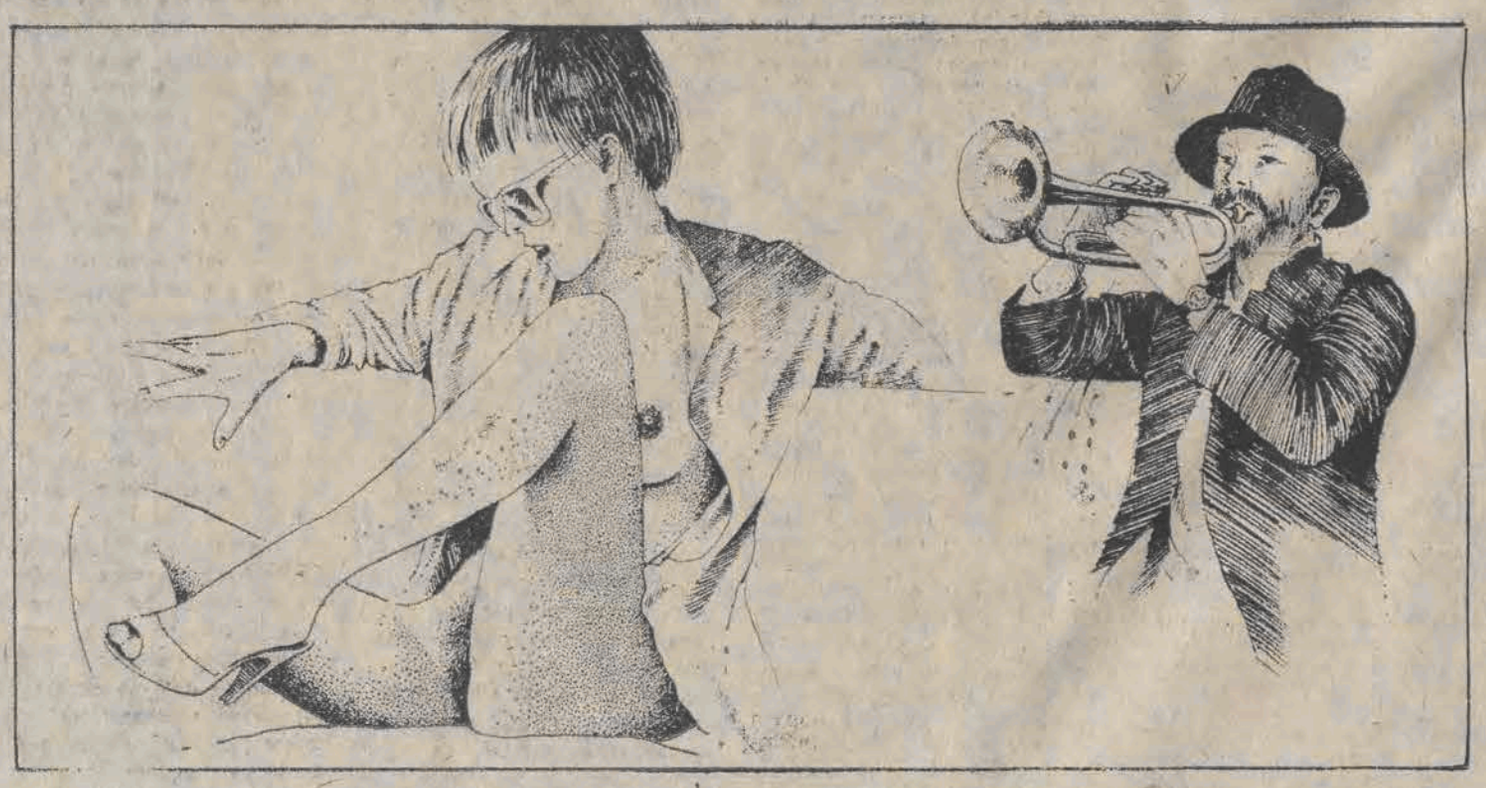

Rys. Janusz Szymański-Glanc

C.D.N.